

Powieść inspirowana Szekspirem

KUPIEC WENECKI



Shylock się nazywam

HOWARD
JACOBSON

HOWARD JACOBSON

**SHYLOCK
SIĘ NAZYWAM**

Kupiec wenecki Szekspira
opowiedziany na nowo

Przełożył z angielskiego
Łukasz Witczak

Tytuł oryginału
Shylock Is My Name

Ilustracja na okładce
© leopold/Fotolia
Projekt okładki
ILONA GOSTYŃSKA-RYMKIEWICZ
Redakcja
DOMINIKA CIEŚLA-SZYMAŃSKA
Korekta
IWONA HUCHLA
Redakcja techniczna
ADAM KOLENDA

Copyright © Howard Jacobson 2016
First published as *The Merchant of Venice* by Hogarth
Polish edition © Publicat S.A. MMXVI (wydanie elektroniczne)

Wydanie elektroniczne 2016

ISBN 978-83-271-5438-5

PUBLICAT S.A.
61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl
Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Pamięci Wilbura Sandersa

Nie wiem, jak to się stało, że mimo tylu lat przyjaźni i wykładania o Shakespearze ani razu nie porozmawialiśmy o *Kupcu weneckim*. Bardzo żałuję, że nie możemy tego nadrobić.

PORCJA: Który z tych dwóch to Żyd, a który kupiec?

DOŻA: Antonio, stary Shylocku, podejdźcie.

PORCJA: Ciebie zwą Shylock?

SHYLOCK: Shylock się nazywam.

William Shakespeare, *Kupiec wenecki*,
tłum. Piotr Kamiński, akt IV, scena 1.

To jeden z tych lutowych dni na północy Anglii, kiedy człowiek wolałby nie żyć; ciasny prześwit między ziemią a niebem przypomina szparę na listy, a samo niebo jest beżmiernie banalne. Sceneria niegodna tragedii, nawet tu, gdzie w ciszy spoczywają zmarli. Na cmentarzu dwaj mężczyźni spełniają obowiązki serca. Nie podnoszą wzroku. W tych stronach człowiek musi toczyć wojnę z pogodą, inaczej grozi mu śmieszność.

Ślady tej walki są wryte na twarzy pierwszego z żałobników, mężczyzny w średnim wieku, o zmiennej posturze, który niekiedy wysoko zadziera brodę, a innym razem kuli głowę w ramiona, jakby chciał uniknąć ludzkich spojrzeń. Jego usta, niespokojne i zwodnicze, w jednej sekundzie wykrzywają się w kpiącym uśmiechu, w drugiej rozchylają, miękkie i delikatne jak owoce lata. To Simon Strulovitch – bogaty, gwałtowny i drażliwy filantrop o wielu nietrwałych namiętnościach, właściciel wybitnej kolekcji starych Biblii oraz dwudziestowiecznej sztuki anglo-żydowskiej, pasjonat Shakespeare’a (którego geniusz i zawadiacką sefardyjską urodę długo tłumaczył sobie tym, że przodkowie dramaturga musieli, ani chybi, nazywać się Shapiro, teraz jednak nie jest tego taki pewien), posiadacz doktoratów honoris causa uniwersytetów w Londynie, Manchesterze i Tel Awiwie (tego ostatniego także nie jest pewien) oraz córki, która schodzi na złą drogę. Przyszedł na cmentarz, by obejrzeć nagrobek swojej matki, postawiony niedawno, po upływie dwunastu pełnych miesięcy żałoby. Opłakiwał ją niezbyt sumiennie – za bardzo zaprzętało go kupowanie i użyczenie dzieł sztuki, prowadzenie fundacji i wspieranie potrzebujących, a więc „dobroczynność”, jak mawiała jego matka z mieszaniną dumy i zatroskania (nie chciała, żeby się wykończył tym rozdawnictwem), za bardzo zaprzętało go wyrównywanie rachunków, na razie tylko w myślach, oraz córka – lecz zamierza się poprawić. Zawsze jest czas, żeby stać się lepszym synem.

I lepszym ojcem. Czyżby tak naprawdę szykował się do opłakiwania córki? To są sprawy dziedziczne. Jego ojciec swego czasu opłakiwał jego. *Jesteś dla*

mnie martwy! Dlaczego? Z powodu wyznania jego narzeczonej. A przecież ojciec nie był ani trochę religijny.

Wolałbym, żebyś padł trupem u moich stóp...

Czy tak rzeczywiście byłoby lepiej?

Nam nigdy za mało śmierci, myśli, idąc niespiesznie wśród zapomnianych nagrobków. „Nam” – idea wspólnoty, pod którą czasem się podpisuje, a czasem nie. Przychodzimy na świat jako szczęściarze, z tobołkiem na plecach, i zaraz potem szukamy miejsca, aby pogrzebać dzieci, które nas zdradziły.

Może to właśnie przez gniew, który poprzedza grzebanie zmarłych, próżno szukać tutaj pociechy w pięknie. Na studiach, gdy w jego słowniku nie było jeszcze słowa „my”, Strulovitch napisał pracę o *Zmartwychwstaniu w Cookham* Stanleya Spencera. Zachwyciły go te rojne groby, z których wylewa się niecierpliwy żywioł ludzki, nieboszczycy, którym spieszno zobaczyć, co będzie dalej. Ale to nie jest przykościelny cmentarz w Berkshire, tylko Cmentarz Czekających na Mesjasza w Gatley na południe od Manchesteru, gdzie nie ma żadnego „dalej”. Wszystko kończy się tutaj.

Na ziemi leżą jeszcze niewielkie resztki śniegu, brudny i pociemniały wypycha się w szczeliny w granicie. Zostanie tam do wczesnego lata, o ile lato w ogóle nadejdzie.

Drugi mężczyzna, który zjawił się tu na długo przed Strulovitchem, a który rozmawia z nieboszczką spoczywającą pod całkiem wytartym nagrobkiem, to Shylock, jeszcze jeden wściekły i porywczy Żyd, choć jego wściekłość ma odcień bardziej sardoniczny, a jej porywy słabną, gdy przebywa w towarzystwie zmarłej żony, Lei. W porównaniu ze Strulovitchem Shylock jest mniej skonfliktowany wewnętrznie, lecz – może właśnie dlatego – bardziej konfliktogenny. Nie ma dwóch ludzi, w których budziłyby jednakowe uczucia. Nawet ci, którzy wściekle go nienawidzą, różnią się stopniem owej wściekłości. Shylock ma zmartwienia finansowe, od których Strulovitch jest wolny, nie kolekcjonuje dzieł sztuki ani zabytkowych wydań Biblii, nie ma też zwyczaju okazywania miłości bliźnim, którzy go nie miłują, choć niektórzy powiedzą, że tylko taka miłość jest cokolwiek warta. Jego córkę lepiej pominąć milczeniem.

Shylock, inaczej niż Strulovitch, nie bywa żalobnikiem, lecz jest nim bez przerwy. Nie potrafi odejść i zająć myśli czymś innym. Dla takich jak on, pamiętających i pamiętliwych, nie ma i nie będzie niczego innego.

Strulovitch na chwilę przerywa swoje rozmyślenia. Choć jeszcze nie widzi

Shylocka, już wyczuł jego obecność – jak gdyby trafiony w tył głowy śnieżką rzuconą przez kogoś, kto za nic ma powagę cmentarza.

Do jego uszu dolatują słowa „najdroższa Leo”, rzucone w czeluść grobu niczym błogosławieństwo. Na pewno leży tutaj mnóstwo kobiet o tym imieniu. Jedną z nich jest matka Strulovitcha. Lecz w imieniu tej konkretnej Lei pobrzmiwa nieśmiertelna żalność, którą Strulovitch, adept męzowskiej żałoby i ojcowskiego gniewu, natychmiast rozpoznaje. Lea, która podarowała Shylockowi pierścień. Lea, matka Jessiki, która ukradła ten pierścień, by kupić sobie małpę. Jessika, wcielenie perfidii. Shylock nie oddałby tego pierścienia za cały małpi gaj.

Strulovitch też nie.

A więc „my” coś jednak dla niego znaczy. Wiara, którą zdeptała Jessika, jest jego wiarą.

W każdym razie te poszlaki w zupełności Strulovitchowi wystarczają. Przyjmuje postawę zdroworoządkową. Oczywiście, że Shylock jest tutaj, wśród zmarłych. Kiedy było inaczej?

Gdy miał jedenaście lat, sypiący się wąs i niewyparzony język, matka zabrała go na zakupy do domu towarowego i zobaczyła tam Hitlera kupującego wodę po goleniu.

– Simon, prędko! – zawołała. – Biegnij po policjanta. Ja tu zostanę i będę pilnować, żeby nie uciekł.

Jednak żaden policjant nie dał temu wiary, a Hitler w końcu zdołał się ulotnić.

Strulovitch też nie wierzył, że to był Hitler. W domu z rozbawieniem opowiedział o wszystkim ojcu.

– Nie dyskutuj z matką – usłyszał. – Skoro mówi, że widziała Hitlera, to widocznie tak było. W zeszłym roku na targu w Stockport ciotka Annie spotkała Stalina. A ja, kiedy byłem w twoim wieku, widziałem Mojżesza na torze wioślarskim w Heaton Park.

– Nie wierzę – odparł Strulovitch. – Gdyby to był Mojżesz, woda by się przed nim rozstąpiła.

Za to mędrkowanie powędrował do swojego pokoju.

– Może to był Noe? – krzyknął jeszcze ze schodów.

– A za to – powiedział ojciec – nie dostaniesz kolacji.

Później matka ukradkiem zaniósł mu kanapkę, bo Rebeka uczyniłaby to

samo dla Jakuba.

Dziś Strulovitch lepiej rozumie żydowską wyobraźnię – rozumie, że odrzuca ona sztywne prawa chronologii i topografii, że nie godzi się na to, aby przeszłość pozostawić przeszłości, i że jego matka prawdopodobnie widziała Hitlera. Choć żaden z niego talmudysta, zdarza mu się czasem przeczytać stronkę w małej antologii wydanej nakładem prywatnej oficyny. Talmud pozwala jemu, upartemu kontestatorowi, toczyć zażarte spory z innymi, dawno już niezręcznymi upartymi kontestatorami.

Naprawdę w to wierzysz, Rabo bar Nachmani? A pies cię trącał!

To jak w końcu – czy istnieje życie przysze? Jak sądzisz, rabinie?

Raba bar Nachmani zrzuca z siebie całun i pokazuje Strulovitchowi środkowy palec.

Dawno temu jest teraz, a gdzie indziej – tutaj.

Jak to się stało, że Lea spoczęła wśród mieszkańców Gatley? Tylko głupiec zaryzykowałby gniew Shylocka, zadając to pytanie. Takie szczegóły, jak „gdzie” i „kiedy”, są mu w najwyższym stopniu obojętne. Lea jest pod ziemią i to wystarczy. Za życia towarzyszyła mu wszędzie. Po jej śmierci – dawno już to postanowił – nic się nie zmieni. Oboje obracają się wraz z planetą. Dokądkolwiek się uda, Lea zawsze będzie przy nim.

Strulovitch, czujny i pobudzony, napięty jak mniejszy instrument zestrojony z większym, przygląda mu się niespostrzeżenie. Jeśli będzie trzeba, postoi tak do wieczora. Sądząc po mowie ciała Shylocka – pochylonego, kiwającego głową, czasem podnoszącego wzrok, który jednak, niczym spojrzenie węża, na niczym się nie koncentruje – rozmowa z Leą pochłania go bez reszty, odrywa od zewnętrznej rzeczywistości, ale nie sprawia już bólu; jest to tkliwy, lecz wartki, a nawet rzeczowy dialog. Shylock nie tylko mówi, ale również słucha, rozważa jej słowa, choć na pewno słyszał je wielokrotnie. W ręce trzyma książkę w miękkiej oprawie, zwiniętą w rulon niczym plik sądowych dokumentów albo paczka szemranych banknotów. Co pewien czas otwiera ją nonszalancko, jakby zamierzał wyrwać z niej stronicę, i czyta żonie zniżonym głosem, zakrywając usta gestem człowieka, któremu dobre wychowanie każe tłumić śmiech. Jeżeli to rzeczywiście śmiech, myśli Strulovitch, to taki, który musiał przebyć długą drogę; śmiech umysłu. Przypomina mu się cytat z Kafki (nieszczęśliwych synów nigdy na tym padole nie brakowało): *śmiech, w którym nie słyhać płuc*. Może Kafka opisał swój własny śmiech? I mój? –

zastanawia się Strulovitch. Śmiech zbyt głęboki, by mógł się zaczynać w płucach? Same żarty, o ile to żarty, są bardzo osobiste. Może nawet nieprzyzwoite.

On jest na swoim miejscu, a ja nie, myśli Strulovitch. Na swoim miejscu wśród nagrobków. Na swoim miejscu w małżeństwie.

Różnica między nimi jest dla Strulovitcha bolesna. Sam jako mąż nie ma się czym pochwalić. On i jego pierwsza żona zgotowali sobie małe piekło. Czy dlatego, że była chrześcijanką? („*Gaj in drerd!*” – zawołał jego ojciec, dowiedziawszy się, że syn chce się żenić z gojką. „Idź do piekła!” Nie chodziło mu bynajmniej o dowolne piekło, lecz o najniższy krąg, do którego trafiają odstępcy od wiary. W przededniu ślubu, nagrywając się na automatyczną sekretarkę, wyraził się jeszcze dosadniej: „Jesteś dla mnie martwy”). Drugie małżeństwo, tym razem z córką Abrahama (wobec czego ojciec zdjął z syna klątwę i nazwał go przez telefon Łazarzem), przerwał zniecałkowany cios, od którego zanika w człowieku wszelkie uczucie – jak wtedy, gdy oczekuje się złych wieści. W dniu czternastych urodzin ich córki jego żona doznała udaru i straciła w znacznym stopniu pamięć oraz mowę, co sprawiło, że Strulovitch wyłączył męzowską część swojej duszy.

Małżeństwo! Albo traci się ojca, albo żonę.

Strulovitch wie, co znaczy żałować samego siebie. Lea jest bardziej żywa w oczach Shylocka niż biedna Kay w moich – stwierdza w duchu i po raz pierwszy tego dnia przenika go zimno.

Obserwując Shylocka, spostrzega u niego naprężone mięśnie pleców i karku. Przypomina mu to postać z ulubionego komiksu sprzed lat, boksera, a może zapaśnika, na każdym rysunku otoczonego polem siłowym przedstawionym za pomocą falistych kresek. Jak narysowano by mnie? – zastanawia się Strulovitch. Jakie znaki wyraziłyby to, jak się czuję?

– Wyobrażasz to sobie? – mówi Shylock do Lei.

– Co mam sobie wyobrazić, kochany?

– Że ktoś zazdrości Shylockowi.

Ach, ten jej czarujący śmiech.

Shylock jest ubrany w długie czarne palto (zdaje się pilnować, by jego skraj nie dotykał śniegu); siedzi pochylony – ale nie aż tak, by zagnieść płaszcz – na składanym krzeselku, jakie angielscy miłośnicy opery zabierają ze sobą na

festiwal w Glyndebourne. Strulovitch nie może się zdecydować, czego wyrazem jest jego kapelusz. Gdyby zapytać samego Shylocka, zapewne powiedziałby, że nosi go dla ochrony głowy przed zimnem. Ale to fedora – oznaka człowieka świadomego swojego wyglądu. Kapelusz dandysa, noszony z odrobiną figlarniej zadziorności, nijak niepasującej do twarzy, która nie zdradzała ani śladu obecnej czy minionej figlarności.

Ubiór Strulovitcha jest bardziej powściągliwy: płaszcz kolekcjonera sztuki spływający jak komża, kołnierzyk śnieżnobiałej koszuli zapięty pod szyją bez krawata w stylu współczesnego quattrocento. Shylock, otoczony aurą groźnej nieprzystępności, jest mniej ulotny, można by go spokojnie wziąć za bankiera lub prawnika. Może nawet za Ojca Chrzestnego.

Strulovitch cieszy się, że przyszedł odwiedzić matkę, i zastanawia, czy ta rozmowa, której jest świadkiem, to jego nagroda za bycie dobrym synem. Jeżeli tak, to powinien był się starać od początku. No chyba że istnieje inne wyjaśnienie. Czy widzimy to, co chcemy zobaczyć? W takim razie nie trzeba szukać: wystarczy pozwolić, żeby samo do nas przyszło. Przez chwilę bawi się myślą, że Shakespeare, którego przodkowie mogli, a nuż – dmuchając na zimne – zrezygnować z nazwiska Shapiro, też pozwolił, aby Shylock mu się ukazał. W drodze z teatru do domu, widząc duchy i robiąc notatki w kajecikach, wynurza się na moment z własnego wnętrza i dostrzega Antonia, który opluwa to znienawidzone stworzenie, Żyda.

– A niech mnie! Żyd! Czy to ty, mój kuzynie? – pyta Shakespeare.

Elżbietańska Anglia była *Judenfrei*, stąd jego zdziwienie.

– Cśś – odpowiada Żyd.

– Shylock! – woła niezrażony Shakespeare. – To mój kuzyn Shylock albo jestem chrześcijaninem!

Shapiro, Shakespeare, Shylock. Bez mała jeden klan.

Strulovitchowi jest przykro, że nie pasuje do tego grona. Może tylko żałować, że jego nazwisko nie szeleści.

Tak czy owak, nie ma wątpliwości, że kluczem jest receptywność; ci, którzy zbyt usilnie szukają, tracą czas. Zna pewien malowniczy żydowski cmentarz na Lido di Venezia, kiedyś opuszczony, niedawno jednak odrestaurowany w nowym europejskim duchu zadośćuczynienia. Do tego strzeżonego przez cyprysy miejsca, gdzie melancholijny mrok miesza się z nagłymi snopami okrutnego światła, pielgrzymował niezliczoną ilość razy pewien jego znajomy,

gorliwy naprawiacz krzywd, wychodząc z założenia, że Shylock nigdy, przenigdy nie pokaże się wśród turystów lizających lody w weneckim getcie, a skoro tak, to należy go szukać, zgnębionego i przepełnionego goryczą, między zrujnowanymi grobami, gdzie zapewne mamrocze modlitwy za zmarłych bliskich. Nic z tego. Wielki poeta niemiecki i „łowca snów” Heine – który jednego dnia, tak jak Strulovitch, nie znosił słowa „my”, a drugiego, tak jak Strulovitch, był w nim zakochany – odbył równie sentymentalną wędrówkę w poszukiwaniu Shylocka, także bez powodzenia.

Do dziś – wobec tylu nierozstrzygniętych wątpliwości – poszukiwania Shylocka trwają w najlepsze. Mająca bzika na punkcie Żydów chrześcijańska żona Simona Strulovitcha, Ofelia-Jane, wypatrzyła go podczas kolacji we dwoje nad Canale Grande: schodził, kuśtykając, po schodach Rialto, z podrabianą torbą Louis Vuitton wypchaną podrabianymi zegarkami Dunhill. Był to ich miesiąc miodowy i Ofelia-Jane bardzo chciała zrobić mężowi jakąś żydowską przyjemność. (Nie wiedziała, że w przededniu ich ślubu ojciec się go wyrzekł. Nigdy jej tego nie powiedział). „Patrz, Si!” – zawołała, ciągnąc go za rękaw. Strulovitcha to zirytowało, ponieważ bardzo dbał o swoje ubrania. Być może dlatego zwlekał całą wieczność, zanim podążył wzrokiem we wskazanym przez nią kierunku, a gdy wreszcie to uczynił, nikogo tam nie było.

Przez resztę podróży poślubnej zabierała go tam co wieczór w nadziei na powtórne objawienie. „*Oj, gewalto*, znowu to Rialto” – wymknęło mu się w końcu. Ofelia-Jane schowała twarz w dłoniach. Odebrała to jako niewdzięczność i brak powagi. Po pięciu dniach małżeństwa miała już powyżej uszu jego ludowych jidyszyzmów. Nie przystawały do jej wyobrażeń o nich jako parze. Wenecja była jej pomysłem. Chciała go zetknąć z jego dziedzictwem. Równie dobrze mogła zaproponować Kordowę. Wyszła za niego, by zbliżyć się do tragicznego doświadczenia Żydów, do cierpienia szlachetnej rasy sefardyjskiej, a on swoim *oj, gewalto* przenosił ją do śmierdzącego bałtyckiego sztetlu zamieszkanego przez chłopków o kartoflanych twarzach i baranich spojrzeń.

Myślała, że serce przestanie jej bić.

– Powiedz, że nie wyszłam za bajdusia-szmajdusia – rzekła błagalnie, gdy wracali do hotelu. Czuł, jak drży u jego boku niczym pięciomasztowy żaglowiec. – Powiedz, że nie jesteś dowcipaskiem.

Na Campo Santa Maria Formosa zatrzymał się i przygarnął ją do siebie.

Mógł jej powiedzieć, że kościół zbudowano w 1492 roku, tym samym, w którym Żydów wygnano z Hiszpanii. Pocałuj mnie w ramach przeprosin – mógł tak powiedzieć. Pocałuj mnie, by pokazać, że jest ci przykro. Nie dałaby się długo prosić; wyobraziłaby go sobie, jak opuszcza Toledo ze swoją świtą, jak ostatni raz modli się w synagodze ibn Szoszana, dumnie wyprostowany, niezłomny w swej wierze. O tak, na pięknym, prześladowanym czole swojego czarnobrodego *hidalgo* chętnie odcisnęłaby gwiazdę ze szminki. „Idź, mój panie, bądź dzielny i niech Bóg Abrahama i Mojżesza będzie z tobą. Ja i dzieci dołączymy do ciebie później”. Nie miała jednak okazji, bo nic takiego nie powiedział. Błaznując dalej, zionął jej w zatroskaną twarzyczkę śledziem, pierogami i barszczem, beznadzieją miasteczek, do których nie dotarł kaganek oświaty, koślawymi przesądami kmiotków o imieniu Mosze albo Mendel.

– Sprzedawca wstążek Chaim Jankiel – powiedział, wiedząc, że to imię ani trochę jej nie rozbawi – skarży się kupcowi z Harrodsa, że ten przestał zamawiać u niego wstążki. „No dobrze – mówi kupiec – przyślij tyle centymetrów, ile masz od czubka nosa do koniuszka penisa”. Po dwóch tygodniach do Harrodsa przyjeżdża dostawa: tysiąc kartonów ze wstążkami. Kupiec dzwoni do Chaima Jankiela i krzyczy do słuchawki: „Co to za głupie żarty? Miało być tyle, ile masz od czubka nosa do koniuszka penisa, a tyś mi przysłał tysiąc mil”. Na to Chaim Jankiel: „Koniuszek mojego penisa jest w Polsce”.

Patrzyła mu w oczy z niemym przerażeniem. Była niższa od niego, drobnej budowy, piękna w swej prawie chłopięcej delikatności. W ciemnych sadzawkach jej odrobinę za dużych oczu odbijały się ból i niedowierzanie. Można by pomyśleć, zauważył w duchu Strulovitch, zaglądając w nie głęboko, że powiedziałem jej o śmierci kogoś z rodziny.

– Widzisz – wycofał się – nie masz się czym przejmować. Nie jestem dowcipny.

– Wystarczy.

– Wystarczy o Polsce?

– Ani słowa więcej o Polsce!

– Moi przodkowie, Ofelio...

– Twoi przodkowie są z Manchesteru. To chyba wystarczający powód do wstydu?

– Gdybym zamienił Polskę na Manchester, żart nie byłby śmieszny.

– I tak nie jest śmieszny. Wszystkie twoje żarty są nieśmieszne.

– A ten o lekarzu, który każe Moszemu Grynbergowi przestać się masturbować?

Plac przed kościołem Santa Maria Formosa musiał być świadkiem wielu westchnień, ale na pewno nie tak bolesnych jak westchnienie Ofelii-Jane.

– Błagam cię – rzekła złożona niemal we dwoje. – Błagam cię na kolanach: nigdy więcej nie opowiadaj żartów o swoim siurku.

Wymówiła to słowo z widoczną odrazą, jakby odrzucała nachalne zaloty cuchnącego natręta. Była bliska płaczu.

On zresztą też.

Jego siurek... dlaczego użyła tego słowa?

I to w podróży poślubnej, co gorsza.

To nie był żaden siurek, lecz siedlisko smutków. Temat niezliczonych śmiesznych historyjek – właśnie dlatego, że nie był ani trochę śmieszny. Strulovitch uraczył ją cytatem z Beaumarchais'go:

– Śmieję się skwapliwie ze wszystkiego z obawy, bym nie musiał płakać.

– Ty płakać! Kiedy ostatni raz płakałeś?

– Płaczę w tej chwili. Żydzi, Ofelio-Jane, żartują, bo nie jest im do śmiechu.

– W takim razie byłabym dobrą Żydówką, bo mnie też nie jest do śmiechu.

Gdy matki widzą, co zrobiono ich maleńkim synkom, mleko kwaśnieje im w piersiach. Młody Strulovitch, idący slalomem przez religie świata, usłyszał to stwierdzenie w Oksfordzie na przyjęciu ogrodowym u praprawnuka siostry kardynała Newmana. Źródłem tej informacji była bahaistyczna psycholożka Eugenia Carloff, specjalizująca się w urazach psychicznych spowodowanych obrzezaniem.

– Wszystkim matkom? – spytał.

Bardzo wielu matkom twojego wyznania, odpowiedziała, co tłumaczy, dlaczego później tak rozpieszczają swoich synów. Chcą w ten sposób zmasać podwójną winę. Przelanie krwi i brak pokarmu.

– Brak pokarmu? Żartujesz?

Strulovitch był przekonany, że matka karmiła go piersią. Czasem wydaje mu się, że wciąż jest karmiony piersią.

– Wszyscy mężczyźni twojego wyznania myślą, że matka obficie karmiła ich własnym mlekiem – oznajmiła Eugenia Carloff.

– Chcesz powiedzieć, że nie byłem karmiony piersią?

Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

– Nie mogę tego stwierdzić ze stuprocentową pewnością, ale przypuszczam, że nie.

– Wyglądam na niedożywionego?

– Nie, skąd. Raczej sfrustrowanego.

– To wina mojego ojca.

– Ach. – Eugenia puknęła się w nos. – Lista grzechów tych oprawców zwanych ojcami nie ma końca. Najpierw okaleczają swoich synków, potem ich dręczą.

To by się zgadzało, pomyślał Strulovitch. Z drugiej strony ojciec lubił zabawiać go dykteryjkami i rubasznymi żartami. Czasem na ulicy zapominał się i czochrał mu włosy. Słyszając to, Eugenia Carloff pokręciła głową.

– Oni nigdy nie kochają naprawdę. Nie biorą udziału w odwiecznym teatryku winy i zadośćuczynienia, który sami zainicjowali, pozostają z boku, niezadowoleni, próbują odkupić wyrządzoną krzywdę szorstką czułością i zabawnymi historyjkami. Oto gorzka więź, która ich spaja.

– Ojca z synem?

– Wszystkich mężczyzn twojego wyznania. Penis i dowcip.

Chciał jej powiedzieć, że jest mężczyzną bez wyznania. Zamiast tego zaprosił ją na randkę.

Roześmiała się z całego serca.

– Myślisz, że mam ochotę się w to pakować? Masz mnie za wariatkę?

Biedna Ofelia-Jane, która widocznie była wariatką, przez kilka lat trwania ich małżeństwa dawała z siebie wszystko, by je ratować. Okazało się to jednak zadaniem ponad jej siły. Strulovitch w duchu przyznawał jej rację. Działał ludziom na nerwy, niektórzy nawet się go bali. Wszystko przez jego bezlitosny sarkazm. Przez wisielczą ironię. Był czy nie był wśród swoich? Był czy nie był zabawny? Zabójcze niezdecydowanie, za które płacili wszyscy, którzy go znali – na czele z Ofelią-Jane.

– Wystarczyło mnie pokochać – powiedziała smutno w dniu, w którym postanowili się rozwieść. – Chciałam ci przychylić nieba. Wystarczyło, żebyś cieszył się naszym wspólnym życiem.

Objął ją po raz ostatni i powiedział, że jest mu przykro.

– Tacy już jesteśmy.

– My?!

Było to jej ostatnie słowo, zaraz potem wyszła.

Pocieszała go nieco myśl, że wzięli ślub, będąc właściwie dziećmi, i teraz, kiedy się rozstawali, wciąż nimi byli.

Oboje mieli przed sobą długie życie, mogli zacząć od nowa. Zwłaszcza że nie dorobili się potomstwa – przyczyny wszelkiego ludzkiego nieszczęścia.

Jednak sam rozwód był dla nich gorzkim doświadczeniem. Na koniec Ofelii-Jane puściły nerwy. Choć uważała Żydów za naród niesłusznie oczerniany, to kiedy dostarczono jej do podpisania ostatnie dokumenty, sama spotwarzyła ich w osobie swojego męża. Zadzwoiła do niego i powiedziała:

– No i dostałeś swój funt mięsa. Zadowolony?

To oskarżenie głęboko go zraniło. Co prawda nie był jeszcze krezusem, ale i tak wnosił do wspólnego majątku znacznie więcej niż ona. To, czego nie wydawał na nią, już w tamtych latach szło na wskazane przez nią szczytne cele, na zawsze opatrzone jej nazwiskiem. Ugoda, jak mu się zdawało, była dla niej więcej niż korzystna. Zresztą wiedział, że ona w głębi duszy się z tym zgadza. A mimo to – odwieczna skaza. Także na jej sumieniu, bo nie zdołała się powstrzymać.

Telefon w dłoni zamienił mu się w zmię. Upuścił go na podłogę nie ze złości, lecz z przerażenia.

Na drugi dzień napisał jej, żeby od tej pory kontaktowała się z nim wyłącznie za pośrednictwem prawników.

Jednak jego uczucie do niej nie wygasło nawet po drugim ślubie. Mimo przytyku o funcie mięsa? Łamał sobie nad tym głowę. Mimo czy może właśnie dlatego?

Shylock wstrząsa się pod wzrokiem Strulovitcha. Powodem tego poruszenia nie jest żaden hałas, lecz niepokój, obawa, neurastenia. W tym wypadku – neurastenia Strulovitcha. Wyczuwając jego obecność, Shylock przesuwa się nieznacznie na krzeselku i strzyże uszami. Ma w sobie coś z egipskiego boskiego kota.

– Co z nami będzie? – zwraca się do Lei.

– Z nami?

– Z naszym narodem. Nam nie można pomóc.

– Każdemu można pomóc. Okaż współczucie.

– To nie powinno być współczucie. To powinna być lojalność.

– W takim razie okaż lojalność.

– Staram się, ale moja cierpliwość jest wystawiana na próbę.
– Kochany, ty nie masz cierpliwości.
– Oni też nie. Zwłaszcza do siebie. Więcej czasu mają dla tych, którzy ich nienawidzą.

– Cśśś.

Najgorsze, że Lea nie może go pogłaskać po karku i sprawić, że faliste kreski znikną.

Kiedy była brzemienna, przyzywała Shylocka i kładła jego dłoń na swoim brzuchu. Poczuj, jak kopie. Shylock uśmiechał się na myśl, że mały człowiek w jej łonie nie może się doczekać spotkania z nimi.

Jessika, moje dziecko.

Teraz to Lea dała mu odczuć swoją obecność. Trąciła go delikatnie, jak gdyby pod jego nogami drążyło tunel jakieś podziemne stworzenie. *Masz rację, stary krecie*, myśli Shylock. Wie, o co jej chodzi. Nigdy nie podobało jej się to, że potrafił być okrutny w kontaktach z ludźmi. Drażnił się z nimi. Trzymał ich w niepewności. To samo robił teraz ze Strulovitchem, udawał, że go nie widzi, testował jego wytrzymałość. Lea szturchnięciem przypomniała mu o jego obowiązkach.

Dopiero gdy Shylock się obrócił, Strulovitch zobaczył, że jego podbródek i policzki pokrywa zarost – nie tyle broda, ile chropowatość skóry. Twarz miał surową, lecz towarzystwo żony rozjaśniło mu rysy, w srogich zmarszczkach wokół oczu widać było jeszcze resztki marudnego rozbawienia.

– Ach! – odezwał się, zamknął książkę, z której czytał, ponownie zwinął ją w rulon i schował niespiesznie do wewnętrznej kieszeni płaszcza. – Ktoś w sam raz.

Pewnego razu w dużym i starym domu położonym dokładnie pomiędzy Mottram St Andrew, Alderley Edge i Wilmslow – w samym środku Złotego Trójkąta, jak wciąż nazywają ten obszar agenci nieruchomości – żył pałący marihuanę magnat medialny krytyczny wobec mediów i amatorów marihuany, dziedzic ogromnej firmy farmaceutycznej opowiadający się za redystrybucją wszelkiego bogactwa z wyjątkiem własnego, utopista sceptycznie nastawiony do zasady sprawiedliwości społecznej, miłośnik chorału gregoriańskiego fantazjujący o karierze gwiazdy rocka, chimeryczny obrońca zabytkowego krajobrazu kupujący synom szybkie auta do rozjeżdżania tych samych wiejskich dróg, które pragnął chronić. Jeżeli przypomina wiele osób, to dlatego, że był wieloma osobami naraz. I zarazem jednym człowiekiem, jednym kłębkim zmartwień, ideałów i zawiści.

– Czasem – mawiał studentom w szkole biznesu w Stockport, której był dziekanem – nawet wybrańcy i ulubieńcy losu mogą doznać wrażenia, że ich życiem steruje niewidzialna ręka smutku.

– Co ty nie powiesz – komentowali za jego plecami studenci.

Peterowi Shalcrossowi, kawalerowi Orderu Imperium Brytyjskiego, wszystkie dni wydawały się identyczne. Rano wywiad radiowy na dowolny temat, po południu wykład, który jednego tygodnia nosił tytuł „Merkantylizm i alienacja”, drugiego – „Pieniądz i wyobcowanie”, wczesnym wieczorem powrót samochodem do domu, gdzie czekały czysta szkocka i bordowa bonżurka i gdzie mógł w spokoju pomstować na plastikowe rezydencje i pałace ludzi pokroju Strulovitcha. Pomstował codziennie o tej samej porze, tymi samymi słowami, czując to samo pieczenie w klatce piersiowej. Rutyna ani trochę nie osłabiła w nim ferworu. Tylko ktoś, kto sam opływał w bogactwa, mógł reagować taką złością na bogactwo innych, od których różnił się tym, że nie musiał do niego dochodzić własną pracą, co również podświadomie go mierziło.

– Czujecie ten zapach? – pytał gości, otwierając przed nimi drzwi do

swoich ogrodów, a gdy tamci wyczerpali wszystkie możliwości (liście palone w sąsiednim hrabstwie, koński nawóz, awaria hydrauliczna, pył znad Sahary), pocierał palcem o kciuk i oznajmiał: – Nie, żadna z tych rzeczy. Ja tu czuję smród mamony.

Choć trapił się szkodliwym wpływem sąsiedzkiej mamony na powietrze, żywopłoty i swoją jedynaczkę, Annę Livię Plurabelle Kleopatrze Co Piękne Cieszyć Nigdy Nie Przystanie Christine (to ostatnie imię dzieliła z trzpiotowatą modelką, którą nierozwaznie poślubił, a której przemożny wpływ obejmował całą jego osobę aż po skarpety w kolorowe paski i spiczaste buty na słoninie), to jednak w rozmowach z kolegami i koleżankami z uczelni Shalcross nieraz chwalił się bliskim sąsiedztwem gwiazd popu i piłkarzy o milionowych majątkach. Nie należy tego mylić z hipokryzją. Można się chwalić i jednocześnie odczuwać wyższość.

– Jeżeli marzyłeś o gwiazdorskim życiu, Christine, trzeba było wyjść za gwiazdora popu – powiedział żonie po tym, jak urządzona przez nią z okazji szesnastych urodzin Plurabelle libertyńska impreza zakończyła się interwencją policji. W istocie to on powinien był się ożenić z gwiazdą popu. Albo jeszcze lepiej: sam nią zostać.

Powodem policyjnej interwencji nie był azotan amylu, lecz głośna muzyka ze wzmacniaczy. Funkcjonariuszy wezwał mieszkający pół mili dalej gitarzysta, który nie mógł ćwiczyć, bo nie słyszał własnej gitary. Twierdził, że prawo do ciszy jest podstawowym prawem wszystkich ludzi, również tych hałaśliwych.

Po trwającym tydzień namyśle Christine Shalcross postąpiła dokładnie tak, jak poradził jej mąż. Nie musiała szukać daleko, wystarczyło przenieść się na drugą stronę padoku, gdzie popowi piosenkarze plenili się jak piwonie.

– Przynajmniej będę blisko niej – oznajmiła mężowi. – Wolę, żeby Plurabelle nadal mieszkała z tobą. Dziewczyna potrzebuje ojcowskiego przykładu, poza tym ciebie kocha bardziej niż mnie. To kolejna rzecz, która was łączy.

Zniesmaczony samym sobą, upokorzony przez żonę, rozczarowany synami (związali się z bankami, które bezwstydnie upadły), przygnębiony cynizmem studentów, przerażony towarzyską degrengoladą Złotego Trójkąta, przeczuwając, że i tak długo nie pożyje (jego rodzice i dziadkowie umarli przedwcześnie), Shalcross poinstruował swoich prawników, aby zadbali o przyszłość Plurabelle.

– Ze względu na ogromną fortunę i urok osobisty Plury będzie wystawiona na pastwę burżujów i pijawek – powiedział. – Poniżej wymieniam szereg prób, jakim powinien zostać poddany każdy kandydat do jej łóża. Tym, którzy spróbują zdobyć jej względy innym sposobem, należy uświadomić, że wpływy mojej rodziny są rozległe i sięgają zarówno wyżyn, jak i nizin społecznych.

Po zdeponowaniu tych szczegółowych postanowień w kancelarii Shalcross udał się do ogrodu przy Starej Dzwonnicy – jego dzwonnica, ma się rozumieć, naprawdę była stara – legł pod drugim najstarszym dębem w Cheshire, zatkał nos chusteczkami, by nie czuć smrodu mamony, i połknąwszy śmiertelną dawkę tabletek, które jego rodzina od pół wieku sprzedawała po mocno zawyżonej cenie, wyzionął ducha.

Bogatsza o fortunę i niezależność Plurabelle wylała morze łez – odziedziczyła bowiem po ojcu gen smutku – i dopiero po upływie stosownego czasu odważyła się przeczytać testament, który otrzymała od notariusza w podłużnej kopercie z szarego papieru. Ten stosowny czas był dla niej czasem rocznej przerwy w nauce, podróży, medytacji, poznawania ciekawych ludzi, powiększenia biustu i zrobienia sobie twarzy.

A gdy się wypełnił, Plurabelle, wyglądająca teraz jednocześnie młodo i staro jak na swój wiek (oraz trochę, ale tylko trochę, jak Azjatka), rozcięła kopertę nożykiem z rogu jednego z nosorożców, w obronie których zdarzało jej się maszerować główną ulicą Manchesteru. Nie widząc powodu, dla którego jej życiowy partner powinien umieć wskazać trzy największe kłamstwa dwudziestego wieku, wymienił pięćdziesiąt najbogatszych „cudzoziemskich” rodzin w Zjednoczonym Królestwie albo przedstawić sensowny plan zabójstwa Tony’ego Blaira, wyrzuciła ostatnią wolę ojca do kosza i sama wymyśliła próby, które pomogą jej wyłonić idealnego kandydata. W dniu dwudziestych pierwszych urodzin wybrała się na imprezę swingersów w Alderley Edge – upewniwszy się najpierw, że nie spotka tam swojej matki. Ubrana w kombinezon i gogle kierowcy formuły jeden, podzwaniała kluczykami od wszystkich trzech swoich samochodów – volkswagena garbusa, bmw alpiny i porsche carrery. Kluczki te – kiedy już przykuła uwagę większości zgromadzonych – wrzuciła do wiadra z lodem, po czym wyszła, wsiadła do garbusa i tam czekała. To, że wrywano sobie kluczyki do bmw i porsche, a nikt nie przyszedł do volkswagena, nie było dla niej wielkim zaskoczeniem, znajdowała się w końcu w Cheshire, niemniej wyciągnęła z tego bezcenną naukę. Mężczyźni, oślepieni blaskiem powierzchownego piękna,

nie dostrzegają tego, co istotne, a już na pewno nie potrafią tego docenić. Została na rok lesbijką; zasięgnęła wiedzy na temat święceń od pewnej zakonnicy, która była kiedyś sekretarką u jej ojca; próbowała sił jako modelka, w dziennikarstwie, fotografii oraz rzeźbie kinetycznej, zmniejszyła sobie piersi, wreszcie postanowiła – mimo braku jakichkolwiek umiejętności kulinarnych – otworzyć własną restaurację w dawnych stajniach Starej Dzwonnicy.

Utopia, bo tak ją nazwała, miała być głównym elementem idealistycznego eksperymentu, o którym jej ojciec dużo mówił, a którego nigdy nie zdołał wcielić w życie. Goście restauracji zostawali na noc, a niekiedy na cały weekend, bawili się w szukanie skarbów, grali w krokieta, zakochiwali się i odkochiwali, pięknie się ze sobą zgadzali, korzystali z rozmaitych terapii, od masażu ajurwedycznego po rozwiązywanie problemów małżeńskich (Plurabelle po latach ćwiczeń na własnych rodzicach miała duże doświadczenie w mediacji pomiędzy zestresowanymi partnerami), piętnowali bogactwo, choć tylko bogatych było stać na udział, a także, rzecz jasna, zajadali się potrawami, które łączyły rozrzutność i dużo dobrych chęci. Zapiekanka mięsno-ziemniaczana z lampką Krug Clos D'Ambonnay. Albo białe trufle z wodą z kranu. Po pewnym czasie Plurabelle oświadczyła dziennikarzowi z „Cheshire Life”, że umieści w menu własne dziewictwo – jak tylko wymyśli sposób na wybranie odpowiedniego kupca.

Mimo fotogenicznej, łobuzerskiej urody, zgrabnego, lekko zadartego noska, ust układających się w dzióbek, złocistych kędziorów, głębokiego głosu – przywodzącego na myśl brzęczenie sierpniowej pszczoły w oknie – oraz figury skandynawskiej pogodynki, Plurabelle Shalcross, podobnie jak jej zmarły ojciec, darzyła media nieufną fascynacją. Nie, nie robi programu telewizyjnego o weekendach w Utopii – no chyba że całą serię, wtedy mogłaby się zastanowić. Także sprzedaż własnej cnoty na szklanym ekranie budziła w niej sprzeczne uczucia, niechęć i ochotę, przy czym ostatecznie żadne z tych uczuć nie ucierpiało. Uznała bowiem, że frapującą telewidzów kwestię wyboru właściwego kupca najlepiej odwlekać w nieskończoność. Tydzień w tydzień będzie wyznaczać zalotnikom nowe zadania, a oni tydzień w tydzień będą ponosić fiasko. I tak właśnie było: w każdym odcinku śmiała się, płakała, przyrządzała niesmaczne dania i wygłaszała sądy – nie tylko na temat konkurujących o nią kochanków, ale również w sercowych sprawach pozostałych gości. Jej programy, początkowo skupiające się na miłości i

gotowaniu, w coraz większym stopniu polegały na wydawaniu werdyktów. Nowa seria o nazwie „Terapia kuchenna” z dnia na dzień stała się hitem. Skłócone pary, przyjaciele, a nawet długoletni wrogowie opowiadali Plurabelle o swoich nieporozumieniach, a ona serwowała im pyszne dania (przyrządzone za kulisami przez kogo innego) i ferowała wyroki, które wszystkie strony uważały za wiążące – gdyż do tego się wcześniej zobowiązały na piśmie.

Nie dość, że takie rozwiązanie było tańsze niż proces czy arbitraż, to jeszcze pozwalało zwaśnionym osobom doświadczyć przelotnej sławy, a przede wszystkim – niezrównanej mądrości Plurabelle. Mniejsza o to, kto wygrał spór, a kto go przegrał!

Dla tych, którzy mniej niż o sławę dbali o potwierdzenie swoich racji, upojona sukcesem Plurabelle stworzyła w Internecie specjalną platformę o nazwie Kłótnik. Tutaj kłótnicy mogli prosić o arbitraż brytyjską opinię publiczną. „Nie mogę sama wszystkiego rozstrzygać” – wyjaśniała Plurabelle znajomym. Brytyjska opinia publiczna okazała się jednak zbyt zajadłym sędzią nawet jak na swój własny gust; serwis utonął w żółci i Plurabelle znów musiała być tą, która – w duchu wspaniałomyślnej nierozstrzygalności – decydowała o wszystkim.

Życie było grą, zaś Anna Livia Plurabelle Kleopatra Co Piękne Cieszyć Nigdy Nie Przystanie Mądrzejsza Niż Salomon Christine – jurorką.

Ach, lecz smutek jest przekleństwem.

Matka powtarzała jej, że to normalne u dziewczyny, której niedawno umarł ojciec. Jednak Plurabelle szukała głębszej przyczyny. A może płytszej. W każdym razie – innej.

Matka nie mogła jej w tym pomóc.

– Filozofia wykracza poza moje matczyne obowiązki – oznajmiła. – Może zapisz się na zajęcia ze smutku w Wilmslow?

– Nie chcę, żeby mnie uczono smutku. Chcę się go pozbyć.

– Właśnie temu służą te zajęcia – odparła matka. – Źle się wyraziłam. To jak spotkania Anonimowych Alkoholików, tylko że dla smutnych i bogatych.

– Będę musiała wstać i powiedzieć: „Cześć, jestem Anna Livia Plurabelle Kleopatra Co Piękne Cieszyć Nigdy Nie Przystanie Mądrzejsza Niż Salomon Christine, mam na koncie grubo ponad dwadzieścia milionów funtów i jestem smutasem?”. Bo jeżeli tak, to dzięki, ale nie.

Matka wzruszyła ramionami. Jej zdaniem córka potrzebowała kochanka. Gdy ma się kochanka, nie ma się czasu na smutek.

Plurabelle mimo początkowej niechęci zapisała się na zajęcia ze smutku. Być może sama po cichu liczyła, że znajdzie tam kochanka. Inna sprawa, że naprawdę nie potrzebowała w swoim życiu jeszcze więcej smutku. Aby zachować anonimowość, owinęła sobie głowę chustą, w której wyglądała jak ktoś, kogo bardzo boli ząb. Większość pozostałych uczestników również zakrywała twarz. Jesteśmy smutni, bo jesteśmy sławni, pomyślała Plurabelle. Prowadzący powiedział im jednak, by nie szukali na siłę przyczyny, nie tłumaczyli sobie wszystkiego ambicją, stresem ani panującym w Żółtym Trójkącie duchem rywalizacji i zawiści. Są smutni i już. Najgorsze to kłamać przed sobą samym.

Po zajęciach omówiła pomysł nieszukania przyczyn smutku przy kawie ze starszym od siebie eleganckim mężczyzną, który na spotkaniu siedział nieco z boku i patrzył w przestrzeń, jak gdyby zmartwienia zwykłych śmiertelników nie mogły się równać z jego własnymi. Przedstawił się, tonem ni to przepraszającym, ni to lekceważącym, jako D'Anton. Przyglądając mu się z bliska, pomyślała, że jest smutny, bo jest homoseksualistą (a przynajmniej nie jest w stu procentach hetero), co zresztą, o ile dobrze zrozumiała, także nie musiało mieć konkretnej przyczyny. Rozmawiali długo i poważnie, na koniec zaprosiła go na imprezę w Utopii. To, czy zostanie sfilmowany, będzie zależało od niego. Jeśli chce, może kogoś przyprowadzić. Zjawił się jednak sam, z ogromnym szklanym przyciskiem do papieru, wewnątrz którego widniała pojedyncza łza.

– Piękny – powiedziała – ale nie trzeba było.

D'Anton zapewnił ją, że to drobiazg. Wyjaśnił, że zarabia na życie sprowadzaniem *objets d'art*, między innymi szklanych przycisków do papieru. Ten konkretny pochodził z japońskiej wioski, której mieszkańcy od czternastego wieku wydmuchują szkło (i na niczym innym się nie znają). Plurabelle chciała wiedzieć, czy to łza człowieka, czy zwierzęcia. Mówią, że to łza tego, kto na nią patrzy, odparł D'Anton. Po czym oboje zapłakali, a potem przytulili się mocno i wydawało się, że zostaną tak już na zawsze.

Odtąd D'Anton odwiedzał ją regularnie i nieraz zostawał dłużej niż reszta weekendowych gości. Oboje znajdowali ukojenie w swojej melancholii.

– Pewnie uważasz, że to śmieszne, że mieszkam w takim przepychu, a mimo to jestem smutna.

– Wcale nie. – Zaprzeczył ruchem głowy. – Sprowadzam piękne przedmioty z Japonii, Grenady, Malibu, Mauritiusa i Bali, w każdym z tych miejsc mam własny dom, a mimo to jestem smutny.

– Na Bali jeszcze nie byłam. Jak tam jest?

– Smutno.

Plurabelle współczująco pokręciła głową.

– Wyobrażam sobie.

Po chwili namysłu zapytała:

– Myślisz, że po prostu mamy zbyt wiele?

– My?

– Ty i ja. Ludzie tacy jak my. Wybrańcy losu.

– Ale czy na pewno jesteśmy wybrańcami losu? – powątpiewał D’Anton. – Albowiem korzeniem wszelkiego zła jest chciwość pieniędzy. Za nimi to uganiając się, niektórzy zabłąkali się z dala od wiary i siebie samych przeszli wieloma boleściami.

– Jakie to piękne – rzekła Plurabelle. – I takie prawdziwe. Aż chce mi się płakać. Często tak mam, jak słucham Paula Coelho.

– To słowa większego mędrca niż Paulo Coelho – oznajmił D’Anton ku jej zdziwieniu. Nie sądziła, że istnieje większy mędrzec.

– Nelsona Mandeli?

– Świętego Pawła.

– Czy to znaczy, że gdybyśmy oddali wszystko ubogim, nie przeszłyby nas tyle boleści?

Tego D’Anton nie wiedział. Przyznał natomiast, że czasem zastanawia się, czy problem smutku, przynajmniej w jego przypadku, nie jest bardziej kwestią nowoczesności niż bogactwa.

– Nie wydaje ci się czasami – zapytał – że jesteś zbyt nowoczesna?

Spodobało jej się to.

– Zbyt nowoczesna. Tak, masz rację. Zbyt nowoczesna. Tak, często się tak czułam, tylko że do tej pory nie zdawałam sobie z tego sprawy. Zbyt nowoczesna, oczywiście, że tak. – Wtem naszła ją myśl. – Chociaż to nie tłumaczy, dlaczego Aborygeni i Indianie na Discovery zawsze mają takie smutne miny. Trudno o nich powiedzieć, że są nowocześni.

– Owszem, ale zgodzisz się, że to inny rodzaj smutku. Przyczyną ich smutku jest poniżenie. Wyrządzono im krzywdę. To jest smutek ofiar.

Plurabelle przypomniała sobie zdjęcia Indian południowoamerykańskich w

kolorowych dodatkach do gazet. Wyglądali, jakby mieli tysiąc lat. Maorysi też. I Pigmeje. I Pasztunowie. Dlaczego oni wszyscy są tacy smutni?

– Ich też wyzyskano i poniżono.

– A Żydzi? Oni są starzy.

Co do Żydów miał więcej wątpliwości. Wziął to jednak na rozum – nie tyle swój, ile świętego Pawła (był bowiem zaprzysięgłym paulinistą).

– Sądzę, że Żydzi są nieszczęśliwi z własnej woli – orzekł w końcu. – Ani nie są nowocześni, ani nie są ofiarami. Sami wybrali sobie taki los.

– Ale dlaczego?

– Nie wiem, czy to błąd, czy raczej metoda, ale zawsze stawali w centrum wszelkich dramatów, i ludzkich, i teologicznych. Ich smutek wydaje mi się smutkiem politycznym. Żal nad sobą to bardzo mocne spoiwo. No i szantaż emocjonalny.

Plurabelle zmarszczyła swoje śliczne czoło. Chciała, by ta rozmowa trwała w nieskończoność, mimo wysiłku, jakiego od niej wymagała.

– Czyli oni się nie liczą, tak?

– Moim zdaniem nie.

Nieodłączny wyraz przygnębienia raptem zniknął z jej twarzy.

– Oczywiście, że się liczą – powiedziała ze śmiechem. – Nic innego nie robią, tylko siedzą i się liczą!

Podskoczyła jak mała dziewczynka, taka była z siebie zadowolona.

– Nie chcę, żeby to źle zabrzmiało – dodała na wszelki wypadek.

D’Anton zapewnił ją, że nie zabrzmiało.

Klasnęła z ulgą w swoje drobne dłonie.

Pomyślał, że bardzo jej do twarzy z tą dziecięcą spontanicznością. Miała zaognione kąciaki ust, jak gdyby wskutek permanentnej opryszczki, oraz niepokojąco przepaściste oczy, co utrudniało jej patrzenie po biblijnemu na wprost, aczkolwiek to samo można było powiedzieć o wszystkich kobietach ze Złotego Trójkąta. I miała coś, czego tamte nie miały: dziewczęce wyczekiwanie. Pragnienie szczęścia podszyte przeczuciem klęski. D’Anton prawie żałował, że nie może poczuć do niej czegoś więcej.

Ona w podobny sposób myślała o nim. Jaka szkoda.

Lecz brak romantycznych uczuć pozwalał im swobodnie ze sobą rozmawiać – z czego korzystała zwłaszcza Plurabelle. Opowiadała mu więc, bezbłędnie naśladowując ich manieryzmy, o niedoszłych kochankach przewijających się przez jej prawdziwe życie, w odróżnieniu od tych, których wynajdowała dla

niej firma produkcyjna, a którzy występowali z nią w telewizji. Boże, miała ich już po dziurki w nosie; z jakiegoś powodu sądzili, że aby ją zdobyć, muszą ją rozpieszczać i prawić jej komplementy, jeden podarował jej torebkę Hermès Birkin w kolorze – jak mu doniesiono – jej ulubionej szminki, drugi przyniósł szminkę od Guerlaina w ustalonym ponad wszelką wątpliwość kolorze jej ulubionej torebki, zamkniętą w ozdobionej samotnym brylantem szkatułce z kryształów Swarovskiego. Co oni sobie myśleli? Że jest przedmiotem, który można kupić pieniędzmi i pustymi słowami? Pokazała nawet D’Antonowi rzeczoną torebkę i szminkę. Co o nich sądzi?

Odparł, że jego zdaniem powinna je nosić razem.

Ona na to, że doszła do tego samego wniosku.

Roześmiali się.

– Ale ja taka nie jestem – zaznaczyła.

Znów się roześmiali.

Zainstalował się u niej niczym kamerdyner albo spowiednik. Między podrózkami do Japonii i oglądaniem przycisków do papieru miał niewiele do roboty. „Zatrudniam ludzi” – wyjaśnił. Było w nim coś z przedwczesnego emeryta. Plurabelle od czasu do czasu zapraszała znajomych, by posłuchali, jak D’Anton opowiada o cudownych rzeczach, które sprowadza, i o pięknie w ogóle. Szybko stał się jej niezastąpionym przyjacielem – był przystojny, smutny, rycerski, poza jej zasięgiem i jakby nieskazony. Sama jego obecność czyniła świat wokół niego czystszy.

Jak długo może kto leżeć w ziemi, nim zgnije?

A kobieta? Czy nie gnije szybciej niż mężczyzna?

Shylock, zrozpaczony, ukochany mąż Lei, tego się obawiał. Skóra o tyle delikatniejsza, kości o tyle kruchsze.

Właśnie aby spowolnić ten proces, aby zachować ją przy życiu, nie tylko dla siebie, ale również dla niej samej, przychodził codziennie na jej grób, przynosił jej fiołki albo niezapominajki, mówił do niej, słuchał jej, tak samo jak wtedy, kiedy żyła. Jadał w jej towarzystwie śniadanie: kawa po turecku z termosu – Lea uwielbiała zapach kawy – i *panino* z serem zawinięte w lnianą chusteczkę. Nie przejmował się tym, że na nią kruszy. To było trochę tak, jakby ją karmił. Karmił ją zresztą nie tylko jedzeniem, ale także smacznymi plotkami na temat ich wspólnych przyjaciół, krzepiącymi wieściami o Jessice. Te drugie wybierał jeszcze staranniej, same pozytywy: jaka się staje kobieca, jak bardzo przypomina matkę. W niektóre poranki, gdy chciał jej oszczędzić wiedzy o stanie swoich interesów – o wiszącej nad nim groźbie nędzy – czytał jej na głos. Nie o Jakubie i jego owcach ani o Labanie, Hagar czy proroku Danielu. Tamte opowieści przeznaczal dla gojów, bo wiedział, z jakim zakłopotaniem słuchają biblijnych historii z ust Żyda. Nie, ich wspólne lektury, a czytali razem prawie co wieczór, były znacznie bardziej urozmaicone. Oni także potrafili cytować Wergiliusza i Owidiusza, wiedzieli, czym były Scylla i Charybda, i dyskutowali o pitagorejskiej filozofii duszy. Aby rozgrzać żonę w mróz, czytał jej Petrarke albo Boccaccia. Z czasem sięgnął też po *Arkadię* Philipa Sidneya, *Niefortunnego podróżnika* Thomasa Nashe'a oraz *Epitalamium* Edmunda Spensera. W końcu doszedł do Johnsona, Wordswortha, Dickensa, Dostojewskiego, do wielkich powieściopisarzy imperiów austro-węgierskiego i amerykańskiego. Zależało mu, aby Lea była ze wszystkim na bieżąco i się nie znudziła. Podobnie jak on, gustowała w liryzmie i sarkazmie, a niekiedy nachodziła ją nawet ochota na groteskę.

– Przeczytaj mi tę komedię o człowieku, któremu się zdaje, że jest robakiem

– poprosiła pewnego razu.

– Masz na myśli *Przemianę*?

– Nie, najdroższy, *Mein Kampf*.

I oboje wybuchnęli opętańczym śmiechem.

Tym członkom wspólnoty, którzy uważali jego przywiązanie do zmarłej za chorobliwe, odpowiadał, że jest wprost przeciwnie, towarzystwo Lei ratuje go przed powszechnym w tych czasach uczuciem przygnębienia, na które on jest przecież narażony jeszcze bardziej niż inni. Tego trawił tajemniczy smutek, tamten z niewiadomych powodów czuł zmęczenie życiem – cóż, Shylock miał swoją teorię na temat źródeł owej mody na mazgajstwo, lecz w jego przypadku, a mógł mówić tylko za siebie, życie stałoby się nie do zniesienia, gdy pozwolił sobie choć na ułamek chwili zapomnieć o kobiecie, którą pokochał od pierwszego spojrzenia. Śluby są po to, by ich dotrzymywać. Drugiej takiej osoby w jego życiu nie było i nie będzie. Jeżeli z tego powodu bywał chmurny i nietowarzyski, trudno. Kto powiedział, że życie ma być jedną wielką hałaśliwą maskaradą (przerywaną częstymi przypiływami melancholii, tak chętnie pielęgnowanej przez ludzi, którzy z własnych uczuć uczynili religię)?

A jeśli jego córka, Jessika, czuła się przytłoczona tą niekończącą się żałobą?

Shylock nie uważał, że jest pogrążony w żałobie. Wręcz przeciwnie. Ilość czasu spędzanego z Leą dowodziła, że nie ma powodów do żałoby. Nie opłakiwał swojego małżeństwa – on je celebrował. Widział kto, żeby oblekał się we włosiennicę? Albo posypywał głowę popiołem? Czyż nie przychodził co rano na cmentarz schludny jak pan młody?

Miał jednak świadomość, że w gruncie rzeczy stosuje unik. Jessika, tak jak to z dumą oznajmiał Lei, naprawdę dorastała. Nieraz gdy ją mijał na schodach, brał ją nawet za swoją żonę. Miała prawo wielbić i być wielbiona, doświadczyć tego, co było – i dawniej, i teraz, jakkolwiek dziwne musiało jej się to wydawać – udziałem jej rodziców. Nadeszła jej kolej.

Gdy pojawiał się ten temat, Shylock odwracał oczy. Nawet gdy sam podnosił go w myślach, w rozmowie ze sobą, kierował spojrzenie w inny zakamarek duszy. J e j k o l e j! Jaki ojciec chętnie myśli o tym, że przyszła kolej na jego córkę?

No i – z kim?

Na dobrą sprawę wśród tych ludzi powinna być bezpieczna. Ona, córka

wstrętnego Żyda! Zdawałoby się, że dla dziewczyny, w której żyłach płynęła taka krew, trzeba będzie szukać zalotników, a nie bronić jej przed nimi. Kto by chciał mieć cokolwiek wspólnego z Shylockiem? Niestety, tak samo jak nie gardzili jego pieniędzmi, nie pogardzili jego dzieckiem. Czy transakcja handlowa zmywała odium? A pożądanie?

A może na odwrót, odium dodawało smaku temu, czego pragnęli, a co mogli jedynie pożyczyć – lub ukraść?

Jego córka była piękną dziewczyną. Także w mniej zawistnym i pazernym społeczeństwie, w którym celem każdego mężczyzny nie jest ożenek dla pieniędzy, miałyby na pewno adoratorów. To, że nie wierzył w szczerą intencję jej zalotników, wcale nie oznaczało, że nie wierzył w nią samą. Przeciwnie: kochał ją i widział w niej – nieraz ku własnemu zakłopotaniu – to, co widzieli inni, i dlatego tym gorliwiej stał na straży jej szczęścia. Podziw dla niej był w rzeczy samej jedną z przyczyn jego nieporadności. Matka umiałaby ją lepiej chronić, lecz Jessika nie miała matki. Owszem, zasługiwała na to, by się do niej zalecano. Jako Żydówka była jednak towarem, czasy były chciwe, a ci ludzie byli kolekcjonerami.

Cóż, to ich, nie jego, moralny bałagan. Taką mieli religię, dobrze im tak. Lecz pogarda wobec obłudy chrześcijan, którzy wyznawali jedno, a czynili co innego, nie zmieniała faktu, że nie wiedział, co powiedzieć Lei. Nie mógł jej oznajmić, że Jessika uciekła. Że jest wiarołomczynią, kłamczynią i złodziejką. A już na pewno nie mógł jej powiedzieć, co ukradła.

To, że miał sekrety przed żoną – bez względu na to, co wilgoć grobu robiła z jej ciałem – przeszywało go większym bólem niż najostrzejszy nóż. Czuł, że zdradza jej zaufanie.

A ona wciąż nic nie wie.

To szczęście, pomyślał. Szczęście, że nie uciekła wcześniej.

Córka Simona Strulovitcha w ogóle nie uciekła z domu. Przynajmniej na razie. Chyba że ucieczką można nazwać studia. Poza tym jednak położenie Strulovitcha było podobne. On także martwił się jej egzotycznym powabem, obawiał się żądzy, jaką budziła, i że okaże się podatna na pochlebstwa. Do tego wszystkiego dochodziła jego reputacja bogatego konesera sztuki, mecenasa elitarnych instytucji oraz – tylko dlatego, że bywał w Izraelu i przekazał parę dzieł tamtejszym uniwersytetom – syjonisty; słowem, reputacja, którą w swej próżności gotów był poczytywać za większą zachętę niż wdzięki

Beatrice. Obawiał się nie tyle kradzieży – Beatrice nie miała klucza do jego sejfów – ile dorabiania mu gęby potwora, z czym jego córka z pewnością zetknęła się na uczelni, a co czyniło ją jeszcze atrakcyjniejszą zdobyczą. Mówiąc najkrócej, była warta zachodu. W dziejach terroryzmu i bandyctwa, rewolucji i spisków roiło się od zdradzieckich córek bogaczy o niepopularnych poglądach. Dziewczyna sypiająca z wrogami ojca – oto dopiero smakowita historia, łup cenniejszy nawet od jego rubinów i turkusów.

Strulovitch przypominał Shylocka pod jeszcze jednym względem. Jemu także nie było dane poradzić się matki dziewczyny.

Udar, którego jego żona doznała w dniu czternastych urodzin Beatrice, wydawał się zbyt symboliczny, by mógł naprawdę być symbolem. Okrutny pech, nic więcej. Los uderzył na oślep i na odlew. Ofiarą mogła być każda inna kobieta. Tego się trzymaj, powtarzał sobie Strulovitch. Pogódź się z przypadkowością. Jeśli zaczniesz szukać winowajcy, nigdy nie przestaniesz.

Kay stopniowo odzyskała mowę – nie w ścisłym znaczeniu, gdyż poruszała ustami bezgłośnie, lecz Strulovitchowi to wystarczało, by poczuć, że to wciąż ta sama osoba. Ani w języku gestów, ani w żadnym innym nie poruszali tematu jej nieszczęścia. Żyła teraz w łóżku – miała własne – potrzebowała pomocy przy myciu i jedzeniu i nie zawsze rozumiał, co usiłuje mu przekazać, poza tym jednak udawali, że wszystko jest po staremu. O Beatrice starał się mówić jak najmniej, o swoich obawach o nią nie wspominał wcale. Nie chciał wywierać presji na Kay. Wolał, by sama wybierała tematy rozmów na miarę swoich ograniczonych możliwości. Obecność Beatrice poprawiała jej humor, ale z jakiegoś powodu wolała się z nią widywać w cztery oczy, jak gdyby przestali być rodziną, niczym szprychy, które powypadały z koła.

Strulovitch, kiedy ją odwiedzał, patrzył na nią, jakby jej nie widział. Za jej plecami, niby w pękniętym zwierciadle, widywał czasem żonę sprzed udaru, lecz nie mógł się do niej uśmiechnąć, gdyż w jego odczuciu byłaby to niewierność. W obliczu spustoszonej pamięci lepiej samemu wszystko zapomnieć. Siedzieli więc w milczeniu, on na krześle przy jej łóżku, trzymając ją za rękę, ona zapatrzona w przestrzeń, pozbawieni wspólnej przeszłości, a już na pewno przyszłości, w doskonałej harmonii nieistnienia. Tak skamieniali, że można by pomyśleć, iż to pierwsi ludzie, czekający, aż tchnie się w nich życie, aż rozpocznie się dzieło stworzenia.

Strulovitch nigdy przedtem tak bardzo nie dziękował opatrności za odziedziczoną fortunę, zbudowaną na częściach samochodowych. Stosunki z

ojcem udało mu się naprawić. Pochówek okazał się tymczasowy: rozwód z Ofelią-Jane Smythson przyniósł pojednanie, a małżeństwo z Kay Kominsky – wielką falę ojcowskiej miłości, która omal nie zwała go z nóg. Małżeństwo z Żydówką, nie z gojką, było najwyraźniej tym, czego ojciec – pod każdym innym względem poganin – potrzebował do szczęścia. Niech wszystko zostanie w rodzinie. Proszę bardzo. Ojciec ponownie uczynił go swoim dziedzicem. Teraz, gdy Kay była chora, Strulovitch zrozumiał, jak ważną rzeczą jest posiadanie pieniędzy. Życie było drogie. Owszem, na pozór miał więcej, niż potrzebował – i dlatego tyle rozdawał, fundował etaty na uczelniach, wspierał biblioteki, dokładał się do dzieł sztuki, które w przeciwnym razie wyjechałyby z kraju – lecz do normalnego życia potrzeba było niewiele mniej. A przez normalne życie rozumiał dom, który pomieści dzieła sztuki i bogaty księgozbiór, wygodne podróże, garnitury od włoskich krawców, szofera, dobrą szkołę dla córki i całodobową opiekę dla żony. Miał też własną roboczą definicję ubóstwa. Biedakiem był ten, kogo nie stać było na zapewnienie sobie – teraz lub w przyszłości – profesjonalnej opieki pielęgniarzkiej. Człowiek powinien się bogacić choćby po to, by nie trafić na starość w ręce państwa. Nagrodą za ciężką pracę była godna śmierć. Zabierasz mi życie, skoro zabierasz mi środki do życia... i środki, które pozwolą mi spokojnie umrzeć.

No i, rzecz jasna – skoro już mowa o umieraniu – pieniądze były mu potrzebne do tego, by w godzinie trwogi uciec jak najdalej, nie oglądając się za siebie i zgarniając po drodze wszystkich bliskich, jacy mu zostali. Nawet on, który raz czuł, a raz nie czuł się Żydem, pod tym jednym względem był nim zawsze: uważał, że bezpieczeństwo nigdy nie jest dane raz na wieczność, prędzej czy później nadejdzie zagrożenie.

Tymczasem budził się co rano spokojny, że jego żona może liczyć na kąpiel, córka na edukację, a jemu w razie potrzeby nie zabraknie pieniędzy, by przekupić funkcjonariuszy na granicy – czy choćby opłacić własnych opiekunów. Ten spokój pozwalał mu działać. Działanie zaś pozwalało nie myśleć o tym, że jego żona jest wrakiem. Brak wolnego czasu – którego to określenia wykładowcy Beatrice używali zapewne wymiennie ze słowem „kapitalizm” – uważał za wspaniały wynalazek.

Ale nie napawał się bogactwem. Jeżeli w ogóle czymś się napawał, to światem widzialnym. Przecież jestem uduchowiony, odpowiadał każdemu, kto próbował mu przypominać o sprawach innych niż doczesne. Jestem

uduchowiony, ponieważ uważam, że świat materialny jest przepełniony boskością.

A miłość?

Nie rozumiał, jak można kochać coś, czego nie widać.

Nie oznaczało to, że nie kochał swojej córki, kiedy jej nie widział. Zresztą kiedy to było? Od jakiegoś czasu miał ją stale przed oczami. Czym jest troska, jeśli nie noszeniem w sobie czyjegoś obrazu? Od chwili gdy jego żona doznała udaru – nie, jeszcze dłużej – troszczył się o córkę bez przerwy.

Długo czekali na swoje pierwsze i jedyne dziecko – była to udręka zwłaszcza dla Kay, która stereotypowo wspominała o tykającym zegarze biologicznym i bała się, że nie zdążą. Jemu niespecjalnie zależało na dzieciach, a gdy inni mężczyźni opowiadali, że na widok pierworodnego serce omal nie pękło im z radości, podejrzewał ich o przesadę – dopóki sam tego nie poczuł. Po części była to zapośredniczona radość Kay, spotęgowana ulgą i przerażeniem – bo każdy, kto pragnął czegoś tak mocno jak ona, prosił się co najmniej o rozczarowanie. Dziecko poczęte cudem jest po dwakroć droższe i kruchsze. Do tego dochodził zwyczajny egoizm. Patrząc na małą Beatrice, Strulovitch widział siebie w kapsule czasu. Na moment ujrzał też oczyma duszy smugę chwały i wyobraził sobie, że to dziecko jest wysłańcem Boga, a oczy ma zamknięte dlatego, że przybyło na świat z miejsca pełnego olśniewającej jasności. To z kolei nasuwało pytanie, który Bóg ją przysłał i z jaką wiadomością. Czy tamta chwila była dla Strulovitcha przeżyciem religijnym? On tak nie uważał. Nie był religijny. Nie modlił się. Nie obwiązywał sobie rąk, nie zakrywał głowy. Pod względem praktyki nie różnił się niczym od poganina. Była to zresztą chwila zbyt krótka, by mogła wywołać w nim jakąś przemianę. Pod naciskiem przyznałby jednak, że Bóg, który olśnił jego córeczkę swoją chwałą, był żydowski, nie chrześcijański; zbyt poważny i majestatyczny, aby mógł kiedykolwiek przybrać ludzką postać. Tylko tyle. Ale choć na tym skończyło się wejrzenie Strulovitcha w istotę wszechrzeczy, wystarczyło ono, by raz na zawsze postanowił, jak powinno wyglądać życie Beatrice. Miała wyjść za mąż za Żyda, nie dlatego że gardził nie-Żydami albo że chciał przedłużyć swój żydowski ród, ale dlatego że jej życie było czymś serio: zaczęło się w swoistym bólu zapamiętanej wzniosłości i oczekiwanego smutku, którego nie wolno było rozmieniać na czysto subiektywne uczucie i samowolę – na kaprys, złośliwość czy humorzystą apostazję ani nawet na przypadkową miłość, jakkolwiek głęboką – a który nakładał na nią obowiązki

honoru i lojalności (pal diabli, że nie do końca wiadomo wobec kogo lub czego). To było większe od niej. Przymierze. Coś, co w przypadku chłopca znalazłoby namacalny wyraz w rytuale obrzezania. Coś w rodzaju przysięgi posłuszeństwa – i nie miało znaczenia, że ona sama, dopiero co się urodziwszy, nie mogła jej złożyć we własnym imieniu. Czyż nie to było powodem, dla którego on, jej ojciec, miał obowiązek, w myśl wszystkiego, co uważał za święte, przysiąc za nią?

Przysięgnij.

Przysięgł.

Przysięgł dochować przymierza.

Przedtem co prawda zerknął na boki, czy nikt nie patrzy, zwłaszcza Kay, dla której ten moment najwyższej macierzyńskiej miłości był kompletny sam w sobie i która na pewno by nie chciała, aby jej mąż zmącił go zabobonem, fanatyzmem, trybalizmem, powagą ponad wytrzymałość śmiertelnego ciała, jakkolwiek nazwać to, co w niego wstąpiło – ale przysięgł.

D'Anton pełnił w życiu Plurabelle jeszcze jedną funkcję: jako człowiek z licznymi i różnorodnymi koneksjami poszerzał jej krąg o ludzi, których w normalnych okolicznościach by nie poznała, nawet jeśli wielu z nich mieszkało po sąsiedzku. Rzecz jasna, do modelek, aktorek, bankierów, raperów, gwiazd futbolu i astrologów z telewizji śniadaniowej potrafiła dotrzeć sama. Czasem oni docierali do niej. Co innego gracze w krykieta, rugbyści, księgowi, architekci, projektanci, trenerzy rozwoju osobistego czy nawet, rzadko, bo rzadko, wolnomyślni biskupi (z racji utrzymywanych przez rodzinę D'Antona od wielu pokoleń związków z Kościołem) – takich właśnie ludzi drugiego, lecz wciąż niezgorszego sortu zaczął jej podsuwać D'Anton, który znał ich stąd, iż płacili mu za upiększanie swoich domów, a niekiedy nawet za zdobycie konkretnego obrazu. „Cokolwiek z Kaplicy Sykstyńskiej” – brzmiało jedno z takich zamówień. „Obraz, na którym dwóch gejów kłóci się w łaźni, tego faceta, który podobno napisał całego Shakespeare'a” – zażyczył sobie ktoś inny. Plurabelle nie mogła się nadziwić, jak wiele D'Anton zna osób i jak różni są to ludzie.

Nieraz gdy przyprowadził kogoś na przyjęcie w jej domu, przewracał wymownie oczami, dając do zrozumienia, że nie uważa go za swojego znajomego i nie ręczy za niego, i że dobrze by było, gdyby ochrona miała go na oku.

Raz zapoznał ją z pół-Francuzem, pół-Algierczykiem Mehdim Mehdim, lalkarzem brzuchomówcą ściganym przez algierską i francuską policję za nazistowskie poglądy głoszone przez jego lalkę, który jednak utrzymywał – zdaniem D'Antona nie bez racji – że jako brzuchomówca nie posiada własnej osobowości ani poglądów, a lalka służy mu do krytyki rzeczonyj ideologii (co nie znaczy, że uważa się za krytyka w sensie ścisłym). Zapytany przez dziennikarzy o sympatię okazywaną swojej lalce – sympatię, którą wielu podzielało – oddał głos samej marionetce, która oznajmiła, że z dwojga złego lepiej, aby połowa młodych Francuzów zaczęła wykonywać nazistowskie

gesty, niż aby witała się gwiazdą Dawida.

Plurabelle bardzo to zdziwiło. Nie wiedziała, że połowa młodych Francuzów wita się gwiazdą Dawida.

D'Anton machnął uspokajająco ręką.

– Jego żarty są może nieco okrutne albo wręcz kłamliwe – przyznał – ale w gruncie rzeczy to miły facet i warto go zaprosić.

Plurabelle rozumiała to rozróżnienie i kazała D'Antonowi przyprowadzić Mehdiego z lalką. Ku jej przyjemnemu zaskoczeniu okazali się niezłymi tancerzami. Gdyby nie to, że ścigała go policja, zaprosiłaby go, albo chociaż lalkę, na konfrontację z rabinem w „Terapii kuchennej”.

Najlepiej z rabinem brzuchomówcą, żeby ich lalki mogły sobie skakać do gardeł.

Ani Plurabelle, ani D'Anton nie rozumieli powodów popularności Mehdiego wśród sportowców, lecz jego sztandarowe nazistowskie pozdrowienie zaczęli wkrótce naśladować francuscy piłkarze, którzy mieli okazję oglądać jego występy w undergroundowych kabaretach Marsylii, a także piłkarze z Cheshire, którzy ochoczo podchwytywali najnowsze trendy z Francji, choć tylko jeden z nich – Gratan Howsome, znajomy D'Antona zaproszony przez niego na przyjęcie u Plurabelle – odważył się wykonać ten gest na boisku.

– To chrześniak bardzo mi drogiego zmarłego przyjaciela – wyjaśnił D'Anton, gdy Plurabelle wyraziła zaskoczenie serdecznością między nimi. Sama, owszem, miała słabość do tatuaży i piercingu, lubiła mężczyzn, którzy snuli się za nią jak pies i za każdym razem mieli nową fryzurę, lecz nie sądziła, że D'Antona kręca takie rzeczy. Wiele wskazywało jednak na to, że ich wzajemna sympatia – chwilami nosząca znamiona czegoś więcej – miała długą historię.

– To skomplikowane – powiedział jej D'Anton. – Jak każdą głęboką, lecz nietypową zażyłość, również i tę niełatwo wyjaśnić w kilku słowach. Odziedziczyłem pewne zobowiązanie – nie boję się nazwać go świętym – po przyjacielu, który także odziedziczył je po przyjacielu. Można by rzec, że w całej tej grze biedny Gratan jest tylko piłką – ale nie chcę być posądzony o krotocwilność. Ten chłopak jest w gruncie rzeczy sierotą. W pewnym sensie pełni rolę jego opiekuna.

– Jak na sierotę chyba nie może narzekać na brak troszczących się o niego osób – powiedziała z irytacją, której sama się nie spodziewała.

Czyżby była zazdrosna o to, że Gratan cieszy się względami zarezerwowanymi, jak zwykła sądzić, tylko dla niej?

– Chyba niejasno się wyraziłem. Porzuciła go matka. Ojciec go bił. Wuj maltretował. Gdyby nie Frederico, a potem Slavco, nie wiadomo, jak by się potoczyły jego losy. Teraz ta odpowiedzialność spoczywa na mnie.

– Mówisz o tym jak o przykrym obowiązku.

– Nic podobnego. Odziedziczyłem zobowiązanie i cieszy mnie, że mogę pomóc. Jaki byłby z nas pożytek, gdybyśmy nie odpowiadali na wołanie potrzebujących? Tym bardziej jeżeli możemy w ten sposób uczcić pamięć przyjaciół, których zabrała nam śmierć. Widzę w Gratanie coś z łagodnego usposobienia jego poprzednich opiekunów, nawet jeśli niektórzy mają go za prostaka. To młodzieniec o rzadko spotykanej u piłkarzy wrażliwości fizycznej. Przeuroczy, wbrew jego opinii kobieciarza.

– A co z jego opinią nazisty?

D’Anton zaśmiał się i pokręcił głową.

– To bardzo świeża historia. Efekt jego znajomości z Mehdim. Chłopak po prostu ma tik w ramieniu. Dałbym się za niego pokroić.

Sam Gratan utrzymywał, że padł ofiarą nieporozumienia. Ponieważ inni zawodnicy (bez nazwisk) wykonywali ten gest ukradkiem, udając, że drapią się za uchem, uznał, iż należy zerwać z hipokryzją. Nie uważał się za rasistę – czy kiedykolwiek ukarano go kartką za dokuczanie czarnoskóremu lub żółtoskóremu zawodnikowi? – a już na pewno nie był antysemitą. Niech wskażą jeden mecz, w którym dostał kartkę za faul na Żydzie. Nie mówiąc o tym, że co najmniej jedna z jego żon – wyleciało mu z głowy która – miała w sobie żydowską krew.

– Kręcą go Żydówki – powiedział Plurabelle D’Anton. – Uważa, że są sexy. O gustach się nie dyskutuje.

– Ma jakąś w tej chwili?

D’Anton po namyśle odparł:

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– W takim razie spróbujmy mu kogoś znaleźć. Jesteśmy to winni twoim przyjaciołom.

Jakiś czas po zadomowieniu się u niej D’Antona – mniej więcej półtora roku później – Plurabelle się zakochała. Nie w D’Antonie ani tym bardziej w Gratanie, ani też nie w ściganym przez policję algierskim brzuchomówcy czy

w jego lalce, lecz w człowieku, którego po raz pierwszy ujrzała pod swoim volkswagenem garbusem. Coś zepsuło się w jej porsche carrerze, lecz mechanik przysłany z warsztatu (to warsztat przyjeżdżał do niej, a nie ona do niego) uznał, że o wiele przyjemniej będzie poleżeć sobie chwilę pod garbusem, samochodem, którego w Złotym Trójkącie ze świecą było szukać, w przeciwieństwie do porsche, których było na pęczki.

Poinformowana przez swojego zarządcę, że ten jegomość, który – prawdę mówiąc – nie wyglądał na mechanika, nawet nie obejrzał porsche, tylko od razu ruszył w kierunku garbusa, Plurabelle pisnęła uradowana swoim fartem. Znalazła go – nareszcie go znalazła! Oto mężczyzna, który nie daje się zwieść blichtrowi. Gdyby w dodatku okazał się choć odrobinę urodziwy, gotowa była oddać mu się tu i teraz – mimo że „tu” oznaczało w tym wypadku żwirowy podjazd.

Pobiegła do domu zmyć makijaż. Po kwadransie wyszła z niego w swoich najstarszych rzeczach.

– Niech cię obejrzę! – zawołała i klasnęła w dłonie. Była kobietą przyzwyczajoną do posłuszeństwa. Ale i spragnioną kogoś, komu sama będzie posłuszna.

I kiedy wreszcie, cal po calu, wyłonił się spod auta, umazany smarem i nieco speszony, że nie jest ubrany po roboczemu – ba, nie zakasał nawet rękawów koszuli – przedstawiał najpiękniejszy obraz niewinnej męskości, jaki kiedykolwiek radował niewieście oczęta...

W umyśle cynika zamiast słowa „niewinny” mogłoby się w tej chwili pojawić słowo „wyrachowany”. Kto chce zdobyć serce dziedziczki znanej z nieufności do pochlebców łasych na wszelki blichtr, ten musi, jeśli ma choć trochę oleju w głowie, dać jej do zrozumienia, że stawia prostotę wyżej niż krzykliwość. Ci frajerzy, którzy polegli na pierwszej przeszkodzie, oślepieni powierzchownym blaskiem, nie zasługiwali na nic więcej. W czym upatrywali próby swojego charakteru, jeżeli oczekiwano od nich tylko przewidywalnej elokwencji w rozmowach o luksusach? Czy kobieta, którą można zdobyć takim banałem, nie zostałaby zdobyta już sto razy?

Odrobina trzeźwej kalkulacji oszczędziłaby trudu i wydatków niejednemu zalotnikowi.

Przeciwko zarzutowi oportunisty należy jednak przytoczyć pewien intrygujący fakt: otóż kiedy mechanik wczłogiwał się pod volkswagena,

dziedziczki nie było w domu i nieprędko się jej spodziewano; powstaje zatem pytanie, skąd mógł wiedzieć, że go tam znajdzie (chyba że zamierzał nie ruszać się stamtąd aż do jej powrotu). Kalkulacja – albo jej brak, czasem na jedno wychodzi – która wprawdzie nie oczyszcza go całkiem z podejrzeń o fortel, niemniej świadczy o dużym poświęceniu. Był to więc, tak czy owak, mężczyzna niepozabawiony zalet.

To, że – jak się potem okazało – działał za wiedzą i namową swojego przyjaciela D’Antona (swojego bardzo serdecznego przyjaciela D’Antona), który a) doniósł mu, że w sercu Plurabelle jest dużo wolnego miejsca i b) poradził, jak najłatwiej w nim zamieszkać, wcale mu się źle nie przysłużyło, gdyż każdy bardzo serdeczny przyjaciel D’Antona automatycznie zyskiwał w jej oczach. Choć kiedy poznała go lepiej, przestało ją dziwić, że D’Anton jest taki smutny. Bo przecież każdy, kto choć raz widział Barnaby’ego, musiał go pokochać.

Barnaby’ego lub Barneya, jak od razu ochrzciła go w myślach – i jak później wielokrotnie nazywała go przy wszystkich z wyjątkiem służby.

Gdyby była pewniejsza zasad rządzących ideałem sielanki, według którego chciała żyć, kto wie, czy nie przytuliłaby ich obu do piersi, D’Antona i Barneya, by zobaczyć, co z tego wyniknie. Sypianie z wieloma mężczyznami nie było w Złotym Trójkącie rzeczą niespotykaną; jej samej po pierwszym rozczarowaniu przeciwną płcią zdarzało się sypiać z dwiema kobietami naraz. Ale choć nie bała się utraty Barneya (D’Anton nie miał volkswagena garbusa, pod którym mógłby majstrować), nie była pewna, jak zareagowałby na tak niekonwencjonalne zachowanie. To, że nie idealizował bogactwa, nie widział czystości w złocie, nie znaczyło, że nie idealizował Plury i nie widział czystości w niej.

Podobnie D’Anton, choć z nieco innej perspektywy.

Któregoś wieczora w restauracji zapytała ich, jak się poznali. Udzielili sprzecznych odpowiedzi. Barney twierdził, że nie pamięta. D’Anton powiedział, że nigdy tego nie zapomni. Według jego relacji poznali się na jarmarku rolniczym w Alsager, przy różnie, na którym opiekano świnie. D’Anton nie przepadał za wieprzowiną, ale gościł akurat japońskiego dmuchacza szkła, który był jej wielkim smakoszem. Trzeci raz zabrał go na lokalny festyn i trzeci raz Takumo udał się prosto do różna. Barnaby zwyczajnie się tam przechadzał, ni to zaciekawiony, ni to znudzony, ani głodny, ani syty. Dzień był ciepły, on nie miał nic do roboty, a rolnictwo miał we krwi.

Ubrany był w kremowy garnitur, leżący na nim luźno jak worek na obrok, a jego włosy przypominały wysypującą się z niego słomę. Światło, przefiltrowane przez chmury, opromieniało mu twarz rumieńcem późnego lata, upodabniając go do tytułowego złego pasterza z obrazu Williama Holmana Hunta. Plurabelle nie omieszkała wtrącić, że zna ten obraz – wisiał w Manchesterskiej Galerii Sztuki. Nieraz wpatrywała się w niego jak zauroczona, wyobrażając sobie, że to ona jest pasterką. D'Anton wydawał się niezadowolony, że mu przerwano, być może dlatego – rozumowała – że w odmalowanej przez niego scenie nie było pasterki.

Barney roześmiał się pastuszym śmiechem.

– Nie przypominam sobie takiego jarmarku, a już na pewno nigdy nie miałem takiego garnituru.

– Nosieś pod nim lnianą koszulę w kolorze złamanej bieli – nie ustępował D'Anton. – Bez jednego guzika.

– Jej też sobie nie przypominam.

– I miałeś na głowie słomianą panamę.

– To nie ja, szefie.

– A jaka jest twoja wersja? – zapytała Plurabelle, podniecona wzmianką o brakującym guziku.

Pokręcił głową.

– D'Anton jest w moim życiu praktycznie od zawsze – powiedział. – Równie dobrze mogłabyś mnie zapytać, kiedy pierwszy raz widziałem niebo.

Wyraz twarzy D'Antona przywiódł jej na myśl inny obraz Williama Holmana Hunta. *Światłość świata*. Jezus w aureoli z księżycą puka do drzwi bez nadziei, że ktoś mu otworzy, usta ma zaciśnięte, wręcz nadąsane, oczy spuszczone, jest smutny i rozżalony. „Oto stoję u drzwi i kołaczę: jeśli kto posłyszysz mój głos i drzwi otworzy, wejdę do niego i będę z nim wieczerzał, a on ze Mną” – lecz dobrze wie, że nikt nie otworzy.

Można by odnieść wrażenie, pomyślała Plurabelle, że D'Anton lubi czuć się odrzucony. Czyżby miał nadzieję, że nie dostanie od Barneya tego, czego chce, cokolwiek to jest?

A może to ona miała nadzieję, że Barney mu odmówi?

– Muszę odebrać – powiedział Strulovitch, sięgając po telefon. – To moja córka.

Niespiesznym krokiem, siląc się na towarzyskość, podążali przez cmentarz w stronę parkingu. Chwilę wcześniej Strulovitch zaprosił Shylocka do siebie – „Ogrzeje się pan, wykąpie, napije się szkockiej, zostanie na noc”. Shylock przyjął zaproszenie z lakoniczną skwapliwością, której Strulovitch się nie spodziewał, a która mu schlebiała. Mimo swoich bogactw i wpływów był człowiekiem skromnego pochodzenia i nie oczekiwał, że jego zaproszenia będą przyjmowane. Ludzie mają przecież lepsze rzeczy do roboty niż spędzanie czasu w jego towarzystwie.

– Wspaniale, wspaniale – powtórzył, kłaniając się nieco zbyt nisko.

Shylock – człowiek, któremu nieobce były problemy goszczenia i bycia goszczonym – poklepał go po ramieniu. Zdawało się, jakby obaj – wcale się do tego nie paląc – uznali, że należy przyspieszyć proces zawiązywania przyjaźni.

Dlaczego? Strulovitch na dobrą sprawę nie umiał na to odpowiedzieć. Nie należał do mężczyzn, którzy łatwo zaprzyjaźniają się z innymi mężczyznami. Matka, żona, córka – to wokół nich kręciło się całe jego życie. Może więc zatęsknił za czymś, czego nigdy nie miał. A Shylock? Strulovitch nie ośmieliłby się go zapytać o jego tęsknoty.

Spodobało mu się, że Shylock wziął go pod rękę, choć jego uścisk był żelazny. Czuł się teraz jak Europejczyk. Miał nadzieję, że jakiś przechodzień weźmie ich za profesorów sztuk pięknych Uniwersytetu Bolońskiego dyskutujących o tym, jak poprawić architekturę cmentarzy żydowskich.

– Pan ją ewidentnie rozpieszcza – orzekł Shylock, gdy Strulovitch się rozłączył.

W jego tonie przebijało silne uczucie. I nic dziwnego. Lecz co to było – smutek, zazdrość, gorycz?

Czy obaj zazdrościli sobie nawzajem?

A może Strulovitch był wsłuchany we własną ojcowską dumę i tkliwość?

– Jej matka jest zbyt chora, by mogła się o nią zatroszczyć – powiedział. – Cała odpowiedzialność spada na mnie. Nie czuję się do tego stworzony.

– To chyba dotyczy każdego mężczyzny – zauważył Shylock.

– Każdego bez żony, pewnie tak. No więc przyznaję, rozpieszczę ją. Rozpieszczę i zarazem tłamszę.

– Rozumiem i to.

– Na przemian chwałę i besztam. To, co daję lewą ręką, prawą zabieram. Poblązam jej, potem się gniewam, a potem mam wyrzuty sumienia. Czuję się tak, jakbym był z nią zamknięty w ciasnej przestrzeni – albo jej zawadzam, albo jestem skrępowany jej bliskością. A potem karzę ją za to, że ona czuje to samo. Moja miłość do niej jest strasznie rozhuśtana.

Shylock mocniej zacisnął palce na jego ramieniu. Strulovitchowi zdało się, że czuje pulsujące w nich wspomnienia.

– Pańskie słowa są jak sztylety – odezwał się Shylock. – Ale przeszyłyby każdego ojca. To niezmiennie prawo: ojcowie kochają swoje córki ponad miarę.

Zabrzmiało to w jego ustach jak straszliwy obowiązek nałożony przez Boga, który sam nie spisał się jako ojciec. Uczucie nie tyle darowane, ile narzucone siłą. Pomyślał, że bycie kochanym przez Shylocka musi być męką. Lecz jego ponure słowa przyniosły mu też pewną pociechę. A więc nie był sam. Wszechświat chciał, aby ojcowie kochali swoje córki nie nazbyt mądrze, lecz nazbyt gorąco. I aby one ich za to nienawidziły.

– Chcę ją zostawić w spokoju, ale nie potrafię – wyznał. – Boję się o nią. Chciałbym, żeby zasnęła i obudziła się dziesięć lat starsza. Córka w college'u to istna tortura. Robią jej tam wodę z mózgu.

Shylock już miał na języku gotową odpowiedź.

– Myśli pan, że to by cokolwiek zmieniło, gdyby siedziała w domu? Córka nie potrzebuje studiów, by znenawidzić ojca. Nauczyłaby się buntu nawet przez otwarte okno. Bunt leży w jej naturze.

– I w naturze otwartego okna.

– I w naturze natury.

– W takim razie jestem przeciwny naturze.

Z krtani Shylocka wydobyło się coś jakby zamierający śmiech.

– Życzę panu powodzenia – rzekł, zwalnając kroku i spoglądając za plecy Strulovitcha, jak gdyby sprawdzał, czy natura ich nie śledzi. – Od dawna

walczymy z naturą. Ilu zna pan Żydów mieszkających w dżungli?

Na szybko Strulovitchowi przyszedł do głowy jedynie Johnny Weissmuller.

Shylock machnął ręką, jakby chciał odgonić muchę.

– Na jego temat się nie wypowiadam, ale jeśli chodzi o Tarzana, to niech mi pan wierzy, że nie był jednym z nas. Małpy to nie jest nasze towarzystwo. Albo bełkot naczelnych, albo prawo. My wybraliśmy prawo. Czytał pan Stefana Zweiga? Oczywiście, że pan czytał. Podobno jako młody człowiek obnażał się przed kobietami w małpiarni wiedeńskiego zoo. Dlaczego wybrał akurat małpiarnię? Żeby wyśmiać popęd seksualny, którego był niewolnikiem. Nie jestem lepszy od małpy – oto co chciał w ten sposób powiedzieć. Później z tego wyrósł. Tak samo wygląda historia Żydów. Wyrośliśmy z tego. Przeszłość trzeba oddzielić grubą kreską. Chrześcijanie lubią myśleć, że oddzielili się grubą kreską od nas.

– Nie jesteśmy małpami.

– W ich oczach jesteśmy. Małpami, psami, wilkami.

– To tylko inwektywa, nic więcej. Tak naprawdę mają do nas pretensje, że oddzieliliśmy się zbyt grubą kreską od natury.

– Mają do nas różne pretensje w zależności od tego, co w danej chwili jest im na rękę. Sami nie wiedzą, czego nie mogą w nas znieść – wiedzą tylko, że nie mogą. Ja umiem z większą precyzją określić, czego w nich nie znoszę. Twierdzą, że brak nam miłosierdzia, lecz kiedy wybiegłem na ulicę, wykrzykując imię Jessiki, dzieciarnia śmiała się z mojej rozpacz. Żaden miłosierny chrześcijanin nie zagnał ich do domu, nie złajał za okrucieństwo.

Chryste, z podziwem pomyślał Strulovitch, mojemu nowemu znajomemu na pewno nie można odmówić gniewu ani uporczywości, ani zwawości.

Choć z drugiej strony – jakkolwiek nie chciał być zbyt krytyczny na tak wczesnym etapie znajomości – czyż nie mówiono, że Shylock, wybiegłszy na ulicę, wołał także, by oddano mu jego dukaty? Strulovitch wiedział, że nie należy ufać pogłoskom – ale co jeśli w tym wypadku były prawdziwe?

Gwoli sprawiedliwości, córkę Shylocka wykradziono dla jej wartości materialnej. Ale przecież nie można – chyba? – zwalić wszystkiego na dominujący w społeczeństwie merkantylizm. On, Strulovitch, sam żył w świecie oszalałym na punkcie bogactwa; mimo to chciał wierzyć, że nie pomyliłby własnej córki z kontem bankowym. Choć nawet to potrafił zrozumieć – gniew spowodowany stratą zaciera granice między ludźmi a rzeczami. Okradzeni często mówią o gwałcie; kradzież własności odczuwają

równie dotkliwie jak napaść. Nie mógł ani ręczyć, że czułby się podobnie, ani tego wykluczyć. Zastanawiał się natomiast, czy nie jest aby podobnym ojcem. Wilczym. Ogarniętym obsesją. Zamroczonym zaborczą złością. Czy bycie kochanym przez niego także było męką? Czy w okrutnych oczach chrześcijan także był pośmiewiskiem?

– Wiem, co pan sobie teraz myśli – rzekł Shylock. – Oddzielić grubą kreską własną przeszłość to jedno, ale przyszłość swojej córki? Tego się nie da zrobić.

Obaj przystanęli, patrząc pod nogi w szarą, zmarzniętą breję. Równie dobrze mogliby znów być na cmentarzu, zwieszać smutno głowy nad mogiłami bliskich.

Ruszyli dalej i szli przez minutę, zanim Shylock znowu nie zwolnił.

– Wie pan – powiedział, jak gdyby dyskutowali o tych sprawach od wielu miesięcy i właśnie przyszła mu do głowy nowa myśl – Jessika nie kupiła tej małpy jedynie po to, by zrobić mi na złość... – Zatrzymali się w pobliżu kaplicy z gwiazdą Dawida nad wejściem. To tutaj młody rabin odprawiający nabożeństwo na pogrzebie matki Strulovitcha przekreślił jej imię. Strulovitch obiecał sobie wtedy, że nigdy więcej nie weźmie udziału w żadnym wydarzeniu, czy to uroczystym, czy to kameralnym, z rabinem w roli głównej.

– W takim razie po co ją kupiła?

– Przepraszam, trzeba umyć ręce – powiedział Shylock.

Strulovitch uparcie – może trochę zbyt uparcie – stał w miejscu. Shylock podszedł do umywalek na tyłach budynku i polał dłonie wodą z blaszanego kubka. Strulovitch wiedział, jakie jest znaczenie tego zwyczaju. W ten sposób człowiek zmywał z siebie śmierć. Miało to sens niezależnie od tego, czy było się pobożnym. Niemniej w jego odczuciu trąciło to fanatyzmem. Miał wystarczający dystans, by zaśmiać się z siebie – on, człowiekiem umiaru!

Shylock podjął przerwana rozmowę.

– Pytał mnie pan, dlaczego Jessika kupiła małpę...

– Tak.

– Żeby wyprzeć się swojego żydostwa. Muszę się powstrzymywać, żeby nie powiedzieć: „Niech przeklęte będzie jej imię”.

Żebyś mi trupem do nóg padła.

– Utraconą córkę można odzyskać – zauważył Strulovitch. – Czyż marnotrawny syn nie wrócił do ojca?

Shylock wpił mu palce w ramię.

– Oby pan nigdy nie zrozumiał, jak bardzo się myli. Nawet wrogom nie życzę straty, jaka mnie spotkała.

Strulovitch zmilczał krytykę. Wiedział jednak, że Shylock mówi nieprawdę. Oczywiście, że życzył wrogom podobnej straty.

Miał poczucie, że dołączył do klubu, do którego przed nim należał jego ojciec. Stowarzyszenie Ojców Żydowskich „Obyś zgnił(a) w piekle”. Znajomość z Shylockiem cieszyła go i schlebiała mu, zastanawiał się jednak, ile zdoła jeszcze znieść tej nieskrywanej złości. Kay, zanim straciła mowę, oskarżała go nieraz o roztrząsanie w domu starych sporów teologicznych. Teraz, o ironio, miał ochotę powiedzieć to samo Shylockowi. Człowieku, rozchmurz się.

Resztę drogi do czarnego, przypominającego karawan mercedesa Strulovitcha przebyli w milczeniu.

– O! To ci niespodzianka – rzekł Shylock na widok samochodu.

Drzwi otworzył im czarnoskóry szofer. Strulovitch podał mu składane krzeselko Shylocka.

– Włóż je do bagażnika, Brendanie. – Po czym zwrócił się do gościa: – Co jest niespodzianką? Że mam kierowcę?

– Że ma pan niemiecki samochód.

– Sam pan mówił o grubej kresce.

– Ale nie o takiej.

– Kreska to kreska. Pewne rzeczy trzeba puścić w niepamięć.

– Dziwi mnie, że pan w to wierzy.

– Nie wierzę.

Tak to, siedząc razem na tylnym siedzeniu niespodziewanego mercedesa, pograżyli się w typowej rozmowie dwóch ojców o trudach wychowania potomstwa, zwłaszcza ojców, na których spadł cały ciężar wychowania córki.

– Może to pana zaskoczy – rzekł Shylock – ale wciąż się łudzę, że lada chwila nadejdzie wiadomość od mojej zbyt drogiej córki. Tamtego dnia, kiedy uciekła, pochowałem ją. Tak mi się wydawało. Ale jednak córka to córka. Nawet jeśli ukradła ojcu najcenniejszy skarb... nie licząc siebie samej, rzecz jasna.

Strulovitch uznał, że nie wypada mu nazbyt gorliwie zrównywać swojego cierpienia z jego cierpieniem. Beatrice napsuła mu krwi, lecz jak dotąd nie

czmychnęła przez okno z tępym złodziejaszkiem.

– Czyli nadal się nie odezwała? – Nic lepszego nie przyszło mu do głowy. Zabrzmiało to jednak idiotycznie. „Nadal”!

– Powiedziałem, że się łudzę – ciągnął Shylock, spoglądając gdzieś za niego, patrząc i zarazem nie patrząc na pejzaż Cheshire – ale przyznaję, że to nie wynika z mojej woli. Opisuję tylko stan, w jakim się znalazłem. Czekam, bo nic innego mi nie pozostało. Ale to płonna nadzieja, bo ta historia kończy się tak, jak się kończy. Może Jessika do mnie jedzie, może właśnie puka do moich drzwi, lecz takie domysły nie mają sensu. Dziś jest zawsze wczoraj. Nie ma szóstego aktu. Dla mnie nie było nawet piątego. Z drugiej strony brak rozwiązania oznacza przynajmniej brak ostatecznego odrzucenia. Nie wiadomo, co by się wydarzyło. Bolesna niepewność nie boli tak dotkliwie jak bolesna pewność. Świat igra sobie ze mną, ale wciąż oddycham.

– A więc przyszłość dla pana nie istnieje?

– Wcale.

– I w ogóle się pan nie zastanawia, co u niej?

– Nie byłbym człowiekiem, gdybym się nie zastanawiał. Są dni, kiedy myślę, że pragnę tylko jej szczęścia i niczego więcej. Kiedy indziej myślę co innego. Ale to wszystko nadaremne. Jej historia także się skończyła. Ona i ten podły truteń, z którym uciekła – oraz, jak mniemam, ich małpa – dziedziczą mój majątek, lecz nigdy go nie ujrzą. Zawsze to jakieś pocieszenie. Co nie zmienia faktu, że fantazjuję o jej wyrzutach sumienia. To silniejsze ode mnie. Wstyd przyznać, ale modlę się, by sumienie ją dręczyło. Wyobrażam sobie jej umęczoną twarz. Proszę jednak o coś, co nie może – nigdy nie mogło – się ziścić.

Strulovitch pokręcił głową.

– Już w chwili występuku musiała czuć jakieś wyrzuty sumienia. Niech mi pan wskaże człowieka, który wyruszając w drogę, nie smuci się, że opuszcza dom. Pańska córka z pewnością nieraz patrzyła tęskno wstecz.

– To są rozterki starotestamentowe.

– Skąd pan wie, że nie ogarnęły Jessiki tuż po ucieczce z domu?

– Tuż po ucieczce z domu kupiła sobie małpę.

– To też dowód tęsknoty.

– Owszem, ale nie za mną. Ta małpa ostatecznie przekreśliła ją w moich oczach. Jej się wydawało, że mieszkanie w żydowskim domu to coś gorszego niż więzienie. Choć zgoda, nie można wykluczyć, że nie była zachwycona tym,

kim się stała, i że doświadczyła jeżeli nie skruchy, to przynajmniej czegoś w rodzaju żalu, o jakim pan wspomniał, być może przez wzgląd na ukochaną matkę. Ale nie wolno mi fantazjować. Jessika mnie znienawidziła – a także, śmiem twierdzić, swoją matkę za to, że umarła. Nieraz przemknęło mi przez głowę, że odchodząc, naśladowała jej odejście – bo moja ukochana Lea zmarła nagle. Jak świat Jessice, tak ona światu, przynajmniej w swoim mniemaniu. To, co zrobiła i jak to zrobiła, było bezsprzecznie wielkim okrucieństwem. Okrucieństwo, pogarda i bluźnierstwo. Jeśli chciała mi pokazać, jak źle sobie radzi bez matki bądź bez ojca, który umiałby zastąpić matkę – jak bardzo się znieczuliła, wręcz zdziwała, pod moją opieką i za moim przykładem – nie dałoby się tego zrobić lepiej. Mam tylko nadzieję, że złe traktowanie, jakiego doświadcza, otworzyło jej oczy, lecz nigdy się tego nie dowiem. Zresztą nie takie powinno być pragnienie ojca – aby jego córka przez własne cierpienie pojęła to, które wyrządziła. Powiniennem jej życzyć szczęścia, nieprawdaż?

– Owszem. Ale zbyt wiele pan od siebie wymaga. Żaden ojciec nie pragnie dla córki pełni szczęścia.

Shylock wciągnął powietrze przez zęby.

– To okrutna filozofia.

– Nie, to okrutna psychologia.

Shylock spojrzał na niego z ukosa, niczym wąż. Wstrząsnąłem nim, pomyślał Strulovitch. To dobrze. Wstrząsnąłem sobą.

Poprosił Brendana, by na moment uchylił szyby. Chciał poczuć orzeźwiający powiew znad pól – nieważne, że to tylko Cheshire. Cywilizowanemu człowiekowi wypada pogodzić się z gwałtownością natury ludzkiej. To sprawiedliwość, a nie przebaczenie, czyni nas ludźmi. W naszych żyłach płynie krew, nie mleko.

Kazał kierowcy zamknąć okna.

– Pochlebia mi pan, sądząc, że jestem zbyt surowy.

– Nie powinno – odparł Shylock. – Nie należy utwierdzać chrześcijan w ich podejrzaniach, że wyrzekliśmy się miłosierdzia.

Strulovitch ośmielił się puknąć Shylocka w kolano. Ruchem brody wskazał szofera. Czy Shylock był na bieżąco i wiedział o istnieniu czarnoskórych chrześcijan? Miał nadzieję, że wyraz jego twarzy powie mu wszystko i wystarczy za przestrożę. W obecności chrześcijanina dowolnego koloru nie powinniśmy wyrażać się z pogardą o chrześcijanach.

Shylock przeprosił.

– Nie jestem przyzwyczajony do owijania w bawełnę – wyjaśnił zniżonym głosem. – Zwykłem obrażać w duchu, w którym mnie obrażają. Czasy złagodniały.

– Pozory myślą – odparł szeptem Strulovitch.

Szofer – Strulovitch miał wrażenie, że lekko nadąsany – zawiózł ich do rezydencji Strulovitchów w Mottram St Andrew we wschodnim wierzchołku Złotego Trójkąta. Był to ostatni dom jego rodziców, tak różny, jak tylko można sobie wyobrazić, od domów ich dzieciństwa w Salford, gdzie dziadkowie trzymali kury i modlili się w jidysz do Wszchemogącego. Jego rodzina w ciągu jednego pokolenia przebyła drogę od manchesterskiego sztetlu do wspaniałego pałacu z ogromnym podjazdem dla tuzina mercedesów, stawem pełnym rzadkich gatunków ryb i widokiem na Alderley Edge. Mieli dla siebie kawałek Anglii, zieleniący się trawą, zasnuty fioletową mgiełką, pełen tajemnic z epoki kamienia, mogli napawać nim oczy, ba, myśleć o sobie jak o jego właścicielach, a to wszystko dzięki częściom samochodowym. Strulovitch wolał swój dom w Hampstead – wolał starsze pieniądze od nowszych, nawet gdy te nowsze należały do niego – lecz za zachowaniem posiadłości w Mottram St Andrew przemawiały mocne argumenty. Prowadził interesy na północy, miał córkę, która studiowała performance w Golden Triangle Academy (dawniej North Cheshire Institute, lecz tamta nazwa zbyt kojarzyła się ze szkołami dla ubogich) – niezależnej uczelni artystycznej dla uprzywilejowanych ludzi w każdym wieku, gdzie jako darczyńca miał pewne wpływy – wreszcie uważał, że wiejskie powietrze dobrze zrobi biednej Kay. Jego matka, gdy jeszcze żyła, nie chciała się stamtąd wyprowadzać; twierdziła, że jeśli o nią chodzi, może umierać „nawet w ogrodowej szopie”. Strulovitch uparł się jednak, że postawi dla niej dobudówkę, która pomieści jej opiekunów. „Czy naprawdę muszę mieć wokół siebie tylu ludzi?” – pytała, na co on odpowiadał: „Im więcej, tym lepiej. Co jeśli poślizgniesz się w łazience albo spadniesz ze schodów? Mieszkanie samemu w twoim wieku to proszenie się o nieszczęście”. Jak na ironię, nieszczęście spadło na Kay, o połowę młodszą kobietę z mężem i córką.

Jego matka, owszem, zmarła, lecz po cichu, prawie bezgłośnie, otoczona troskliwą opieką zastępu pielęgniarzy.

Strulovitch niewystarczająco ją opłakiwał. Kochał ją, ale była to miłość zastygła. Skoro człowiek nie może kochać własnej żony – nie śmie jej kochać, gdyż musiałby wyć z rozpacz – to kogo może kochać?

Córkę.

Gdzieś w jego domu, o ile akurat nie używała świata, mieszkała Beatrice. Strulovitch twierdził, że jest zbyt młoda, by dzielić lokum ze studentami sztuk performatywnych, nieraz dwukrotnie od niej starszymi. Ona sama widziała to nieco inaczej: mieszkała w domu wyłącznie przez szacunek dla matki. Niespecjalnie umiała z nią postępować. Bała się jej choroby, nie miała cierpliwości do komunikacyjnych rytuałów – ile można czekać na słowa, nie zawsze sensowne, wyciekające powoli z kącików ust albo pojawiające się na tablicy w formie nieczytelnych gryzmołów? Ale z tych samych powodów było jej wstyd i czuła się w obowiązku przynajmniej być w pobliżu. Pełen obaw, co się z nią stanie, jeśli wyjedzie na studia do Londynu, kogo tam pozna, w kim się zakocha, co jej wmówią, lękając się, że pewnego dnia wróci z omotaną wokół szyi arafatką, Strulovitch podsyczał w niej poczucie winy. Tak – chwalił ją – dobrze zrobiła, zostając na północy i nie wyprowadzając się z domu; jej matka odetchnie, nawet jeśli nie zdoła tego wyrazić. W rzeczywistości czynnik geograficzny miał niewielki wpływ na edukację Beatrice; Strulovitch wiedział, że wszędzie będą ją karmić najnowszą papką antyżydowskiej psychozy i obrzydzać jej własnego ojca. Lecz mimo to nie chciał, by dzieliła ich zbyt duża odległość, na wypadek gdyby... no, po prostu na wszelki wypadek. Co nie znaczy, że ją śledził. Jeżeli czasem widywała go, jak przemyka z sali do sali, oglądając prace studentów, to dlatego, że był człowiekiem skorym do pomocy i poważnie traktującym swoje zobowiązania. Jako córka prezesa Fundacji Strulovitcha musiała się z tym pogodzić. Każda uczelnia, w której postawiła nogę, czegoś by od niego chciała; łaska filantropa jest zawsze w cenie, bez względu na jego wyznanie.

– Oszczędzaj się – przestrzegala go matka. – Jesteś tylko jeden.

Dopiero wysiadając z samochodu – i znów wyczuwając w zachowaniu Brendana coś dziwnego, co niezupełnie przystoi szoferowi – uzmysłowił sobie, że po raz kolejny nie odwiedził jej grobu.

Ten dzień obfitował we wrażenia. A Strulovitch, jak zauważyła jego matka, był tylko jeden.

Tyle że zawsze znajdował jakąś wymówkę.

A jaką miał Brendan? Trudno powiedzieć, żeby zachowywał się

niegrzecznie. Nie jechał za szybko ani nie brał ostro zakrętów. Nie był opieszwały w otwieraniu drzwi. A jednak wydawał się podminowany. Kto lub co go podminowało? Obecność Shylocka? Lżenie chrześcijan? Żydowskie pretensje?

Strulovitch zastanawiał się, jak zareagują jego psy. Lecz gdy wprowadzał gościa do domu, w ogóle nie zwróciły na niego uwagi. Nawet nie podniosły głów.

Zasugerował coś do picia i może jakąś lekką przekąskę przed snem. Nie chciał jednak, by to zabrzmiało tak, jak gdyby bał się zostać sam. Szukał oparcia? W pewnym sensie dopiero co pochował matkę. Nie miał żony, z którą mógłby porozmawiać. Ani córki, której mógłby zaufać. Miał rachunki do wyrównania – towarzyskie, religijne, metafizyczne – mniejsza o to jakie, po prostu rachunki. Oczywiście, że szukał oparcia.

Shylock nie był głodny, zgodził się jednak na drinka. Strulovitch zaproponował mu grappę. Pokręcił głową. Może kummel. Strulovitch nie miał kummelu. W takim razie śliwowica? Strulovitch nie miał śliwowicy. Shylock wzruszył ramionami. Amaretto? Strulovitchowi zdawało się, że ma gdzieś butelkę amaretto. Shylock powiedział, żeby się nie kłopotał. Napije się wody. Albo koniaku. Strulovitch miał koniak. Shylockowi nie było spieszno udać się na spoczynek. W ogóle mało spał – i to od dłuższego czasu. Poza tym wydawał się pobudzony wystrojem wnętrza – skórzanymi fotelami na stalowych ramach, artdekowskiymi dywanami, rycinami przedstawiającymi zmartwychwstanie, niezwykle realistyczną glinianą rzeźbą półnagiej pary splecionej w śmiertelnych objęciach.

– Czy w tym pokoju wolno usiąść? – zapytał. – Czy może powinienem podziwiać jego zawartość na stojąco?

– Proszę siadać. – Strulovitch uprzejmym gestem wskazał gościowi fotel. Ciekawiło go, czy Shylock był kiedyś w takim domu jak ten. I chyba właśnie pod wpływem tej myśli powiedział coś głupiego o zmianach, jakie zaszły od jego czasów.

– Tak – odrzekł Shylock. – Sporo się zmieniło.

Strulovitch otworzył szerzej oczy.

– Na przykład? – zagadnął jeszcze idiotyczniej.

– Nie ma pan tyle czasu – stwierdził Shylock.

– A pan, jak się domyślam, wiele zapomniał.

- Przeciwnie, pamiętam wszystko.
- Zatem niech pan będzie łaskaw. Co się zmieniło najbardziej?

Shylock zamknął oczy i udał, że wyciąga coś – zapalkę, loteryjny bilet – z wyimaginowanego kapelusza.

- Dawniej mnie opluwali, teraz opowiadają mi dowcipy o Żydach.
- Śmieszne?
- Nie w ich ustach.
- Ale chyba życzliwe?
- Zna pan jakiś życzliwy dowcip?

Strulovitch nie podjął wyzwania, lecz udał, że waży coś w dłoniach.

– Uczciwie mówiąc, wydaje mi się, że każdy żart, nawet nieżyczliwy, jest lepszy niż plucie.

Shylock wejrzał głęboko w kieliszek. W chwilach skupienia jego oczy zdawały się cofać i zmniejszać, jak gdyby było w nich więcej ciemności niż światła. Strulovitch wiedział, że sam potrafi wyglądać srogo, lecz głębokie cienie rzucane przez oczy Shylocka nawet jego wytrącały z równowagi. Czyżby w tym spojrzeniu kryła się kolejna reprimenda? Czy jakoś mu uchybił? Może nie jemu decydować, co jest gorsze, żarty czy plucie?

– Ciekawsze wydaje mi się co innego – oznajmił Shylock stanowczo, jakby chciał uzmysłowić rozmówcy, że powinien się bardziej postarać. – Jak tylko zobaczą Żyda, od razu myślą, że trzeba mu opowiedzieć kawał. Czy na widok czarnoskórego za każdym razem śpiewają *Suwanee River*?

Strulovitch chętnie poznałby odpowiedź na to pytanie.

– Może nuć pod nosem. Ja odbieram te dowcipy jako coś w rodzaju białej chorągiewki. Spójrz, mam pokojowe zamiary.

– A kiedy te żarty dotyczą mojej nieugiętej i merkantylnej natury? – Pacyfizm Strulovitcha najwyraźniej do niego nie przemawiał. – Kiedy wymachują mi przed nosem banknotami, wyszydząją mój separatyzm, dziwiąc się, że uważam się za bożego wybrańca, skoro wszystko dookoła wskazuje, że jest odwrotnie; kiedy kwestionują moją moralność – choć bez nas w ogóle by nie wiedzieli, że coś takiego istnieje; kiedy podważają zasady, według których żyję, moją wiarę i mój jadłospis, albo kiedy wyjaśniają, gdzie według nich powinni żyć ludzie mojego wyznania – czy wtedy też wymachują białą chorągiewką?

Strulovitch przypomniał sobie chłopców, którzy w szkole robili sobie żarty z jego nazwiska – Strudelbum – i powtarzali, żeby wracał do siebie. Czyli

właściwie dokąd? Do miasta Ur?

– A dokąd pana wysyłają? – zapytał.

– Koniec końców – do diabła. A tymczasem – w żadne konkretne miejsce. Właśnie o to im chodzi. Mieliśmy swoją szansę na własny kraj i ją zmarnowaliśmy. Zresztą zapuszczanie korzeni nigdy nie było naszą mocną stroną. Jesteśmy z natury obcy. Wmawiają mi, że dopiero diaspora wydobywa z nas to, co najlepsze. Na własny temat oczywiście nie mają tego typu refleksji. A mimo to bez najmniejszej żenady ogłaszają, że prawdziwy Żyd to Żyd tułacz. Nasz dom jest wszędzie i nigdzie, my, wytworni włóczędzy, przeżyjemy wszędzie, gdzie zdołamy się wcisnąć, w szczelinach i zakamarkach. Niepewni jutra, lecz pełni głady, niczym flanerzy uczeplieni skalnej ściany, dajemy twórczo wyraz swojej owocnej marginalności.

– Moja córka jest podobnego zdania.

– Mógłbym z nią porozmawiać...

Strulovitch zaryzykował ironiczny grymas.

Twarz Shylocka nie drgnęła. W posępnym lustrze jego błyszczącej oliwkowej cery odbijał się smutek w najczystszej postaci.

– Kto wie, może z pańską córką pójdzie mi lepiej? Skoro już tu jestem, mogę pana wspomóc swoim doświadczeniem.

– Czy właśnie po to pan tu jest?

– Jestem tu, bo nie ma mnie gdzie indziej. Jakie inne wyjaśnienie usatysfakcjonuje takiego niedowiarka jak pan?

Przez pół godziny siedzą w milczeniu, nie spoglądając na siebie. Wreszcie Strulovitch, choć to nie przystoi gospodarzowi, ociera oczy.

– Może pan spać w dowolnym pokoju – mówi. – Ale najlepsze są od tyłu, z widokiem na Alderley Edge. Jeśli późno się pan położy albo wcześniej wstanie, może ukaże się panu czarodziej na latających saniach.

– A więc to miejsce jest magiczne – konstatuje Shylock, wietrząc pogaństwo.

Strulovitchowi przypomina się skecz, w którym włoski komik Dario Fo usiłuje zjeść samego siebie. Shylock wygląda, jakby zamierzał zjeść Alderley Edge.

Strulovitch śmieje się z głęboką satysfakcją. Nic nie przewyższa pogardy mojego narodu dla folkloru. Żałuje, że nie ma więcej żydowskich przyjaciół, z którymi mógłby wymieniać czarne myśli i szydzić z natury. To uczucie

kulturowego osamotnienia wyjaśnia, dlaczego Strulovitch nagle pyta Shylocka o książkę, którą tamten czytał żonie na cmentarzu. Jeszcze tylko krótka pogawędka o literaturze, zanim pójdą spać.

– Powinien pan zgadnąć – odpowiada Shylock.

– Wyglądała na wysłużoną. Jeżeli to Biblia, byłbym zaszczycony, gdyby poczytał jej pan któreś z moich wydań. Mam Biblię Genewską, pięknie się prezentuje i łatwo otwiera.

– Dziękuję. Ale robimy sobie przerwę od Biblii. Ile można męczyć biednego Jakuba i jego owce. Poza tym ostatnimi czasy Lea preferuje powieści. W zeszłym tygodniu drugi raz skończyliśmy *Zbrodnię i karę*. Obiecałem jej *Braci Karamazow*. Ale na razie woli coś do śmiechu, więc dla pokrzepienia czytam jej *Kompleks Portnoya*. Niektóre rozdziały wprawiają mnie w zakłopotanie, ale uznałem, że nie wypada ich pomijać.

Strulovitch, przy całym swoim głodzie towarzystwa, nie miałby nic przeciwko, gdyby na tym zakończyli. Po tych słowach mógłby spokojnie zasnąć. W smutku, że sam nie ma żony, której mógłby czytać dla pokrzepienia. Czasem jednak człowiekowi wystarcza radość w cudzym sercu.

Nic wszelako nie wskazywało na to, że Shylock zamierza prędko udać się na spoczynek. Strulovitch zaczynał czuć się przez niego osaczony. Takiemu gościowi trzeba było poświęcać całą swoją energię. Choć z jego oczu wyzierał mrok, a na ustach nie igrał nawet cień uśmiechu, był na swój drażliwy sposób towarzyski, jak gdyby rozmowa, choćby najbardziej ponura, była jego żywiołem i bał się jej końca. A może bał się snu? Czy w ogóle kładł się spać? Może to była cena jego wizyty – że on, Strulovitch, również nie zmruży oka? Że będą rozmawiać bez końca o córkach i tożsamości, o żalu, zdradzie, małpach...?

Aby nie zasnąć, zapytał Shylocka, czy przypomina sobie ostatni kawał, jaki usłyszał z ust gojów.

– Mam go opowiedzieć po swojemu czy tak jak oni?

– Po swojemu.

– W takim razie opowiem go tak jak oni. „Grrynberg psychodzie do lekarza, bo źle się czuje...”. Nawiasem mówiąc, słyszał pan kiedyś, żeby ktoś tak mówił?

– Nie... może czasem jakiś rabin.

– Mnie się wydaje, że oni małpują coś, czego się boją.

- Musi pan wiedzieć, że już nikt się nas nie boi.
- Proszę mówić za siebie. Ja wciąż umiem postraszyć psy.

Strulovitch przemilczał fakt, że jego psy się nie wystraszyły. Cóż, towarzystwo porywczego Żyda nie było dla nich niczym nowym.

– Nie wątpię – powiedział – że pan osobiście nadal potrafi być przerażający. Miałem na myśli nas jako zbiorowość.

– Nie wiem, czy rozróżnienie na „ja” i „my” w ogóle ma sens. Każdemu jednostkowemu Żydowi w każdej chwili towarzyszy cała zbiorowość. I to właśnie ją widzą chrześcijanie. Przyznaję, że potrafią być bardzo mili. W goście dobrej woli chcieli się żenić z moją córką. Wielu malowało mnie ze współczuciem. Raz pewien Niemiec przeprosił mnie na cmentarzu. Lecz gdy chciałem mu podać rękę, bał się ją uścisnąć. Dlaczego? Bo w tamtej chwili to nie była ręka Shylocka, to była ręka zbiorowości. A jako zbiorowość wciąż dotykamy sfery niesamowitości.

Strulovitch poczuł obecność mrocznych, zapomnianych sił. Niesamowitość... Żeby tylko.

- Czy mam dokończyć kawał? – zapytał Shylock.

Strulovitch przypomniał sobie o dobrych manierach.

- Tak, oczywiście. Grrynberg u lekarza...

– „Panie Grrynberg – mówi lekarz – będzie pan musiał przestać się masturbować”. „Przestać się masturbować! – oburza się Grrynberg. – A to dlaczego?” „Żebym mógł pana zbadać”.

Strulovitch zaśmiał się. Był to jeden z jego ulubionych dowcipów, lecz gdyby go nie znał, raczej by go nie zrozumiał. Nawet Hiob opowiedziałby go lepiej. Może Shylockowi właśnie o to chodziło. Opowiedział go tak, jak opowiadali go oni. Strulovitch wiedział, że Shylock jest człowiekiem o bezlitosnym poczuciu humoru. Fakt, że się nie uśmiechał, niezbitcie tego dowodził. Być może należał do ludzi, którzy muszą sami pisać sobie materiał. I to gdzie – w szczelinach i zakamarkach. Nic dziwnego, że ludzie nie zawsze wiedzieli, kiedy żartuje, a kiedy mówi serio.

– Uwielbiam ten kawał – rzekł Strulovitch, przypominając sobie konsternację, w jaką wprawił nim swego czasu Ofelię-Jane.

- Trzeba było mi przerwać.

– Za nic w świecie. Ale niech mi pan coś powie: skąd biorą się te historie o masturbujących się Żydach? Onan, Leopold Bloom, Alexander Portnoy, Grrynberg. Czy tak nas widzą goje? Czy my sami się tak widzimy?

Spodziewał się, że Shylock będzie potrzebował chwili do namysłu. Lecz nawet badacz, którego artykuł na ten temat przeszedł niezauważony, nie udzieliłby skwapliwszej odpowiedzi.

– Jedno i drugie. Po tylu latach słuchania, co myślą o nas goje, trudno się dziwić, że myślimy o sobie podobnie. Tak działa mechanizm oczerniania. Ofiara przyswaja poglądy oprawcy. „Skoro tak wyglądam, widocznie taki jestem”.

– Skoro muszą nam koniecznie przypisywać zepsucie moralne, niech już lepiej mają nas za onanistów niż za skąpców. To bardziej licuje z naszą skłonnością do autoironii.

– To bez różnicy. Żyd zgarbiony nad swoim przyrodzeniem, Żyd zgarbiony nad swoimi pieniędzmi. W rozpalonej wyobraźni gojów to zawsze będzie jeden wielki obraz zwyrodniałego egoizmu. Zazdrośnie strzeżemy naszych bogactw i nasienia. Mówią, że ich niechęć do nas ma podłoże ekonomiczne, ale moim zdaniem to się sprowadza do genitaliów. Oni od wieków nie potrafią przestać fantazjować o naszej seksualności. Wie pan, dawniej sądzili, że krwawimy jak kobiety, potem oskarżali nas o kastrowanie chrześcijańskich dzieci. Nie potrafili o nas myśleć bez nieprzyzwoitych skojarzeń. Ta mieszanina ignorancji i strachu jest bardzo stara, wszystko zaczęło się od obrzezania. Skoro sobie samym wyrządzamy taką krzywdę, strach pomyśleć, co możemy zrobić innym.

Delikatne pukanie do drzwi salonu wyrwało Strulovitcha z mrocznego myślowego transu, w który wpadł po tych słowach. Pukającą była nocna opiekunka jego żony. Czy pan Strulovitch znalazłby chwilę? Pani Strulovitch go wzywa.

– Żona mnie potrzebuje – powiedział, wstając. Celowo prawie nie poruszał tematu chorej żony. Nie zależało mu na współczuciu. Shylock zresztą nie sprawiał wrażenia osoby szczególnie współczującej. – Zaraz wrócę – dodał tonem najnormalniejszym w świecie.

Serce waliło mu jednak jak młotem. Czy to możliwe, że Kay uczyniła ten dzień jeszcze mniej normalnym, wymawiając na głos jego imię?

Okazało się, że nie. Opiekunka po prostu zaniepokoiła się o Kay, która usłyszała odgłosy rozmowy i wydawała się bardziej niż zwykle zdenerwowana. Zanim Strulovitch do niej przyszedł, zdążyła zasnąć w fotelu, z głową zwieszoną na bok; na jej zdrętwiałych ustach nie było jego imienia. Posadził ją prosto, ucałował w czoło i wrócił na dół. Zastanawiał się, czy

Shylock jeszcze tam będzie. Czy w ogóle kiedykolwiek tam był.

– To na czym skończyliśmy? – spytał, widząc go w takiej samej pozie, w jakiej go zostawił, zgiętego sztywno w fotelu, z cieniem na twarzy.

Shylock wzruszył ramionami.

Czy chciał przez to powiedzieć, że robi się zmęczony? Strulovitch posiedziałyby z nim, kręcąc koniakiem w kieliszku, napawając się chmurną ciszą, im dłużej jednak milczał, tym więcej myślał o Kay.

– I co teraz? – zagadnął, gdy milczenie stało się nieznośne.

– Co teraz myślą goje? Zdziwiłbym się, gdyby myśleli co innego niż przedtem. Na pewno nie mają czystszych myśli.

– Nie, pytam, co teraz pana czeka?

– Mnie osobiście?

Strulovitch postanowił zaryzykować jego gniew. Zaprosił Shylocka do domu swojej żałoby. Teraz Shylock powinien uczynić to samo.

– Tak, pana.

Shylock potarł twarz oburącz. Czy kiedy ją odsłoni, wciąż tam będzie? Palce miał porośnięte gęstym czarnym włosiem. Czy jemu jest bliżej do małp niż mnie? – zastanawiał się Strulovitch.

– Dla mnie o s o b i ś c i e – rzekł Shylock w taki sposób, że wybrzmiała w tym słowie cała zawarta w nim wielowiekowa historia zuchwałości oraz wstydu – nie istnieje żadne teraz. Żyję wtedy, kiedy żyłem. Już panu powiedziałem: tam gdzie skończyła się moja historia, kończę się ja. Nieraz tylko, dla samej diabelskiej przyjemności, obracam w ustach ostatnią kwestię innego ciężkiego głupca. Marzę, jak nietrudno się domyślić, o dobitnej puencie.

Strulovitch zaczął demonstracyjnie zachodzić w głowę, o jaką kwestię może chodzić. Pora nie sprzyjała jednak egzaminowaniu.

– Już ja zapłacę całej waszej zgrai – rzekł niecierpliwie Shylock. Ileż można było czekać? – Zawsze miałem słabość do purytanów – wyjaśnił. – Co jest o tyle zrozumiałe, że oni mają słabość do nas. Szanujemy się nawzajem. Podoba mi się pomysł, że ja, bezduszny Żyd, za sprawą purytanina umacniam się w swojej nielitościwości.

– Dziwi mnie – oznajmił Strulovitch, niezadowolony, iż obnażono jego braki – że czerpie pan diabelską przyjemność z tych słów. Mnie wydają się one wyrazem słabości. Coś jak starzec grożący palcem małym dzieciom.

– Bo pan wie, że to słowa bez pokrycia. Malvolio też kończy się tam, gdzie

skończyła się jego historia. Zemsta nigdy nie będzie mu dana. Ale sam zamiar, raz wypowiedziany, rozbrzmiewa do dziś dnia. Malvolio wreszcie poznał smak krwi. Dotychczas bawił się tylko w moralistę, jego purytanizm był farsą. Wszyscy jesteście farsowi, dopóki nie zderzymy się z rzeczywistością. On teraz wie, z czego naprawdę jest ulepiony ten malutki, zgrywny świat ludzi.

Jak na człowieka panującego nad sobą Shylock nieco się uniósł. Wokół jego zapadniętych oczu pojawiły się, niczym nawiasy – zamykające to, co nie zostało i nie zostanie powiedziane – głębokie bruzdy.

Strulovitch spoglądał podejrzliwie.

- Mam nadzieję, że nie myśli pan o użyciu przemocy...
- To zależy...
- Od czego?
- Od pańskiej definicji przemocy.

Plurabelle – która chciała być kochana za to, kim jest, a nie za to, co ma, lecz którą, jak to często z ludźmi bywa, trudno było odróżnić od tego, co miała, zwłaszcza że to właśnie stan posiadania zapewniał jej spokój i komfort bycia sobą – słowem, sfrustrowana w dwójnasób, Plurabelle domagała się od Barneya, by stale potwierdzał swoją ocenę jej osoby. Kto przywykł do bycia nagrodą i zagadką, temu trudno zrezygnować z konwencji teleturnieju. W telewizji uczestnicy jej programu z opaskami na oczach kosztowali różnych specjalistów ze spodków, jak koty, licząc, że najbardziej zasmakuje im to, co przyrządziła ona. Można było w ten sposób wygrać jej towarzystwo na resztę wieczora – i kto wie, co jeszcze. W prawdziwym świecie Złotego Trójkąta Barney musiał zgadywać, w której sukience Plurabelle najbardziej podoba się sobie w danym dniu, jakie kolczyki najlepiej uzupełnią wybrany przez nią strój, w jakim hotelu w jakim kraju chciałyby spędzić swoje urodziny, czy wolałyby homara w skorupie, czy bez, po francusku czy po amerykańsku, czy ma ochotę na zwykły seks, czy na szczyptę perwersji, przy świetle czy po ciemku, przy otwartych czy zamkniętych oknach.

– Ty mnie po prostu nie rozumiesz – mawiała, gdy dokonał złego wyboru. – Nie wiem, czy jest w ogóle sens ciągnąć ten związek.

Bywało, że rozbieżność ich zachcianek doprowadzała ją do płaczu.

Jego pierwszym odruchem było pójść do garażu i pomajsterkować przy podwoziu volkswagena garbusa, lecz wiedział, że nie może polegać bez końca na tym jednym triku – gotowa była sobie pomyśleć, że na nic więcej go nie stać.

Porozmawiał z D'Antonem, który poniekąd odpowiadał za ten ustawiczny ambaras. Powiedział może nie „ty mnie w to wplątałeś”, ale na pewno „pomóż mi się z tego wyplątać”. Nie z samego związku, który pod innymi względami spełniał wszelkie jego oczekiwania, lecz z odbywającego się nad nim dzień w dzień sądu, który zawsze kończył się orzeczeniem jego winy.

D'Antonowi ani w głowie było wtrącanie się między Plurabelle a Barneya,

niemniej podobało mu się, gdy jego przyjaciel, wciąż rozgrzany i pachnący jej perfumami, zwracał się do niego z prośbą o pomoc. Nie myślał o sobie jak o mediatorze – taka rola umniejszałaby jego nieustanny wpływ – raczej jak o stróžu alkowy, powierniku intymnych sekretów, kapłanie małżeńskich tajemnic, i nieważne, że Plurabelle i Barnaby nie byli jeszcze mężem i żoną.

– Musisz być bardziej męski – orzekł – w kwestiach estetycznych i krytycznych.

– Co dokładnie masz na myśli? – spytał Barney.

– Musisz mieć odwagę zaufać swojej ocenie. Przestań sugerować się tym, czego ona chce.

– Ale ja nie wiem, czego ona chce.

– Przestań się nad tym zastanawiać. Zdaj się na pierwsze odruchy. Kup jej coś, czego na pewno się nie spodziewa. To będzie dowód, że masz nieprzeciętny gust i się go nie wstydzisz.

– Nie wiem, czy mnie stać.

– Nie chodzi o żadne kosztowne cacko. To ma być wartościowe samo w sobie i przez sam fakt, że to wybrałeś. Nie coś, co ma się spodobać jej, tylko coś, co podoba się tobie. Nawet jeśli nie trafisz w jej gust, będzie zachwycona, że dokonałeś wyboru.

Barney złapał się za policzek niczym upadły cherub przed obliczem Stwórcy.

– Fura to pewnie zły pomysł?

– Zapomnij. Wszystko zaprzepaścisz.

– W takim razie co? Biżuteria?

– Zbyt droga.

– Nie mówię o szafirach.

– W takim razie zbyt tania.

– Perfumy? Bielizna?

To ostatnie słowo jak mało które budziło niesmak D'Antona.

– Zbyt oczywiste.

Barneyowi skończyły się pomysły. Spróbował odgadnąć zamysł przyjaciela.

– Myślisz o jakimś dziele sztuki?

– To ty tu powinieneś myśleć, Barney, nie ja. Ale zgoda, dzieło sztuki nie byłoby złe.

– Masz coś, co mogłoby się jej spodobać?

– Nadal się nie rozumiemy. Tu nie chodzi o mnie, tylko o ciebie. Zresztą

Plury wie, na co zwracam uwagę i co mi się podoba. Od razu wyczułaby, że maczałem w tym palce.

- To co mam zrobić? Nie znam się.
- Na pewno widziałeś coś pięknego, co cię urzekło.
- *Mona Lisa*.
- Oczko niżej.
- *Śpiewający kamerdyner*.
- Oczko wyżej.

Barney zrobił urażoną minę. Ta umiejętność była darem, który dobrze mu służył. Niczym najlepsi poeci liryczni potrafił obudzić współczucie w każdym sercu.

– Próbuję tylko powiedzieć – dodał pospiesznie D’Anton – że moim zdaniem to do niej nie przemówi.

- Przed chwilą mówiłeś, żebym się tym nie przejmował.
- Tak, ale nie chodzi też o to, żeby ją obrazić.

Barney podrzucił ręce do góry. Jeżeli, co zdawał się sugerować D’Anton, między *Mona Lisą* a *Śpiewającym kamerdynerem* rozciągała się otchłań piękna, nie miał pomysłu, jak ją przekroczyć.

Nie mogąc dłużej patrzeć na rozterkę przyjaciela, D’Anton wyciągnął ku niemu rękę i położył ją opiekuńczo, niby obróconą do góry dnem filizankę, na jego dłoni. Palce Barneya zdrząły pod ojcowskim dotykiem. D’Anton nie odważył się spojrzeć mu w oczy. Zasugerował wspólną wizytę w domu aukcyjnym Capes Dunn przy Charles Street w Manchesterze. W nadchodzącym tygodniu miała się tam odbyć licytacja. Barney, który nigdy nie był na aukcji dzieł sztuki, martwił się, że sobie nie poradzi.

– Będziesz musiał tylko znaleźć coś ładnego w katalogu – uspokoił go D’Anton. – Licytowanie zostaw mnie.

Myśl o wspólnej wycieczce – on i Barney we dwójkę na tropie piękna – napawała go wielką radością.

Lecz Barney miał jeszcze jedną obawę. Pieniądze wydane na Plurabelle nigdy, rzecz jasna, nie były pieniędzmi zmarnowanymi. „Dawajcie, a będzie wam dane” – brzmiał jeden z wielu chrześcijańskich truizmów o rozsądnym inwestowaniu, jakie wpoila mu matka. Nie ulegało wątpliwości, że jak dotąd kapitał włożony w związek z Plurabelle dobrze procentował. Jednak jego zapasy nie były niewyczerpane.

- O to – rzekł wyrozumiale D’Anton – będziemy się martwić później.

Jednym z powodów, dla których D'Anton był kochany przez swoich przyjaciół, było krzepiące poczucie, że w razie potrzeby mogą liczyć na jego niewyczerpane rezerwy.

W umówionym dniu Barnaby popełnił jednak błąd: dał się przetrzymać Plurabelle, która poprosiła go, by wybrał spośród Tolkienu, Murakamiego i Jackie Collins książkę najlepiej pasującą do jej nastroju. „Nie mogłem jej odmówić” – tłumaczył się później D'Antonowi, czekającemu w taksówce i zerkającemu na zegarek. D'Anton był do tego stopnia poirytowany – sądził, że przyjaciel zapomniał o wyprawie, która tyle dla niego znaczyła – że nie zainteresował się nawet, którą książkę Barnaby wybrał dla Plury. Patrzył obojętnie przez szybę taksówki, gdy tamten, jak zwykle skory do dzielenia się każdym drobiazgiem, zaczął mówić niepytany. Wybrał Murakamiego. Bo Plury uwielbia japońską kuchnię. Jak gdyby D'Antona to obchodziło. Ostatecznie przybyli na miejsce o chwilę za późno i nie zdążyli wziąć udziału w licytacji wczesnego studium Solomona Josepha Solomona do obrazu *Pierwsza lekcja miłości*, które trafiło w ręce Simona Strulovitcha. Barneyowi wystarczył rzut oka na miniaturę w katalogu aukcyjnym, by stwierdzić, że oto znalazł dzieło, które budzi jego szczerzy zachwyt i które – nie miał co do tego wątpliwości – w równej mierze zachwyci Plurabelle, tak wielkie było podobieństwo między nią a różanicą Wenus o drobnych sutkach, między nim a nagim Kupidem siedzącym na jej udzie i patrzącym na nią z nieskrywanym, nieledwie zuchwałym oddaniem.

Podobały mu się zwłaszcza mały łuk i strzała.

– Nie możemy go przelicytować? – zapytał.

– Za późno – odparł D'Anton. – Sprzedane to sprzedane. Nic innego nie wpadło ci w oko?

Niestety, nie wpadło.

Po raz drugi w ciągu tygodnia serce D'Antona ścisnęło się na widok bezradnej rozpaczki malującej się na urodziwej twarzy przyjaciela.

– Zostaw to mnie – rzekł z westchnieniem, które mogłoby ścisnąć za serce Barnaby'ego, gdyby ten je posiadał.

Nieprawda, co mówił Strulovitch, że nie śledził córki.

Trwało to już dłuższy czas. Zaczęło się, gdy miała trzynaście lat. Choć wyglądała wtedy na dwadzieścia trzy. Ponętna lewentyńska księżniczka. Owoc granatu. Pociągała nawet siebie samą. Raz widział, jak przygląda się własnemu odbiciu w lustrze, wydyma wargi, uśmiecha się, wodząc wzrokiem po swoich pełnych kształtach, gładzi po udach, wypina piersi, rozbawiona i zarazem przytłoczona tym nadmiarem. Jakby wiązała się z nim jakaś odpowiedzialność. Czy to naprawdę ona? Czy tylko od niej samej zależy, co z tym wszystkim zrobi? Strulovitch rozumiał to aż nazbyt dobrze. Sam jako trzynastoletni prawiczek miał poczucie zmarnowanego życia. Duch księciem w lochu ciała – powtarzał sobie, kładąc się noc w noc do pustego łóżka. A żaden był z niego owoc granatu. Naturalnie, że Beatrice musiała spożytkować swoje atuty. Naturalnie, że czuła, że jej piękno nie jest przeznaczone wyłącznie dla jej oczu, ani tym bardziej dla jego oczu – wiedziała bowiem, że ją śledzi, że wchodzi nawet do jej pokoju.

Naprawdę to wszystko rozumiał. Ale nie mógł się na to godzić. Marnotrawstwo – właśnie tego najbardziej się obawiał. Marnotrawstwo innego rodzaju. Zmarnowane oczekiwania, jakie on i Kay wiązali z córką. Zmarnowana rodzicielska miłość. Zmarnowana radość, którą poczuł, gdy pierwszy raz ją ujrzał. Złamanie przymierza. Zmarnowana Beatrice – nie jako owoc granatu, lecz jako nadzieja.

Ona sama trwonila tę nadzieję. Na chłopców, którzy na nią nie zasługiwali. Na głupstwa, które ją poniżały. Na alkohol i narkotyki, których nie potrzebowała. Na muzykę niewartą jednej chwili jej uwagi. Dorastała w domu, w którym od rana do wieczora rozbrzmiewali Mozart i Schubert. Naprawdę nie słyszała różnicy? Kiedy śledził ją po raz pierwszy, trafił na imprezę w obskurnym domu na Moss Side ze skreczującym didżejem o brudnych paznokciach, który pokrzykiwał: „Więcej hałasu!”. To zawołanie – *więcej hałasu* – ten prymitywny apel do niewykształconych umysłów

rozwścieczył go jeszcze bardziej niż widok córki siedzącej po turecku na podłodze, palącej marihuanę i głośzącej zmierzwioną czupryną półprzytomnego troglodyty, którego głowa spoczywała na jej kolanach.

– Więcej hałasu! – syknął jej do ucha, wlokąc ją po schodach na dół. – Czy tak cię wychowałem? Żebyś uważała hałas za coś wartościowego – hałas dla samego hałasu, Beatrice – i jeszcze pozwalała się obmacywać jakiemuś chtonicznemu złamasowi?

Szarpała się z nim na schodach, szarpała się z nim, gdy pakował ją do mercedesa, czemu w milczeniu przyglądał się szofer.

– Więc o to ci tak naprawdę chodzi, prawda? – powiedziała. – Nie o muzykę, muzyka nie ma tu nic do rzeczy, tobie chodzi o to, że się dotykaliśmy. No więc tak się składa, że to ja głaskałam jego. Nie byłam przez nikogo obmacywana. Chyba tylko w twojej głowie.

Wymierzył jej policzek. Nie oskarża się ojca o fantazje seksualne na swój temat. Beatrice wysiadła z samochodu. Pobiegł za nią.

Jakiś przechodzień, widząc szamotaninę, zawołał:

– Halo!

– Spieprzaj! – odkrzyknął Strulovitch. – Jestem jej ojcem.

– To zachowuj się jak ojciec – odparł nieznajomy.

Beatrice później nieraz sięgała po tę ripostę.

– Jeśli chcesz, żebym zachowywała się jak twoja córka, spróbuj się zachowywać jak ojciec.

Parę dni później weszła do jego gabinetu, śmiejąc się jak wiedźma.

– Właśnie sobie przypomniałam, jak nazwałś tego chłopaka, który mnie obmacywał. Chtoniczny złamas. Gratuluję. Jestem dumna, że jestem twoją córką. Żadna inna dziewczyna nie ma taty, który wymyśliłby coś podobnego.

Strulovitchowi zrobiło się przyjemnie. To rzeczywiście nie było złe określenie, tym bardziej że ukuł je naprędce. No i trafiło w sedno.

– Miło mi to słyszeć, Beatrice – powiedział. – Przepraszam, że cię uderzyłem.

– Jesteś chory – odparła. – „Chtoniczny złamas”. Tak naprawdę chciałeś powiedzieć: goj. Gdyby chodziło o Żyda, nie miałbyś z tym problemu.

– Nieprawda.

– Prawda!

– No dobrze, może miałbym mniejszy problem. Nie ze względów religijnych, ale dlatego, że Żyd nie jest zainteresowany robieniem hałasu.

Znów się zaśmiała.

– To pokazuje, jakie masz pojęcie – rzekła.

Czy miała rację? Czy chthoniczny złamas był tylko eufemizmem na określenie nie-Żyda?

Strulovitch tak nie uważał. Patrząc na chrześcijanina, nie widział istoty z mroków prehistorii. To raczej chrześcijanie myśleli tak o nim. W zasadzie on sam nieraz myślał w ten sposób o sobie.

Co nie zmieniało faktu, że nie chciał, aby jego córka wyszła za chrześcijanina, tak samo jak jego ojciec nie chciał, by jego syn ożenił się z chrześcijanką. Mieli pod tym względem zaskakująco wiele wspólnego. Obaj nie żywili uprzedzeń do nie-Żydów, utrzymywali z nimi serdeczne stosunki, szanowali ich, a nawet kochali jak braci (najbliższym przyjacielem ojca był biały jak kreda metodysta z Todmorden, a partnerem biznesowym, którego ubóstwiał jak żonę – ultramontanista z Wells), obaj też darzyli najwyższym podziwem nieżydowskich geniuszy: Mozarta i Beethovena, Rembrandta i (nomen omen!) Goyę, Wordswortha i Shakespeare'a (bez względu na to, czy wywodził się z rodu Shapiro). Strulovitch nie miał nic przeciwko gojom jako takim. Dopóki nie próbowali żenić się z jego córką (albo z nią sypiać), wszystko było w porządku. Dopiero gdy myślał o przymierzu, chrześcijanin stawał się w jego oczach troglodytą.

Ile razy w imię tego przymierza pakował ją do mercedesa?

Szczęście, że nigdy nie uciekła z domu, nawet na jedną noc, z żadnym z tych dziwolągów – Strulovitch czuł, że potrzebne mu inne słowo – którzy ją obmacywali. W chwilach gniewu tłumaczył to sobie jej chłodną kalkulacją, w chwilach miłości powtarzał sobie, że w głębi duszy jest bardzo roztropną młodą kobietą. W każdym razie śledził ją tak długo, że przywykła do jego obecności w mrokach parkingu albo przy stoliku na drugim końcu baru, schowanego za ciemnymi okularami i płachtą „Financial Times” – przywykła do tego stopnia, że czasem podchodziła i pytała, czy nie podwiózłby jej do domu albo czy nie pożyczyłby jej pieniędzy.

Raz w sierpniu pojechał za nią na karnawał w Notting Hill. Powiedziała mu, że chce odwiedzić kuzynów w Hendon – wsadził ją nawet do odpowiedniego pociągu – lecz przejrzał jej plany. Wiedział, że nie będzie łatwo odnaleźć jej w tłumie, lecz i tak pojechał, mimo głębokiej niechęci do imprez plenerowych, nagości w miejscach publicznych, muzyki jungle – tak, j u n g l e! – pijaństwa i maskarady. Pojechał, obawiając się najgorszego.

Czyli – w tym wypadku – naćpanego po uszy, owiniętego w arabską chustę rastafarianina hałasującego blaszanym bębniem. Koniec końców to Beatrice znalazła jego. Widać niepokój rozświetlał go jak żarówkę. Śmiało – i nie bez pewnej drwiny, gdyż wiedziała o jego obawach – przedstawiła go białemu mężczyźnie w garniturze, mniej więcej w jego wieku. Mężczyzna uściśnął mu dłoń i oświadczył:

- Jestem zaszczycony, że mogę pana poznać.
- Czy pan wie, ile lat ma moja córka? – zapytał go Strulovitch.
- Dwadzieścia cztery.
- Czy pan zgaduje?
- Nie, tak mi powiedziała.
- Dwudziestoczworoletki nie pyta się o wiek. Strzelał pan, ale nie zgadł. Ma trzynaście.
- Trzynaście i siedem ósmym – poprawiła go Beatrice.
- Chryste! – zawołał tamten i odskoczył, jakby właśnie się dowiedział, że jest trędowata.

Strulovitchowi prawie było go żal. Mimo to oznajmił:

- Jeżeli odkryję, że nie przestałeś się z nią spotykać, wytnę ci serce. Beatrice, o dziwo, nie pogniewała się o to.
- Nie powiesz chyba, że on też był, jak to mówisz, chtoniczny – zauważyła, gdy zajechali pod dom. – To zastępca burmistrza Kensington i Chelsea.
- To jeszcze nie znaczy, że nie jest chtoniczny – odparł Strulovitch. – Potrafię wymienić tuzin chtonicznych burmistrzów, a co dopiero wiceburmistrzów.

Wiedział jednak, że groźba wyprucia temu draniowi wnętrzości nie rozgniewała jej bardziej tylko dlatego, że nic do niego nie czuła. I że gdy zacznie się zakochiwanie, będzie miał z nią trzy światy.

No i zaczęło się. Symptomy były jednoznaczne. Brak apetytu, roztargnienie, ślady zębów na szyi. Pewnego wieczora pojechał za nią do Levenshulme – podmiejskiej dzielnicy, w której noga jego córki w ogóle nie powinna postać – wyważył kopniakiem drzwi mieszkania komunalnego i zaczął dusić pierwszą napotkaną osobę. Był to czyjś dziadek, zbyt stary, by mógł skrzywdzić jego córkę, ale niewykluczone, że stał na czatach. Strulovitcha musiało odciągać aż pięciu – w tym domniemany gwałciiciel, młodzieniec tak wątpy, że nie zgwałciłby nawet myszy. Masz szczęście, powiedziała później Beatrice, że go nie zabiłeś i że nikt nie zadzwonił na policję.

– Twoja policja – odparował – to ja.

Beatrice zapewne uciekłyby na zawsze z domu, gdyby tamto wydarzenie nie zbiegło się w czasie z udarem Kay. Jeden z lekarzy, przyjaciel Strulovitcha, zapewnił go, że choć jego batalie z córką mogły odcisnąć się na jej zdrowiu, ważniejszą rolę w etiologii jej choroby odegrały inne czynniki. Kay zawsze była słabowita i nerwowa. Stres spowodowany długim oczekiwaniem na Beatrice, a następnie jej własne obawy o dobro córki również mogły jej zaszkodzić. Strulovitch coś o tym wiedział. Można pragnąć czegoś zbytnie mocno.

Był jednak człowiekiem przesadnym. Kto czyni zło, płaci za nie cierpieniem – tak działa moralność. Przesąd ma większy zasięg: za twoje złe uczynki zapłaci cierpieniem kto inny. Ktoś, kogo kochasz. Czy Kay wciąż byłaby sobą, gdyby pozwolił Beatrice zmarnować swoje życie z pierwszym lepszym mężczyzną?

Co zresztą i tak niechybnie się stanie.

Wygodnie umoszczony i spowity satyną, z morelowo-błękitnymi odbłyсками żyrandola od Chihuly’ego w przymrużonych oczach, Shylock leżał w magicznym polu siłowym Alderley Edge i rozmyślał o Jessice. Nawet z pomocą tutejszego czarodzieja nie byłby w stanie cofnąć rzuconej na nią klątwy. Nie umiał też, ot tak, wyzbyć się ojcowskiej troski. Historia zakończyła się, jak się zakończyła, rozumiał, że dla niego to nieodwołalne, lecz nie mógł przestać myśleć o nieszczęściu czekającym jego córkę.

Tyle wiedział na pewno:

Ci, którzy nienawidzili go z taką siłą, że nie mieli oporów przed wzbogaceniem się na jego stracie i otwarcie szydzili z jego bólu, nigdy nie pogodzą się z tym, że jego córka jest Żydówką. Zew krwi nie da się zagłuszyć. Choć Jessika twierdziła, że nie jest córką uczynków swego ojca, Lorenzo, ten łajdak, który ją wykradł, oraz ci, którzy dopomogli mu w rabunku, nie przestaną napomykać o różnicach między nią a człowiekiem, którego wstydziła się nazywać ojcem, o jej łagodniejszym usposobieniu i większych szansach na pójście do nieba, o jaśniejszej karnacji – bardziej kość słoniowa niż ojcowski heban – a kiedy mówi się wyłącznie o różnicach, dostrzega się podobieństwo. To, że wzięli ją skąpaną w jego dukatach, dowodziło tylko, jak dużą część swojej atrakcyjności zawdzięczała jemu. Ile czasu minie, zanim Lorenzo obudzi się i stwierdzi, że leży w objęciach Shylocka?

O, naiwności córek! Uwierzyć, że miłość Lorenza uczyni z niej

chrześcijankę, chociaż w jego charakterze i zachowaniu nie było niczego, co można by nazwać chrześcijańskim – trzymając się definicji chrześcijaństwa samych chrześcijan. Bo czy to po chrześcijańsku, przywłaszczyć sobie bez mrugnięcia okiem złoto i klejnoty jej ojca? Czy to po chrześcijańsku, radować się jej zdradą i patrzeć, jak w jeden szalony wieczór w Genui wypróżnia sobie kieszenie? Rozrzutność podlega subtelnej gradacji moralnej: przepuścić własną fortunę jest rzeczą naganną, namówić na to kogoś – nikczemnością. A może właśnie owa nikczemność kryje się pod chrześcijańskim pojęciem cnoty? Cnotliwy jest ten, kto pozbawia drugiego dóbr doczesnych, o ile potępia sposób, w jaki tamten je zdobył...?

Przypomniał ją sobie jako dziecko w ramionach Lei i ogarnął go żal podobny do żalu po stracie jej matki. Czym sobie zasłużył na jej nienawiść? Nie było w tym słowie żadnej przesady. Małpa była tego dowodem. Kupując małpę za pierścień, który podarowała mu Lea, Jessika znieważyla ich oboje. Sama zaś małpa była obrazą jej przodków i wykształcenia, wszystkiego, czego uczono jej od małości. Nie oddałbym tego pierścienia za cały małpi gaj, oznajmił Tubalowi, a wypowiadając te słowa, miał przed oczyma leśną dziczą, niezmiernie połączoną drapieżnej nicości, gdzie nie ma prawa ani Boga i gdzie rządzą tylko zachłanność, hieny i ślepy popęd do rozmnażania.

Czyżby właśnie tego nienawidziła Jessika – nie jego i nie matki, która przedwcześnie ją opuściła, lecz tego przekonania, że dzikość należy okiełznać – dzikość w jej sercu i dzikość towarzystwa, w którym się obracała? Chrześcijaństwo, bądź co bądź, stanowiło najwyżej dziejową przerwę: jedynym prawdziwym rozróżnieniem było to między judaizmem a pogaństwem, a więc gdy Żyd czuł, że w jego żyłach odzywa się stara, pogańska krew, mógł tylko odrzucić nakazy, które mu wpojono. Jessiki nie interesowali chrześcijanie. Ona chciała wrócić do dziczy, między małpy.

Po przebudzeniu Strulovitch zastał gościa w ogrodzie. Pora była jeszcze wczesna. I chłodna. Shylock w swoim płaszczu, omotany czarną chustą – zdradzającą pewne podobieństwo do tałesu – siedział na rozkładanym krzeselku i rozmawiał z Leą. Ostatnie kropelki rosy połyskiwały wśród trawy, oświetlając go z dołu niczym rampa.

– A więc, Leo, wygląda na to, że wkrótce przejdę na chrześcijaństwo – powiedział.

Był to powracający w ich rozmowach motyw. Shylock jak zwykle czekał na

reakcję żony. Najwyraźniej jednak rozbawienie odbierało jej mowę. Wiedział, co sobie myśli: „Piękny będzie z ciebie chrześcijanin!”.

Nie mógł sobie odmówić pociągnięcia żartu dalej.

– Wyobraź sobie tylko – mawiał – jak siadam w ławie, ubrany na biało, gotów do chrztu świętego, z pochyloną głową, pełen nabożnej wdzięczności, i czekam na kazanie. „Jest dziś wśród nas, z łaski Jezusa Chrystusa, Żyd okryty złą sławą...”

Wstał z krzeselka i zatańczył dla niej dostojnie, pocierając kciukiem o palce. Walc Sknerusów.

Na tym jednak zawsze się kończyło. Usiadł z powrotem na krzeselku. Jego konwersja była *ultima Thule* ich grobowych pogaduszek. Podchodzili do niej nieskończoną ilość razy, niczym rekiny krążące w miejscu, gdzie poczuły krew, lecz nie byli w stanie przypuścić ostatecznego ataku. Zanim Shylock zdołał przyjąć chrzest, a mówiąc ściślej, odegrać przyjęcie chrztu, gasły światła rampy.

Przyjął czy nie przyjął?

Na to pytanie odpowiedź była prosta. Nie przyjął.

Nie dano mu takiej szansy.

Ale czy przyjąłby?

Na dźwięk miękkich kroków Strulovitcha prędko wstał i wyciągnął dłoń. Wrażenie robił na nim strój gospodarza – szlafrok jak z obrazu Matisse’a i pantofle z wyszytym herbem. Równie wspaniały szlafrok i pantofle przygotowano dla niego w łazience dla gości, lecz Shylock nie czuł się dobrze w cudzym ubraniu. Poza tym nie chciał się zbyt domawiać. Strulovitch mógłby pomyśleć, że nigdy się od niego nie uwolni.

– Czy chce pan pobyć z nią sam? – zapytał taktownie Strulovitch. Czuł się niejako zaszczycony – nie, dlaczego niejako, po prostu zaszczycony, i to głęboko – że Shylock poczuł obecność swojej żony w jego ogrodzie. Co prawda według Shylocka cała ta wirująca planeta była jej mogiłą – ale że akurat tutaj...!

Strulovitch pochylił głowę. Nie był człowiekiem religijnym, lecz nie przeszkadzało mu to wierzyć w świętość miejsc spoczynku bliskich.

– Żartowaliśmy sobie – wyjaśnił Shylock. – Staramy się nie tracić dobrego humoru.

Strulovitch miał nadzieję, że przy żonie Shylock jest bardziej dowcipny. W przeciwnym razie Lea była biedna – przez te wszystkie lata, leżąc w ziemi,

musiała udawać rozbawienie.

– Czy mogę zapytać, na jaki temat? Domyślam się, że nie o Grrynbergu i lekarzu?

– Nie, nie o Grrynbergu. Lubimy sobie wyobrazać, że przechodzę na chrześcijaństwo. Moją Leę ten pomysł bawi.

– Gdybym miał zgadywać, pomyślałbym, że ją przeraża.

– O, byłaby przerażona, gdyby to się stało, ale czas nam sprzyjał. Zacisnął pięść, nim zdążył zrealizować swój zamiar. Możemy się uśmiechnąć, że c o s jednak było po naszej stronie.

– Ma pan poczucie, że pozbawił chrześcijan wygranej?

– Pan wychodzi z założenia, że oni wiedzieli, o co grają.

– Tak rozumiem ich słowa. „Odejdź precz”...

– „Odejdź precz” niczego nie dowodzi. „Odejdź precz” to jedna z tych rzeczy, jakie możni tego świata mają w zwyczaju mówić do Żydów.

– Ale im chyba nie chodziło jedynie o to, żeby pan im zniknął z oczu? Chcieli, żeby pan odszedł od siebie, od swojej wiary i poczucia własnej wartości...

– I od moich pieniędzy, proszę nie zapominać o moich pieniądzach.

– A więc wiedzieli, o co toczy się gra.

– Któż to wie? A jeśli nie tylko czas zacisnął palce, nim zdążono mnie przechrzcić? A jeśli oni, powiedziawszy to, co powiedzieli, poczuli się usatysfakcjonowani? Ocalili jednego ze swoich, a mnie na oczach wszystkich oskubali z pieniędzy. Chodziło wyłącznie o pozory, jak to zwykle bywa na procesach pokazowych. Bo nie ma się co oszukiwać – niezależnie od tego, jak się rozpoczął, koniec końców to był proces pokazowy. Jak ożydzić Żyda. Może później było im już wszystko jedno, czy dokonam tej konwersji? Sam nakaz był niewątpliwie złośliwy, lecz po przywróceniu *status quo ante Iudaeus* mieli inne rzeczy na głowie, honor został uratowany, kupiec wygrał i zarazem przeżył chwilę masochistycznej ekstazy, a zresztą w ostatecznym rozrachunku i tak byłem przegrany, trwając uparcie przy swoim żydostwie, ogołocoony z pieniędzy, upokorzony i osierocony, bez szans na chrześcijańską łaskę i zbawienie duszy. Bo przecież nie uwierzę, że los mojej duszy specjalnie ich obchodził.

Strulovitch namyślił się.

– Mógł ich obchodzić o tyle, że mogliby się potem chełpić, że ją odmienili.

– Otóż to! Obchodził ich o tyle, o ile rzutował na ich wizerunek. Ale

zwyciężyli już wcześniej. O własne dusze też najwyraźniej się nie martwili. Tyle mówili o miłosierdziu, po czym wywarli srogą zemstę. To bardzo po chrześcijańsku.

– Ale czy daliby w ogóle wiarę pańskiej konwersji, zważywszy na pańską nieskrywaną pogardę dla chrześcijaństwa?

– Któż to wie? Z jednej strony chrześcijanie mieli Żydów za naród zbyt zasklepiony w swoim uporze, by dało się nas nawrócić, z drugiej nie rozumieli, jak możemy się opierać światłu Chrystusa. W tej pierwszej kwestii co do mnie mieli rację. Mam nadzieję, że prędzej sam podciąłbym sobie gardło, niż uklęknął w hańbie przed malowaną kukłą.

– A zatem kiedy zgadzał się pan na chrzest, nie był z nimi szczery?

– Odpowiedziałem na pytanie w takiej formie, w jakiej zostało mi zadane. „Czy to cię zadowala, Żydzie?” Jeśli to nie była drwina, to co innego? Nie miałem już siły się bronić, ale swoją odpowiedzią – „Jestem zadowolony” – przynajmniej odpłaciłem im równą monetą.

– Więc ani przez chwilę nie zamierzał się pan przechrzcić?

– Mówię tylko, że mam nadzieję, że prędzej podciąłbym sobie gardło. Nie twierdzę, że wiem, co bym zrobił, gdyby nie poprzestali na wzajemnych gratulacjach, gdyby wystarczyło im zapału, by faktycznie zawlec mnie do kościoła. Ale na pewno nie byłbym „zadowolony”. Czy ja panu wyglądam na zadowolonego człowieka?

Strulovitchowi było przykro, że Shylock nie skorzystał ze szlafroka i pantofli. Chciał, by poczuł się jak u siebie. Został trochę dłużej. Pozwolił sobie na odrobinę zadowolenia, którym tak gardził. Zwiedził okolicę. Pozachwycał się zimowym pejzażem. Podzielił wspomnieniami. Albo po prostu dalej rozmawiał z nim o Żydach, czyli na temat, którym Strulovitch był zmęczony w teorii, ale nie w praktyce. Fascynował go zapał, z jakim Shylock zabierał głos w tej kwestii. Ja, Żyd – oni, chrześcijanie – bez niedomówień, bez wicia się jak piskorz. Czy tak jest lepiej? Nagi antagonizm. Żadnego udawania, że zgoda jest możliwa. Niekończąca się, jazgotliwa, nierozwiązywalna sprzeczność. Czy dzięki temu obie strony przynajmniej wiedziały, na czym stoją? Znały swojego wroga? Teraz i zawsze, aż po kres czasu.

Póki nawrócą się wszyscy Żydowie.

Skrajności myśli i języka. Długie wieki niechęci i braku zaufania. Jeżeli Shylock zostanie na dłużej, będzie musiał nauczyć się hamować w obecności

Beatrice. Tak myśli Strulovitch, człowiek bojący się o córkę i bojący się córki.

Shylock wybrał się na krótki spacer i przyjrzał rybom Strulovitcha.

– Czy one trafiają na stół? – zapytał.

– Są czysto ozdobne – odparł Strulovitch. Przyszło mu do głowy, że taki koncept może być Shylockowi obcy. Gdyby zostawić go samego w domu, czy ukradłby sobie rybę na obiad? Złowił owłosionymi palcami i wpakował, trzepoczącą, do ust? Naprawdę nie wiem, co to za człowiek, pomyślał. W jego duszy rozległ się głos matki: „Zaprosiłeś go do domu? Tak po prostu?”. Albo żony, kiedy jeszcze nią była. No i Beatrice. „Tato, co to za jeden?”

Gdy szło o wpuszczanie obcych ludzi do domu, czy mężczyźni byli ogólnie mniej ostrożni od kobiet, czy tylko on tak miał?

– Napije się pan kawy? – zapytał w końcu.

Shylock uśmiechnął się.

– Jeśli można, chyba wolałbym herbatę, zważywszy na to, jak wy, Anglicy, parzycie kawę.

– Moja kawa jest dobra – zapewnił go Strulovitch. – Sam importuję ziarna.

Shylock złączył, a następnie rozłożył ręce. Strulovitchowi nie po raz pierwszy wydało się, że wykonuje gest człowieka, który milcząco godzi się na aresztowanie.

– Mam wejść do środka?

– Można wystawić stolik na zewnątrz.

– Za zimno – odparł Shylock i otulając się płaszczem, ruszył do wejścia.

Był to gest iście teatralny, jak na zakończenie sceny. Nie znam tego człowieka, raz jeszcze pomyślał Strulovitch.

– Nie wiem, jak pan śniada – powiedział w środku.

– Normalnie. Przy stole, sztucami.

– Ujmę to inaczej. Nie wiem, co pan jada na śniadanie.

– Zadowolę się tostem.

– Powinienem był zapytać pana wczoraj wieczorem, co pan sobie życzy. I czy...

– Czy zwracam baczną uwagę na to, co jem? Owszem. Pan nie, jak rozumiem.

– Nie to, co wchodzi do ust, czyni człowieka nieczystym – uroczyście wyrecytował Strulovitch – ale co z ust wychodzi, to go czyni nieczystym.

- Jezus jest dla pana najwyższym autorytetem w kwestii kaszrutu?
 - Zwalnia mnie z uciążliwego obowiązku i pozwala czuć się z tym dobrze.
 - Pan się czuje dobrze, a moim zdaniem to sofistyka. Dlaczego nie miałyby nas kalać jedno i drugie: to, co wychodzi z ust, i to, co do nich wchodzi?
 - Dlaczego w ogóle potrzebujemy pojęcia nieczystości?
 - Mnie ono nie jest potrzebne.
 - A zatem, jeśli nie ma czegoś takiego jak nieczystość...?
 - Po co zaprzętać sobie umysł rozróżnieniami? Bo zawsze warto różnicować. Życie, jeśli ma być coś warte, nie powinno być przypadkowe i niewybredne. Nie chcę pakować sobie do ust wszystkiego co popadnie, tak jak nie chcę doświadczać wszystkiego jak leci. Kiedy się zakochałem w Lei, wiedziałem, że nie chcę kochać żadnej innej. Oddzieliłem ją od pozostałych kobiet, a ona mnie od pozostałych mężczyzn. Prowadzenie koszernej kuchni jest takim samym przejawem moralności jak dotrzymywanie wierności małżeńskiej. Nawyk skrupulatności sam przez się służy dobru.
 - Na pewno nie myli pan moralności z nerwicą?
 - Ludzie praktykujący są mniej neurotyczni od niepraktykujących. Wy, świeccy Żydzi, jesteście bardziej drobiazgowi w nieprzestrzeganiu prawa niż wierzący Żyd w jego stosowaniu. Musicie pamiętać o wszystkich zasadach, które trzeba złamać. O świętach, które trzeba zignorować. O micwach, które trzeba opuścić. O obowiązkach, od których trzeba się uchylić.
 - Pan zakłada, że jestem pieczołowity w moim niepraktykowaniu. Że robię to z rozmysłem. A ja po prostu nie dbam o te sprawy.
 - W którymś momencie podjął pan świadomą decyzję. I tam zaczyna się pańska neuroza. Niech pan mówi, co chce, ale pańska decyzja musiała wynikać z pryncypiów, gdyż jest pan, pod wieloma innymi względami, Żydem z krwi i kości. Abstrahując od diety, niech pan spojrzy, jak fanatycznie pan wszystko separuje. Idee. Ludzi. Siebie. Córkę...
 - Próbuję ją separować.
 - Nadzwyczaj usilnie. Ma pan koszerne umysł. Dlaczego więc patrzy pan krzywo na koszerne żołądki?
 - Patrząc krzywo na obrażanie ludzi bądź przysparzanie im kłopotu.
 - Czy moja dieta pana obraża lub przysparza panu kłopotu?
- Strulovitch roześmiał się.
- Mnie? Skąd. Jak na razie.
 - W pańskiej gościnie zadowolę się tostem.

– Chrześcijanom, z którymi nie chciał pan jeść, raczej pan tego nie powiedział.

– Pan myśli, że to by cokolwiek zmieniło? Że poczuliby do mnie większą sympatię?

– Może poczuliby do pana mniejszą niechęć.

– Czy przemawia przez pana własne doświadczenie bycia lubianym? Jeżeli tak, proszę mi powiedzieć: czy kochają pana bardziej za pańską hojność? Za pańskie dary i donacje? Czy może fakt, że stać pana na to wszystko, ściąga na pana jeszcze większe odium?

– Odium?

Nie jestem tobą, pomyślał Strulovitch. Nie budzę takiej niechęci. Jestem innym człowiekiem, żyję w innych czasach.

Nieomal jednak żałował, że tak jest.

– Jeżeli to słowo pana obraża – odparł Shylock – może pan to nazwać po swojemu. Ale oni w głębi serca nigdy panu nie wybaczą. Na pańskim miejscu już ostrzyłbym nóż na podeszwie buta.

– To pańska rada dla mnie?

Shylock milczał.

– W każdym razie – podjął na nowo Strulovitch – zdarzało się panu z nimi jadać.

– Tak, i nie ma dnia, żebym tego nie żałował. Ale nie chodziłem tam, by ich sobie zjednać. Nie, ja chciałem ich sprowokować. Sprawić, by jedzenie smakowało im jak trutka na szczury. W życiu człowieka muszą być jakieś przyjemności. Nie może się składać wyłącznie z pracy i modlitwy.

Ach, pomyślał Strulovitch, taką prowokację potrafię zrozumieć.

Milczenie.

Shylock je suchego tosta.

Strulovitch zastanawia się, czy rzeczywiście ma koszerny umysł.

Beatrice...

Gdzie jest Beatrice?

Czy mogła podsłuchać ich rozmowę? Co by sobie wówczas pomyślała – ona, nowoczesna dziewczyna, która robi, co jej się podoba, całuje się, z kim chce, je, na co ma ochotę?

„Tato, co to za jeden? Co on tu robi? Próbuje cię nawrócić?”

A jak zareagowałby Shylock, gdyby mu ją przedstawiono? Czy na widok

cudzej córki, która nie uciekła z domu, pękłoby mu serce?

- A więc, pańska córka... – powiedział w zamyśleniu Shylock do filizanki, przestankując w sposób świadczący o podążaniu za tokiem myśli Strulovitcha.
- Czy ona mieszka tutaj?

W opinii Plurabelle jedną z najbardziej uroczych cech D'Antona – człowieka złożonego z samych uroczych cech – była umiejętność słuchania. Zwłaszcza słuchania jej. Wystarczyło, że napomknęła o czymś, czego pragnęła – dla siebie lub dla przyjaciela – a D'Anton już kombinował, jak to zdobyć.

Tak też było z Żydówką dla piłkarza Gratana Howsome'a. Dowiedziawszy się o jego słabości do Żydówek, Plurabelle zarządziła, że trzeba mu jakąś znaleźć. A słowo Plurabelle – zwłaszcza w sprawie dotyczącej szczęścia Gratana – było dla D'Antona rozkazem.

Jeszcze zanim skończyli rozmawiać, przypomniało mu się, że jakiś czas temu jego uwagę zwróciła pewna studentka z Golden Triangle Academy, uczelni, którą wielkodusznie obdarowywał swoim cennym czasem, wygłaszając tam nieraz rozważania o pięknie i wyrzeczeniu. Sam był obojętny na jej urodę, ale dzięki darowi altruistycznego wczuwania się w cudzy zmysł estetyczny, choćby mocno ograniczony, umiał sobie wyobrazić, że komu innemu mogłaby przypaść do gustu – jak tajski skorpion moczony w whisky albo czarna bielizna pościelowa. Było w niej, a może nawet w jej nazwisku, coś, na co w normalnych okolicznościach nie zwróciłby uwagi, a co utkwilo mu w pamięci. Uśmiechnął się do Plurabelle i dotknął palcem nosa.

– Zostaw to mnie – powiedział z ożywieniem, jakiego chyba nigdy przedtem u niego nie widziała.

Plurabelle z miejsca ją polubiła, natychmiast zapominając, że dziewczyna jest przeznaczona dla piłkarza.

– Przypominasz mi mnie, kiedy byłam w twoim wieku – powiedziała, prawdopodobnie mając na myśli czasy sprzed operacji plastycznych.

Zachwycona, że dziewczyna chce zostać performerką, wyraziła nadzieję, że wystąpi kiedyś na jednej z weekendowych imprez w jej domu.

– Możemy zbudować dla ciebie scenę – zadeklarowała.

Dziewczyna skromnie wyjaśniła, że performer nie potrzebuje sceny.

Zamierzała zresztą uprawiać szczególny rodzaj performance’u, zrywający z powszechnym wyobrażeniem o przestrzeni spektaklu, a nawet ingerujący w to, co zwykle się uważać za przestrzeń osobistą. Jej zdaniem sztuka powinna wdziierać się tam, gdzie nie jest mile widziana.

Plurabelle słuchała tego z zachwytem. Jaka ona zdolna! Bił od niej diamentowy blask, ale nie był to blask biżuterii, lecz naturalnego piękna.

– Tutaj twoja sztuka zawsze będzie mile widziana – oświadczyła. – Mój dom jest twoim domem, możesz się do niego wdziierać, kiedy zechcesz. Zaproszę trochę ważnych osób, żebyś miała czyją przestrzeń naruszać.

– Jeszcze długo nie będę czuła się gotowa, Plurabelle – odparła dziewczyna z twarzowym rumieńcem.

– Mów mi Plury.

Dziewczyna myślała, że niebo pęknie nad jej głową, tyle było na nim gwiazd.

Pewnego wieczora Plurabelle zaproponowała, by na kolację przebrały się za chłopców. Dziewczyna miała wątpliwości. Nie wiedziała, jak będzie wyglądać. Zgodziła się jednak. Plurabelle miała całe szafy kostiumów.

– Do twarzy ci – orzekła prowokacyjnie, zawiązując jej wokół szyi chustę, a na głowę wsadzając czapkę. – Teraz jesteśmy braćmi.

Gratan Howsome, który oczywiście był wśród gości, zadurzył się od pierwszego wejrzenia.

Od tamtej pory robiły to często. Kończyło się zawsze tak samo: Plurabelle zasypywała piękną dziewczynę o lewentyńskich ustach euforycznymi pocałunkami, śmiejąc się szaleńczo i nazywając ją „swoim Żydkiem”.

Gratan zaś wpijał się w nią płonąącym wzrokiem.

Tak oto, bez wiedzy Simona Strulovitcha, jego córka Beatrice została serdeczną przyjaciółką Anny Livii Plurabelle Kleopatry Co Piękne Cieszyć Nigdy Nie Przystanie Christine.

– Mieszka tutaj, owszem – powiedział Strulovitch. – Przynajmniej w sensie oficjalnym. Ale czy mieszka tutaj sercem, duchem.. Nie będę owijał w bawełnę, wydaje mi się, że sytuacja jest mocno wybuchowa.

– Z jej winy – chciał wiedzieć Shylock – czy z pańskiej?

– Nie wiem, czy jesteśmy wystarczająco odrębnymi bytami, żebym mógł odpowiedzieć na to pytanie. Niby dążymy do konfrontacji, ale za każdym razem w ostatniej chwili oboje robimy krok w tył. Dzięki temu ona wciąż tu jest... wciąż jesteśmy rodziną.

– Dzięki temu, że jesteście zsynchronizowani w swoim gniewie?

– Lepiej bym tego nie ujął. Ale jesteśmy też zsynchronizowani w strachu przed tym gniewem. Oboje, tak mi się wydaje, boimy się ostatecznego starcia. Jakaś część mnie wierzy, że ona mi współczuje.

– Panu?

– Tak, przynajmniej odkąd Kay zaniemogła. Wcześniej uważała mnie za wariata. Teraz nadal uważa, że jestem wariatem, ale takim, który stara się być dobrym ojcem, tyle że nie ma do tego talentu ani niczyjego wsparcia.

Shylock już miał coś powiedzieć, lecz rozmowę przerwało pojawienie się samej Beatrice, nieco wczorajszej, z ręcznikiem na głowie, w indygowej podomce od Stelli McCartney, którą dostała od Strulovitcha na ostatnie urodziny. Parę kosmyków mokrych włosów opadało jej na policzki, co mimo lakonicznych ruchów i apatycznej miny na karmelowej twarzy nadawało jej, w oczach Strulovitcha, wygląd czarującej syreny. Zdawać by się mogło, że dopiero co pływała w jego stawie z ozdobnymi rybami. Nie mógł przeboleć tego, jaka jest piękna.

– O wilku mowa, a wilk tu – powiedział.

– Dzięki, tato.

Zawahał się, czy ją przedstawiać, ale nie było wyjścia.

– Moja córka Beatrice. Shylock.

– Yhy – rzuciła tak cicho, że Strulovitch nie miał pewności, czy się nie

przesłyszał. Była mrukliwa, ale jej cokolwiek umiarkowane zainteresowanie rozmową, typowe dla zaprzątniętych sobą nastoletnich dziewcząt, nie raziło jako niegrzeczność; zagadnęła Shylocka, czy jest starym znajomym taty, udawała, że słucha jego odpowiedzi, zapytała, jak planują spędzić dzień.

Czy wiedziała, kogo ma przed sobą?

– Jeszcze nie rozmawialiśmy o tym, co będziemy robić – odparł Shylock. – Pani ojciec pewnie ma swoje zajęcia. Chętnie posiedziałbym tutaj i poczytał gazety albo posłuchał muzyki, jeżeli to nie kłopot. Czy macie jakiegoś Bacha albo George’a Formby’ego?

Beatrice spojrzała na ojca. Nazwisko Formby nic jej nie mówiło. Strulovitch pomyślał, że jej pokolenie jest pierwszym, które przyszło na świat pozbawione pamięci.

– *When I’m Cleaning Windows* – pomógł jej.

– To nie Bach – zgadła.

– Nie, jest zabawniejszy od Bacha.

– Żartobliwa muzyka mnie nie bawi – oświadczyła Beatrice.

– Moja ulubiona piosenka Formby’ego to *Happy Go Lucky Me*.

Czy on kpi z samego siebie? – zastanawiał się Strulovitch. A może z niej? Jeśli tak, to w jakim celu? Próbuje flirtować z moją córką?

Beatrice albo tego nie spostrzegła, albo to zignorowała. Rozwinęła ręcznik na głowie i potrząsnęła włosami, opryskując eleganckie wełniane spodnie Shylocka deszczem drobnych kropelek.

No chyba że podejmowała w ten sposób flirt.

– A może Al Jolson? – rzucił Shylock.

Beatrice znów pokręciła głową. O ciemny wieku, pomyślał Strulovitch. Co z tego, że jest ponad swoje lata błyskotliwa, skoro żyje w bańce elektronicznej ignorancji, przy której wczesne średniowiecze jawi się jako istny karnawał oświecenia. Wstydził się za nią, że tak mało wie o tym, co się wydarzyło przed jej narodzinami. Zarazem bał się, że Shylock, nagle ożywiony, by nie rzec: rozochocony, postanowi uświadomić jej, kim był Al Jolson, i zaśpiewa *Mammy* z wymachiwaniem rękoma. Beatrice miała wprawdzie dużo mniejszą wiedzę niż on w jej wieku, rozumiała jednak, co w jej kulturze jest dopuszczalne, a czego robić nie wypada, i że białemu artyście estradowemu nie wolno smarować się czarną pastą.

– Płyty są na tamtej półce – oznajmiła. – Proszę się nie krępować. Nie są moje. I proszę się mną w ogóle nie przejmować. Za parę minut wychodzę.

Muszę zdążyć na dwunastą na uczelnię. – Zdziornie wysunęła brodę w stronę ojca: proszę, wbrew temu, co twierdził, traktowała studia bardzo poważnie.

– Co pani studiuje? – zapytał Shylock, zniżając głos, jakby chciał wykluczyć Strulovitcha z rozmowy. Jego pytanie zabrzmiało prawie jak pieszczota.

– Na razie chodzę na ogólne zajęcia ze sztuki, same podstawy, ale chcę się skoncentrować na performansie – odparła Beatrice. Strulovitch usłyszał w jej tonie dziwną nieśmiałość, jakby przedmiot jej „studiów” był dla niej czymś zgoła nowym.

Zapałał wstydem. Performance! Zwykle popisywanie się przed ludźmi – dlaczego nie nazywać rzeczy po imieniu? Był ciekaw, czy Shylock zetknął się z tym gatunkiem sztuki, czy wiedział, że chodzi w nim wyłącznie o pozbycie się zahamowań na oczach tłumu. Zważywszy na jego zdanie o karnawale, trudno było przypuszczać, by Shylock zachwycił się ideą performance’u. (Z drugiej jednak strony nigdy nie wiadomo: kto by pomyślał, że okaże się miłośnikiem George’a Formby’ego?). Może i nie miał łatwo z Jessiką, ale ona przynajmniej nie powiedziała ojcu, że pragnie testować granice relacji między artystą a publicznością. „To nie jest zajęcia dla Żydówki” – oznajmiłby jej, zamykając okna. Strulovitch stał na podobnym stanowisku, mimo że większość znanych mu ze słyszenia performerów była Żydówkami.

Czy oni testowali granice relacji między młodymi Żydówkami a ojcami?

Czy ekoseksualna ekshibicjonistka Annie Sprinkle, prawdziwe nazwisko Ellen Steinberg, była wynikiem wychowania w skromności?

Shylock, cokolwiek z tego zrozumiał, skłonił głowę ze staroświecką uprzejmością. Równie dobrze Beatrice mogłaby mu powiedzieć, że uczy się na krawcową.

Nagle zapytał:

– Na czym to polega?

On to robi, żebym najadł się wstydu, pomyślał Strulovitch. Chce zatrzymać Beatrice w domu, będzie ją podpuszczał i targał mi nerwy.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Bycie performerką?

– Tak.

– Powiem panu, jak będę miała więcej czasu – odparła czarująco.

Strulovitch znów zadał sobie pytanie, czy ona wie, kogo próbuje oczarować. Ale w jej uśmiechu kryła się jakaś niepokojąca zachęta. Czyżby zamierzała

zapropnować Shylockowi, by pojechał z nią na uczelnię? Wyobraził sobie, jak przedstawia go znajomym. „Cześć, to jest Shylock. Coś wam to mówi? Mnie też nie. Ale to wporzo facet”. A potem jeszcze zabiera na zajęcia z performance’u. Na których Shylock wdaje się w zacieklą kłótnię z jej wykładowcami, nie miarkując się ani trochę, jak by to uczynił na jego miejscu każdy współczesny Żyd; nie wiedząc, że wszedł między lwy. Ta obawa szybko jednak ustąpiła miejsca innej – co jeśli Shylock żywił jakieś zamiary względem jego córki, nie erotyczne, rzecz jasna, ale ojcowsko-zaborcze, i gdzie właściwie przebiegała granica między jednymi a drugimi? Czy spoglądał na nią łapczywie? „Performerka, hm?” Strulovitch dobrze wiedział, że mężczyzna potrafi otaksować kobietę tak dyskretnie, że na jego twarzy nie drgnie ani jeden mięsień. Dlaczego Shylock nie miałby przyglądać się Beatrice, zmysłowej w stylu młodych kobiet sprzed lat, pulchniejszej i wyraźniej zaokrąglonej, niż to było teraz w modzie, nie wychudzonej jak obgryziona marchewka, lecz pełnej i rumianej, piękności rodem z *Pieśni nad pieśniami*. Zapewne przypominała mu Leę. Drugą Jessikę. Tak, niewątpliwie dostrzegł jej urodę i nie pozostał wobec niej obojętny. Beatrice to zauważyła – jakże miała nie zauważyć? – i również spojrzała na niego ciepło. „Jak mogłeś wpuścić tego człowieka do swojego domu?” – rozległ mu się w głowie głos matki. „Mało masz kłopotów z tą dziewczyną?” Niepodobna, żeby Shylock przybył tutaj właśnie po to, by znaleźć następczynię Jessiki – nie, to zbyt mefistofeliczne – aczkolwiek utrata córki może wpędzić człowieka w obłęd, a czy człowiek dotknięty obłędem nie staje się nieobliczalny?

Oko za oko, córka za córkę.

Dlaczego Strulovitchowi córka miałaby się należeć bardziej niż jemu?!

O tym, jak haniebne były to podejrzenia, przekonał się w chwili, gdy Beatrice, pożarłszy zimnego tosta, oznajmiła Shylockowi, że miło było go poznać, a ten, znów kłaniając się ceremonialnie, odrzekł bez cienia ironii czy podtekstu:

– I nawzajem. Powodzenia w nauce.

Strulovitchowi zrobiło się wstyd. Coś jest nie tak, pomyślał, jeżeli ojciec, widząc swoją córkę w towarzystwie innego mężczyzny, natychmiast wyobraża sobie bezceństwo. Spójrzmy prawdzie w oczy: to ze mną coś jest nie tak. Beatrice nie musiała sobie kupować lubieżnej małpy, symbolu świata wyzutego z wartości moralnych. On sam był lubieżną małpą.

Czy Shylock to dostrzegął? I czy chciał, by Strulovitch o tym wiedział?

Zanim wyszła, Beatrice zapytała ojca, czy zajrzał do swojego kalendarza.

- Zrobię to – odparł. – Obiecuję.
- Ostatnio też obiecywałeś.
- Tym razem naprawdę. Zostawię ci wiadomość pod drzwiami.
- Wystarczy esemes.

Słuchali w milczeniu, jak dziewczyna głośno krząta się po domu. Strulovitch napotkał spojrzenie Shylocka i wydało mu się ono wścibskie. Nie powinni nasłuchiwać razem. Jego córka nie była ich wspólną sprawą.

Hałas, który czyniła, zbierając swoje rzeczy i rozrzucając książki – tak to brzmiało, choć Strulovitch wątpił, czy to naprawdę książki – zazwyczaj go irytował. Wydawał się całkiem niepotrzebną manifestacją niezależności. Dziś jednak słuchał tego uszami Shylocka. Ależ będzie mu jej brakowało, jeśli się wyprowadzi.

K i e d y się wyprowadzi.

Cisza huczała mu w uszach.

– Piękna dziewczyna – stwierdził Shylock chwilę po tym, jak dobiegł ich trzask drzwi frontowych. – Przeurocza.

– Piękna, owszem – przyznał Strulovitch, wciąż poirytowany jego wścibstwem. Odnosił przy tym wrażenie, że Shylock o tym wie i że sprawia mu to przyjemność. – A czy urocza, nie byłbym taki pewien.

– Mogę się tylko wypowiadać na temat jej wyglądu. Ogólnego wrażenia.

– Tak. Nieurocze jest w niej to samo co w nich wszystkich. Posiada wrodzoną przenikliwość, ale niewystarczającą, by wzbić się ponad kulturę, która ją otacza.

– Niech pan uważa, zaczyna pan mówić jak stary człowiek.

– Z panem tak nie było? Czy ojciec nie jest z definicji stary? Pan swoją córkę zamykał na klucz.

– Musiałem. Straciłem już jedną kobietę. Nie chciałem stracić drugiej.

– Właśnie tak postępuje stary człowiek.

– Wiedziałem, że grozi jej niebezpieczeństwo.

– Bębny i wrzaski próżnej swawoli? Ile w tym było prawdziwego zagrożenia? Czy aby sami nie napędzamy sobie strachu, wyolbrzymiając to, czego się boimy? Prowadził pan stateczny dom, ale stateczny dom to nie jest dobre miejsce dla młodej dziewczyny.

– Czy mam rozumieć, że pan swoją puszcza samopas?

- Nie mogę jej zatrzymać.
- Ale próbuje pan.
- Owszem. To mój święty obowiązek.
- Ja robiłem to samo.
- I obaj przegraliśmy.
- Pan jeszcze nie przegrał.

Strulovitch przez dłuższą chwilę wpatrywał się w groźne, melancholijne oczy gościa. Jego własne oczy były niepozorne, perłowoszare, koloru Morza Północnego w wietrzny dzień. Oczy Shylocka były jak głębokie sadzawki cętkowanej umbry, niby stara farba olejna, która jakimś sposobem – nie tyle za sprawą renowacji, ile nieumyślnego wycierania – odzyskała dawny polor. Były ciemne ową rembrandtowską ciemnością, która kryje w sobie światło. Patrząc w nie, Strulovitch czuł się, o ironio, jak w kościelnej krypcie. Wyjawszy nasze uczucia do córek, pomyślał, nie jesteśmy do siebie ani trochę podobni. A skoro tak, to po czym goje i w nim, i we mnie poznają Żyda?

Shylock, widząc wytężone spojrzenie Strulovitcha, odczytał jego myśli.

– Tak, nie ma między nami żadnego podobieństwa – rzekł. – Nie łączy nas ani wygląd, ani sposób życia. Pan nie prowadzi koszernego domu, nie chodzi do synagogi, nie mówi, idę o zakład, ani słowa po hebrajsku. Co to więc znaczy, że obaj jesteśmy Żydami?

– Bardziej ciekawi mnie, co to znaczy dla nich. Co w nas widzą wspólnego?

– Coś starszego od nich.

– Może u pana... Nie mówię tego złośliwie.

– Wiem, co pan ma na myśli. Ale u pana również to widzą. To coś nie poddaje się erozji czasu. To niezdolność do bycia obojętnym. Może pan twierdzić, że jest niewierzący, ale słyszy pan prastary nakaz.

– Samo to nie czyni mnie jeszcze różnym od muzułmanina albo chrześcijanina.

– Nieprawda. Chrześcijanie tak bardzo starają się przystosować do nowoczesności, że przestali go słuchać. Śpiewają kolędy i nazywają to wiarą. Niedługo w ogóle znikną, długa dziejowa przerwa dobiegnie końca i znów pozostaną tylko poganie i Żydzi.

– I muzułmanie.

– Tak, i muzułmanie, ale oni są osamotnieni, nie dogadują się z nikim poza sobą. Niech pan spojrzy na siebie – pan jest rozdarty. Islam nie sprzyja

schizofrenii, która jest pańskim udziałem. Muzułmanin słuchający prastarego nakazu angażuje się bez reszty i odnajduje w ten sposób pokój.

– Pokój? Irak! Syria! Afganistan!

– Wystarczy! Nie musi pan wymieniać wszystkich upadłych państw na Bliskim Wschodzie. Chodzi mi o pokój jako pewne wewnętrzne przekonanie, bez względu na to, jak oceniamy konsekwencje polityczne. My, Żydzi, jesteśmy wobec siebie bardziej podejrzliwi, wciąż się zastanawiamy, czy nie pora wyrzec się naszej wiary, lecz wiemy, że koniec końców nie mamy na co się nawrócić.

– Moja córka jest inna. To chodząca apostazja.

Shylock zrozumiał, że to dla niego sygnał, by skierować rozmowę na bardziej osobiste tory.

– A więc o to panu chodziło z tą mocno wybuchową sytuacją...

Strulovitch w odpowiedzi zaparzył więcej kawy. Liczył, że Shylock ją pochwali, lecz ten nie był szczodry w pochwałach.

– Ona chce – zwierzył się wreszcie Strulovitch – bym jej powiedział, kiedy może przyprowadzić swojego nowego chłopaka, żebyśmy mu się przyjrzała.

– Przyjrzała? Jak koniowi na targowisku?

– Może nie tak dokładnie. Właściwie to nie powiedziała „przyjrzała”, tylko „poznała”. Przyjąłem najkorzystniejszą interpretację. Skoro chce mi go przedstawić, to znaczy, że to coś poważnego. Bałem się tej chwili.

– Powinien się pan cieszyć, że liczy się z pańskim zdaniem.

– Cieszyć! Ona ma szesnaście lat, na Boga! Moje zdanie, jak pan był łaskaw je nazwać, powinno być dla niej prawem.

– Jest już w takim wieku, że kwestionuje prawo. Nie każdą córkę obchodzi, co sądzi jej ojciec.

– Jej to nie obchodzi. Ma wyrzuty sumienia w stosunku do matki. Nie odsuwa mnie przez szacunek dla niej.

Shylock odkaslnął.

– W takim razie dlaczego pan się tak niepokoi?

Strulovitch pokazał mu wszystkie dziesięć palców. Gdyby miał zliczyć przyczyny swojego niepokoju, siedzieliby tu do Sądu Ostatecznego.

Od czegoś jednak trzeba było zacząć.

– Wie pan, co jest najśmieszniejsze? Ostatnim razem, jak kogoś przyprowadziła, spodziewałem się rozczochańca w trampkach z kółkiem w nosie i światopoglądem... rozczochańca w trampkach z kółkiem w nosie. A

okazał się doktorantem. Nie żeby miał dużo lepszy światopogląd, ale przynajmniej był czysty.

– Ale nie...

– Oczywiście, że nie. Beatrice tylko z takimi się umawia. Powiedziałem, że był czysty? Chciałem powiedzieć: zbyt czysty. Wymawiał moje nazwisko tak, jakby płukał gardło. A teraz najlepsze: zanim znalazłem sposób na to, żeby ich poróżnić, Beatrice sama z nim zerwała...

– ...i znalazła sobie kogoś gorszego.

– Znacznie gorszego. Ja się szykuję na kolejnego pięknoducha, sympatyka ISIS, gardzącego pieniędzmi judeofoba z dyplomem sztuk pięknych, a ona uderza do faceta, który prawdopodobnie nigdy nie trzymał w ręku książki, a już na pewno nie słyszał o Noamie Chomskim – hiperzaborczego, niewykształconego ubergoja z sąsiedztwa. Nie mam pojęcia, skąd go wytrzasnęła. Zgaduję, że poznali się na gali wrestlingu albo na samochodzikach w lunaparku. Ale sam jestem sobie winien. Wypatrywałem zagrożenia nie tam, gdzie było trzeba. Gdybym nie obrzydził jej żydowskich chłopców powtarzaniem, że musi sobie znaleźć Żyda, być może poznałaby jakiegoś miłego, spokojnego hafciarza jarmułek.

– Nigdy nie byłby pan całkiem zadowolony. A gdyby ten hafciarz był hafciarką?

– Nie miałbym nic przeciwko. Nie marzę o wnukach.

– Na pewno wynalazłby pan u niej jakiś feler.

– Może. Ale feler felerowi nierówny.

– Jak poważny jest ten związek?

– Bardzo, inaczej nie upierałaby się, żebym go poznał. Chce mojego błogosławieństwa. To musi być poważne.

– A więc poznali się jakiś czas temu.

– Jakiś czas temu to ona się urodziła. Ale to fakt, znają się zbyt długo. Teraz Beatrice ma szesnaście lat, ale ile miała, kiedy go poznała? I jak daleko zaszły sprawy między nimi?

– Może pan ją zapytać.

– Nie powie mi.

– Zakładam, że przejrzał pan jej esemesy?

– I maile. Ale to nie takie proste. Ona ma więcej haseł niż skarbiec w banku. No i boję się, żeby nie zostawić po sobie jakiegoś śladu. Gdyby się dowiedziała – przesunął palcem w poprzek gardła – byłbym martwy.

- Może ona nie ma nic do ukrycia. Może pan go polubi.
- To, czy go polubię, nie ma znaczenia. On jest nie do przyjęcia z wiadomych względów. I jeszcze z kilku innych.
- Czy to znaczy, że już go pan zna?
- Owszem, ze słyszenia. Wszyscy w okolicy znają go ze słyszenia. Jest głośnym rozpustnikiem i piłkarzem Stockport County.
- To źle?
- Z punktu widzenia fana piłki nożnej – bardzo źle. Stockport County to drużyna szóstoligowa. Co nie zmienia faktu, że lokalnie ten człowiek cieszy się pewną ograniczoną sławą. Przynajmniej na północy. Rozrabia na boisku, występuje w teleturniejach z komikami, śmieje się jak głupi z ich dowcipów, ale sam jeszcze ani razu nie powiedział nic zabawnego, no i reklamuje bieliznę i adidas. Zięć reklamujący bieliznę, wyobraża pan sobie? Co prawda tylko na lokalnych autobusach, ale nie wiem, czy to nie gorzej. A na domiar złego jest prowincjonalny.
- Wolałby pan, żeby dyskwalifikowała go wielkomięjskość?
- Bez obaw, jedno nie wyklucza drugiego. Piszą o nim w rubrykach plotkarskich, miał nie wiadomo ile żon. Nie zdziwiłbym się, gdyby co najmniej jedna wciąż nią była. Nie tak dawno zawieszono go – w zawieszeniu – na siedem meczów za hajlowanie po strzeleniu gola. Pierwszego od ponad roku.
- Shylock potrzebował chwili, by to wszystko przetrwać. Wreszcie spytał:
- Czy już pan wie, co mu powie?
- Zapytam, po co naziście Żydówka?
- Domyślam się, co panu odpowie. Że wybawia ją od hańby posiadania Żyda za ojca.
- Czasy się zmieniły. Przypuszczam, że jest na to zbyt głupi i zbyt mądry zarazem. Przeprosił już publicznie za to hajlowanie, tłumacząc się przystępem euforii. Twierdzi, że chciał tylko unieść pięść. I że nie wie, dlaczego wyszedł mu nazistowski gest. Obiecał, że to się nigdy nie powtórzy. Co jeśli umawia się z Beatrice w ramach pokuty?
- Może jest w tym szczerzy.
- Szczerzy w czym?
- Shylock spojrział w stronę Alderley Edge, jakby w nadziei, że znajdzie tam odpowiednie słowo.
- W swoim dążeniu do ekspiacji?

- Nie powiem, żeby to pojęcie mi do niego pasowało.
- Może się pan myli.
- Jak mam to stwierdzić?
- Są na to sposoby.
- Jakie? Mam go zapytać? „Panie Howsome, czy dąży pan do ekspiacji?”

Pomyśli, że pytam, czy chce się przespać z moją córką.

– Byłby nawet blisko prawdy. Mógłby mu pan powiedzieć, że jeśli naprawdę zależy mu na pańskim błogosławieństwie, będzie musiał dostosować się do pańskich oczekiwań.

– Dostosować? Czyli co – rozwieść się z pozostałymi żonami? Wziąć lekcje wymowy?

Shylock nic nie odpowiedział. Strulovitch pomyślał, że w jego milczeniu jest coś psotnego. Jakaś udawana złośliwość. Uniósł brew.

- Chyba nie próbuje pan powiedzieć, że powinien zmienić wyznanie?
- Niech przynajmniej zrobi pierwszy krok. Zademonstruje gotowość.

Strulovitch roześmiał się.

– W jego przypadku dostrzegam więcej przeszkód niż w pańskim.

– W moim przypadku była tylko jedna przeszkoda: moja nieprzewyciężona wrogość do chrześcijaństwa. Skoro, jak pan mówi, pański przyszy zięć ma słabość do Żydówek, tym łatwiej będzie go urobić. Nawet jego nieoczytanie działa na pańską korzyść. Teologiczny analfabetyzm tylko pomaga.

- Tu nie chodzi tylko o niego i jego obiekcje.
- Zgoda, wola teścia również musi zostać uwzględniona. Nie bagatelizuję trudności. Ale one są do pokonania.

Tu Shylock zamilkł, naśladując dłonią ruch nożyczek, co Strulovitchowi skojarzyło się najpierw z Matisse'em, potem ze strasznym krawcem ze *Struwwelpetera*, wreszcie z rozpalającą średniowieczną wyobraźnię figurą Żyda, który porywał i kastrował chrześcijańskie dzieci.

- Boże wszechmogący!

Kiedy się z nim rozstawaliśmy, D'Anton ciężko wzdychał. Zanim spróbujemy zrozumieć głębię tego westchnienia, trzeba nam poznać prawdę o uczuciach, jakie D'Anton żywił, nie do Barnaby'ego, lecz wobec Simona Strulovitcha, jak również prawdę o uczuciach Strulovitcha względem niego.

Obaj dorastali mniej więcej w tym samym czasie w tej samej części kraju (mimo że D'Anton przyszedł na świat w Gwinei, w bogatej rodzinie o skłonnościach misjonarskich), a zważywszy na wspólne im upodobanie do pięknych przedmiotów oraz talent do ich pozyskiwania, mogli się spotkać znacznie wcześniej; może nie w szkole – D'Anton, ma się rozumieć, uczęszczał do prywatnej, a Strulovitch, ma się rozumieć, do publicznej – ale w różnych miejscach, w których zbierali się zamożni esteci: na bankietach charytatywnych i rozdaniach nagród, na otwarciach wystaw i w pracowniach artystów, u marszandów i kolekcjonerów. Ani jeden, ani drugi nie był jednak mieszkańcem Północy pełną gębą: Strulovitch spędzał sporo czasu w Londynie, D'Anton – w zachodniej Afryce i na Dalekim Wschodzie, co tłumaczy, dlaczego rozmijali się na bankietach w Golden Triangle Academy, której to uczelni Strulovitch niekiedy wypożyczał jakiś obraz, a D'Anton niekiedy użyczał swojego czasu. I choć w świetle owej geograficzno-akademickiej koincydencji trzeba założyć, że musieli się jeden drugiemu obiść o uszy, to jednak naprawdę dowiedzieli się o sobie nawzajem, dopiero gdy Strulovitch wyszedł z propozycją przekazania części swojej kolekcji sztuki mieszkańcom Cheshire w zamian za, bagatela, przychylne rozpatrzenie jego prośby o złagodzenie warunków zagospodarowania i zabudowy dla zaniedbanego dworu z epoki Jakuba I nieopodal Knutsford. Nominalnie posiadłość znajdowała się w gestii Fundacji Ochrony Dziedzictwa Hrabstwa Cheshire, lecz w rzeczywistości należała do lokalnych władz, które nosiły się z zamiarem urządzenia tam strusiej fermy i parku zabaw dla dzieci. Z punktu widzenia Strulovitcha, który pragnął uhonorować rodziców, zwłaszcza za życia matki, Kunsthausem ich imienia – chciał go nazwać Galerią Brytyjskiej

Sztuki Żydowskiej imienia Morrisa i Lei Strulovitchów – owa nieruchomość wydawała się darem niebios. Idealne rozmiary, idealny prestiż, właściwa lokalizacja – jego matka uwielbiała jeździć do Knutsford na zakupy i podwieczorki. Kunsthaus w Knutsford! – czy mogło być coś lepszego? Z punktu widzenia D’Antona, który często doradzał Fundacji Ochrony Dziedzictwa w sprawach związanych ze sztuką, plan Strulovitcha miał tyle wad, ile tamten widział w nim zalet. W rzeczy samej to, w czym Strulovitch upatrywał palca bożego, jemu zdawało się robotą diabła. Jego argumenty były z gatunku tych, jakie często przytaczają obrońcy lokalnego krajobrazu, którym nie wypada zdradzać prawdziwych powodów swojego protestu: projekt jest niezgodny z miejscowymi przepisami; zwiększy zagrożenie w ruchu ulicznym; utopi Żłoty Trójkąt w powodzi turystów; zwiększy poziom hałasu i zanieczyszczeń; zatrze wyjątkowy charakter samego dworu, wywodzącego się przecież z czasów Jakuba I, a więc mogącego się poszczycić historią, której zbiory Strulovitcha, z natury rzeczy, nie będą w stanie dorównać; a poza tym, cokolwiek o nim mówić, nie spełnia podstawowego warunku, jakim jest integralny związek z miejscem.

Strulovitch, broniąc swoich racji na wspólnym zebraniu Fundacji Ochrony Dziedzictwa Hrabstwa Cheshire i lokalnych władz, wykazywał, że „szczególny charakter” jego zbiorów wyklucza ryzyko napływu turystów w ilościach, które mogłyby stanowić kłopot lub zagrożenie. Co się tyczy hałasu, zapewniał radnych i członków zarządu, że sztuka, którą zamierza wystawiać, jest cicha w swej istocie – poślubiona milczeniu, wychowana przez wolny bieg czasu – i jako taka skłoni do ciszy tych, którzy będą ją podziwiać. I wreszcie, z całym szacunkiem, ale nie rozumiał, dlaczego galeria brytyjskiej sztuki żydowskiej ma mniej wspólnego z North Cheshire niż strusia ferma. Malarz Emmanuel Levy urodził się rzut beretem stąd, bo w Manchesterze, Bernard Meninsky dorastał w oddalonym o pół godziny jazdy samochodem Liverpoolu, Jacob Cramer – w Leeds po drugiej stronie Penninów, a co najmniej trzy rzeźby w jego zbiorach wyszły spod ręki artystów, których dziadkowie urodzili się i mieszkali tutaj, w tym hrabstwie. Niech go ktoś poprawi, jeżeli się myli, ale wydaje mu się, że nie da się tego samego powiedzieć o strusiach.

Skoro projekt ma wzbudzić tak małe zainteresowanie, że nie odbije się w żaden sposób na otoczeniu, przekonywał z tragiczną miną D’Anton, to jaki pożytek będzie z niego miała lokalna społeczność? A co do faktu, iż paru mało

znanych artystów, których prace miałyby zawisnąć w Galerii Brytyjskiej Sztuki Żydowskiej imienia Morrisa i Lei Strulovitchów, wywodziło się z tych stron, to przecież w podobny sposób można by próbować uzasadnić dowolne przedsięwzięcie. Gdyby, dajmy na to, jemu zachciało się wybudować na północy hrabstwa Muzeum Sadyzmu i Tortur, czy przemawiałoby na jego korzyść, że kilku spośród przedstawionych na wystawie zwyrodnialców urodziło się w okolicach Wilmslow lub Alderley Edge?

Strulovitch przypomniał włodarzom, że wystawiane dzieła nic by lokalnych podatników nie kosztowały, że są darem od niego, a poza tym, jeśli idzie o walory kulturalne i edukacyjne, nie ma żadnego podobieństwa między galerią sztuki a gabinetem okropności. D'Anton wyraził ciekawość, w czym imieniu wypowiada się pan Strulovitch. On, szczerze mówiąc, nie zdziwiłby się, gdyby wielu mieszkańców Złotego Trójkąta chętniej szukało wiedzy i rozrywki w miejscu, które przed chwilą naprędce i żartobliwie wymyślił, niż w tym, które z takim zapałem, rozmysłem i wyzwością nakreślił wnioskujący. Bo i skąd to przekonanie, że galeria sztuki żydowskiej, czy to brytyjskiej, czy zagranicznej – w każdym razie, o ile dobrze rozumiał, utrzymanej głównie w duchu wielkomiejskiej awangardy – zaciekawi kogokolwiek w sielskiej okolicy słynącej przepiękną przyrodą i nawykłej do skromnej pobożności? Nie miał nic przeciwko istnieniu takiej sztuki – sam uważał się poniekąd za awangardystę – ani nie był, co do zasady, niechętny przedsięwzięciom w rodzaju tego, jakie zaproponował pan Strulovitch. Nie wątpił, że w stosowniejszym miejscu – Strulovitch zgadywał, że chodzi o londyńskie Golders Green albo pustynię Negew – spotkałoby się ono z entuzjastycznym przyjęciem. Ale, na miły Bóg, galeria sztuki żydowskiej imienia Morrisa i Lei Strulovitchów t u t a j?

Strulovitch, któremu nie spodobało się to, jak D'Anton wypowiadał imiona jego rodziców, patrzył, jak jego wysiłek obraca się wniwecz. Idea, z którą przyszedł, zawisła w powietrzu niczym zły duch. Im dłużej D'Anton perorował, tym bardziej przybierała formę inkuba, który za dnia będzie zakłócał spokój Złotego Trójkąta, a nocą mącił sen jego mieszkańców. Strulovitch czuł jego dotyk, zapach, smak. Pragnął wymazać to zdarzenie z ludzkiej pamięci, by uwolnić imiona rodziców od smrodu podejrzeń o złowrogą obcość. Lecz prastary zarzut wtrącania się w cudze sprawy, który D'Anton tak umiejętnie wysunął, już do nich przylgnał. „Morris i Lea Strulovitch” – nawet jego, ich syna, oblatywał strach na dźwięk tej

złowieszczej inkantacji. „Morris i Lea Strulovitch” – stań w najwyższym punkcie Alderley Edge o pełni księżyca i trzykrotnie wypowiedz te słowa, a rozstąpią się bramy piekieł.

Jak to zwykle bywa z nowymi wrogami, których się nie znało, a którzy mieszkają w okolicy, Strulovitch zaczął wpadać na D’Antona na każdym kroku – w restauracjach Złotego Trójkąta, na bankietach dobroczynnych i przyjęciach wyprawianych przez bogatych kolekcjonerów sztuki, na koncertach w Bridgewater Hall w Manchesterze, a nawet na raucie w londyńskiej siedzibie Towarzystwa Akwarelistów. Może mam przywidzenia? – zastanawiał się. Omamy zrodzone z odwzajemnionej nienawiści? Starał się przy tych okazjach unikać jego wzroku i nie miał wątpliwości, że D’Anton także nie szuka jego spojrzenia.

Co się ze mną dzieje, pomyślał. Czyżby zmieniał się w jednego z tych Żydów, którzy wszędzie dopatrują się obrazy swojego żydostwa? Uchowaj Boże. Taki człowiek sam się obraża. Mało było nie-Żydów, za którymi nie przepadał? Nie będę tak się zachowywał, obiecał sobie. Szemranie myszy nie zdoła mnie obrazić.

A jeśli to mysz makiaweliczna? Makiaweliczna, mizantropijna, małostkowa mysz-mamzer? Również w tym wypadku na jej szemrania zamierzał odpowiedzieć wytworną anglosaską obojętnością.

Jednakże pewnego dnia, podczas spaceru w Knutsford po długim lunchu ze starym znajomym, adwokatem, który miał tam swoją kancelarię, Strulovitch natknął się przed ratuszem na niewielką, lecz krzykliwą demonstrację przeciwko, jak wywnioskował z rozdawanej przez uczestników literatury, pewnej firmie, która wygrała przetarg na recykling lokalnych śmieci, a która produkowała również części rurociągu łączącego nielegalne osiedla na Zachodnim Brzegu z Tel Awiwem.

- Czyli jaki jest cel tej demonstracji? – zagadnął jednego z protestujących.
- Nakłonić władze do zerwania umowy.
- Na budowę rurociągu na Zachodnim Brzegu?
- Na odbiór i recykling śmieci tutaj.
- Tu, w Knutsford?
- Tak.
- To co wtedy będzie z naszymi śmieciami?
- Są inne firmy, które mogą je odbierać. A zresztą czym jest odrobina niewygody...

– Otóż to – zgodził się Strulovitch. Nie bardzo jednak rozumiał, jak odrobina niewygody mieszkańców Cheshire miałyby przeszkodzić w budowie rurociągu do nielegalnych osiedli na Zachodnim Brzegu.

Demonstrant pospieszył z wyjaśnieniem.

- Trzeba to nagłaśniać, gdzie się da.
- I liczyć, że odbije się szerszym echem?
- Prędzej lub później, tak.

Trzepot skrzydeł motyla w Knutsford, pomyślał Strulovitch... i wtedy spostrzegł D'Antona przemykającego cicho wśród protestujących. Nie było czasu na podjęcie decyzji ani na wspomnienie tego, co sobie obiecał. To był impuls.

– Dzień dobry! – zawołał, a kiedy D'Anton się odwrócił, pomachał mu.

D'Anton także nie miał czasu do namysłu. Być może on również przyrzekł sobie udawać, że Strulovitcha nie zna – choć nie miał żadnego powodu, by czuć się przez niego pokrzywdzony – albo wprost przeciwnie, że będzie go traktował z pobłażliwą obojętnością; lecz zagadnięty zniechęca, zdołał tylko automatycznie skinąć głową.

– Straszny dzisiaj rwetes w naszym spokojnym hrabstwie – zauważył Strulovitch.

D'Anton odwrócił smutne oczy.

– Czy pana zdaniem – ciągnął dalej Strulovitch – ta sprawa ma integralny związek z okolicą? – A gdy D'Anton tym razem odwrócił się plecami, powtórzył to pytanie głosem, który nawet jemu wydał się czymś w rodzaju małej hałaśliwej demonstracji. – W sensie kulturowym, rozumie pan. Czy pana zdaniem uwzględniono interes miejscowych podatników, długą tradycję skromnej pobożności oraz potrzebę uszanowania ciszy i spokoju – tak jak, dajmy na to...

Lecz D'Anton zniknął w tłumie demonstrantów.

Później, gdy siedział samotnie w ogrodzie, obserwując z daleka diabelski taniec cieni w Alderley Edge i żałując, że nie ma żony, której mógłby się poradzić, ani córki, która nie poszła się całować z troglodytami, Strulovitch zastanawiał się, czy dobrze zrobił, że nie wylał całej nagromadzonej w sobie złości i nie powiedział D'Antonowi, co o nim sądzi.

I tak, i nie.

Źle, bo zółć potrzebowała ujścia, a D'Anton zasługiwał na to, by mu wygarnąć prawdę.

Dobrze, bo oskarżenie, jakie chciał na niego rzucić, było jednym z tych, które zawsze wracają i godzą w rzucającego. Jakie socjopatologiczne procesy sprawiły, że piętnowanie występku samo zaczęło uchodzić za występki? Nie potrafił tego wyjaśnić, ale tak było. Za wariata nie uważano już nienawistnika, lecz osobę, która czuła się obiektem nienawiści. Lepiej, pomyślał, by nasi wrogowie otwarcie głosili swoją pogardę, wyzywali nas od niewiernych, od parszywych kundli, pozbawiali czci, praw i majątku, ale przynajmniej nie dopuszczali się ostatecznej zniewagi, nie oskarżali nas o paranoję. Tak to pies wraca do kałuży swoich wymiocin; dopiero gdy może się nad sobą litować, bo życzymy mu potępienia, czuje się szczęśliwy.

I za to życzymy mu potępienia.

Takie w każdym razie były uczucia Strulovitcha względem D'Antona – i nic nie wskazywało na to, że cokolwiek może je zmienić – w przededniu spotkania z Shylockiem.

A D'Anton?

Cóż, nie miał problemu ze Strulovitchem, o ile w ogóle pamiętał, kto to taki. Na pewno nie czuł do niego nienawiści. Nienawiść była mu obca. Tym bardziej nienawiść na tle rasowym – uwiarygodniały go w tym względzie związki z Gwineą, rozliczne podróże, poliglotyzm, zamiłowanie do sztuki chińskiej i japońskiej, naturalna więź z ceramikami, dmuchaczami szkła i miniaturzystami różnych krajów i epok. Strulovitch – tak, tak, teraz gdy przypadek sprawił, że na siebie wpadli, przypomniał sobie, bez entuzjazmu, tamtą postać – miał kompleks prześladowczy. Był to jeden z tych Żydów, którzy znacznie bardziej niż goje przejmują się swoim żydostwem – w rzeczy samej D'Anton nigdy by nie pomyślał, że Strulovitch jest Żydem, gdyby ten tak bardzo się z tym nie afiszował. Co jednak nie zmieniało faktu, że jego wiara, czy jakkolwiek to nazwać – niech będzie tożsamość etniczna! – nie grała żadnej roli w żywionej przez D'Antona niechęci. Facet nie umiał przegrywać i tyle. Był bogaty, natrętny, bojowo nastawiony, drażliwy, samolubny i autodestrukcyjny, nie miał gustu, użalał się nad sobą, wszystko brał za obrazę, co jednak nie przeszkadzało mu obrażać innych, wiecznie czuł się pokrzywdzony i oczekiwał zadośćuczynienia od świata – w opinii D'Antona nie były to cechy w przyrodzony czy nieodwracalny sposób charakteryzujące Żyda, chyba że jakiś Żyd uczynił je swoimi.

I choć D'Anton dla Barnaby'ego poruszyłby niebo i ziemię, to jednak w tych okolicznościach zdawał sobie sprawę, że nie będzie łatwo nakłonić

Strulovitcha do rozmowy, a co dopiero do rozstania się ze szkicem Solomona Josepha Solomona do *Pierwszej lekcji miłości*.

Lecz mimo to był po cichu dobrej myśli. Jeżeli zaproponuje Strulovitchowi znacznie więcej, niż tamten zapłacił, czy Żyd zdoła się oprzeć pokusie łatwego zysku?

– Od razu mówię – oznajmił piłkarz – że nie jestem tym, za kogo mnie pan uważa.

– Nazistą?

– Nie jestem.

– W takim razie dlaczego w ogóle pan o tym wspomina?

– Bo wiem, co pan sobie myśli.

– Dlaczego pan uważa, że tak myślę?

– Bo wszyscy tak myślą.

– A dlaczego wszyscy tak myślą?

– Bo zrobiłem hitlerowski gest.

– Pewne rzeczy tak łatwo zrozumieć na opak – westchnął Strulovitch. Nie zdążył jednak nic dodać, gdyż do rozmowy wtrąciła się Beatrice.

– Poprawka. – Stuknęła Howsome'a w nadgarstek jak gdyby za pomocą niewidzialnego wachlarza. – To nie był hitlerowski gest, tylko jego parodia.

– Właśnie – podchwycił Howsome. – Poza tym nie wiedziałem, że to jest hitlerowskie pozdrowienie.

– Skoro pan nie wiedział – cierpliwie drażył Strulovitch – to jakim cudem pan je sparodiował?

Beatrice znów uznała, że poradzi sobie z odpowiedzią lepiej niż jej chłopak.

– Och, tato, daj spokój. Nie udawaj, że nie rozumiesz, jak działa mechanizm ironicznej aluzji.

Howsome uśmiechnął się z dumą i pokiwał głową. To dlatego się w niej zakochał, gdy pierwszy raz otworzyła przy nim usta.

Strulovitch także był dumny. Zrobiło mu się żal biednej Kay, którą omijały te rzadkie przebliski inteligencji córki, na co dzień raczej udającej głupią. Która Beatrice zakochała się w tym piłkarzu – ta inteligentna czy ta głupia? Był zaskoczony, że Howsome nie zrobił na nim gorszego wrażenia. Rozumiał, co Beatrice w nim widziała. Swego rodzaju chtoniczną niewinność? Nie

wyglądał na nazistę. Ale kiedy człowiek orientował się, jak wygląda nazista, zwykle było już za późno. W każdym razie czymś go ujął. Może ilością masy mięśniowej w białej w drogi garnitur, który wydawał się przez to tani. Siedział na brzegu kanapy niczym odświętnie ubrany chłopiec przed spotkaniem z dziadkami. Gardło ścisnęły mu krawat z dużym, idealnie trójkątnym węzłem oraz wytatuowany na szyi zielono-szkarłatny smok. To cud, że w ogóle oddychał. Strulovitch został wychowany do życia w krawacie („Krawat jest oznaką szacunku” – mawiał jego ojciec, który nigdy nie zakładał jarmułki), lecz przestał je nosić, gdy został kolekcjonerem sztuki. Przeszło mu przez myśl, by wygrzebać jakiś krawat na tę okazję, lecz ostatecznie tego nie zrobił. Nie było żadnego przepisu etykiety, który by stanowił, że ojciec sondujący przypadkowego zwolennika Hitlera chcącego przespać się z jego córką powinien być pod krawatem. Powinien, owszem, mieć przy sobie pistolet albo przynajmniej batog, ale o krawacie nie było mowy. Dlatego przywdział swój zwyczajowy czarny garnitur z białą koszulą o długim, miękkim, spiczastym kołnierzyku, zapiętym pod szyją. Mam nadzieję, że ujrzy we mnie konesera, pomyślał. Znawcę sztuki, ale i ludzi. Mam nadzieję, że nie ujdzie jego uwagi, jak mało uchodzi mojej uwagi – i że nie imponują mi czcze frazesy. Ani tatuaże.

Z jakiegoś powodu lub szeregu powodów, których wolał nie analizować, poprosił Shylocka, by ulotnił się na czas jego rozmowy z piłkarzem. Może niech zostanie w swoim pokoju. I może niech nie śpiewa piosenek George’a Formby’ego.

- Boi się pan, że napędziłbym mu strachu? – chciał wiedzieć Shylock.
- Oczywiście, że nie.

W takim razie czego się obawiał?

– Gdybym był potrzebny, proszę mnie zawołać – rzekł Shylock, głównie po to, by uwolnić Strulovitcha od zakłopotania.

- Dlaczego miałbym pana potrzebować?
- W razie gdyby zrobił się agresywny...
- Prędzej to Beatrice robi się agresywna.
- No tak. W tej sytuacji raczej nie pomogę.

Zaśmiali się obaj, choć nie było z czego – Strulovitch z gorzką ironią, Shylock gardłowym śmiechem przypominającym przedśmiertny charkot.

Niegodne córki zdradzały niegodnych ojców. Co w tym śmiesznego?

- Jessiko, co tam z tobą?

Ostatnie słowa, jakie do niej wypowiedział, na zawsze wryły mu się w pamięć. Zrób, co kazałem. Zamknij drzwi za sobą. Nie waż się głowy przez okno wystawić.

Czy naprawdę prosił o zbyt wiele?

Nie powinien był wychodzić. Mógł ją teraz potępiać przez resztę wieczności, lecz powinien był wtedy zostać w domu. Czuł przecież, że zawisło nad nim coś złego.

Co słyhać na Rialto?

Skąd te nerwy? Trzeba było zostać.

Idę, choć mi wszystko mówi – nie idź!

Więc zostań.

Poszedł jednak, lgnąc do niebezpieczeństwa jak kot, by wieczerzać bez smaku w nienawistnym towarzystwie. Lecz była to uczta dwojakiego rodzaju. Przyznaj, przyznaj przed sobą samym, że poszedłeś tam dla czystej złośliwej uciechy, pożerować na chrześcijanach. Dokarmić, niczym kanibal, prastarą urazę.

A pod twoją nieobecność...

A pod jego nieobecność oni utuczili się na nim.

Kto kogo, z dramaturgicznego punktu widzenia, nienawidził bardziej?

Zwałś mnie psem...

I jestem gotów nazwać cię tak znowu...

A jak ja pies, to ty na kły uważaj...

Nie mogli się od siebie oderwać. Więź obopólnej fascynacji. Magnetyzm zapiekłej odrazy. Pieniądz jako pretekst. Ten pożyczal na lichwę; tamten się przed tym wzdragał – chociaż ja nie mam w zwyczaju brać ani dawać pieniędzy na procent, jednakże tym razem – przez wzgląd na bliską mi osobę – złamię ten zwyczaj. To się nazywa mieć ciastko i zjeść ciastko, pomyślał Shylock, wspominając bezbrzeżną zuchwałość tamtego „jednakże”. Jak gdyby Antonio swoją prośbą wyświadczał mu przysługę. O, Abrahamie! Co w tych chrześcijanach siedzi?

Ale choć pieniądz był areną, na której toczyli ten pradawny spór, nie on był tej wojny przyczyną.

Kto kogo, z historycznego punktu widzenia, nienawidził bardziej? Pytanie z gatunku „jajko czy kura”. Ważne jest słowo „pradawny”. Niegodziwość, jaką sobie nawzajem przypisywali – po jednej stronie dumny ekskluzywizm, po drugiej dumne pretensje do miłosierdzia – była starsza niż kapitalizm i

lichwiarstwo. Czy w ogóle, ktoś mógłby zapytać, jakiś prąd myśli ludzkiej miał dłuższy rodowód? Może siejące zamęt słowa Pawła Apostoła. Przed Pawłem był pokój. Ale też przed Pawłem nie było chrześcijan, których Żydzi mogliby – z wzajemnością – nienawidzić.

Cóż, skoro goje widzieli tylko niegodziwość, nie zamierzał ich wyprowadzać z błędu.

A oni? Oni mieli mu w zamian okazać swoją niegodziwą łaskę, spadającą z nieba jak trująca rosa.

Czy to znaczy, że jego niegodziwość była ironiczna?

I że ich łaska była ironiczna?

Jedno wiedział na pewno: ironiczne nie było porwanie jego córki.

– Kocham Beatrice – oświadczył Howsome i zacieśnił, a następnie poluzował krawat. Zielono-szkarłatny smok wił się pod kołnierzykiem.

– Ona ma szesnaście lat.

– Jakby to miało jakieś znaczenie – rzuciła Beatrice.

Howsome patrzył to na nią, to na niego, chcąc przyznać rację obojgu.

– Szesnaście! – powtórzył Strulovitch.

– Tato, zmień płytę. Od dziecka słyszę to samo. „Ona ma trzynaście lat!” „Ona ma czternaście lat!” „Ona ma piętnaście lat!” Jak skończę sześćdziesiąt, też będziesz mi to wypominał?

– Wtedy będziesz miała pewne pojęcie o świecie, a mnie już nie będzie.

– Mnie też nie – wtrącił Howsome, niezbyt fortunnie, jak domyślił się z miny Beatrice. Mężczyzna, który próbuje wydrzeć córkę ojcu, nie powinien podkreślać różnicy wieku.

Chyba już pora, pomyślał Strulovitch, żebym porozmawiał z epuzerem mojej córki tak, jak to się robiło dawniej – w cztery oczy.

– Beatrice – powiedział – twoja obecność jest dla nas krępująca. Bądź tak dobra i zostaw nas na chwilę samych. Obiecuję, że nie będę próbował przekupić pana Howsome’a, żeby wyjechał z kraju.

Co tylko dowodziło, że przeszło mu to przez myśl.

– Nie ma takich pieniędzy, dla których zostawiłbym Beatrice, proszę pana – oznajmił Howsome.

Beatrice wstała z uśmiechem. Dobry chłopak. Dobra odpowiedź. Ojciec też wydawał się nią usatysfakcjonowany.

– To ja pójdę zrobić herbatę – rzekła uspokojona. – Tylko nie dokuczaj mu

na inne sposoby, tato.

Na przykład jakie? – pomyślał Strulovitch.

Gdy zostali we dwóch, oznajmił:

– Chcę, żeby moja córka skończyła naukę.

Tak naprawdę chodziło mu o to, by ją zaczęła, ale to nie był czas na rozmowę o wątpliwych walorach sztuki performatywnej.

– Ja chcę tego samego – zapewnił go Howsome.

Strulovitch pokiwał głową. Kolejna dobra odpowiedź. Potrafił zrozumieć, co jej się w nim podobało. Był uległy. Umiał zrobić dobry użytek ze swojego ubożego słownictwa. Mimo ogromnej sylwetki uśmiechał się łagodnie. Zresztą nawet ta ogromna sylwetka wśród jedwabiów salonowej kanapy zdawała się bardziej opiekuńcza aniżeli groźna. Co jeszcze w nim widziała – czy na przykład był atrakcyjny seksualnie – wykraczało już poza ojcowskie kompetencje Strulovitcha. Mężczyzna nie powinien się zastanawiać, co podnieca jego córkę; inna sprawa, że Strulovitch od pewnego czasu – odkąd Beatrice dojrzała na tyle, by zaczął się o nią martwić – rozmyślał głównie o tym.

Jako szesnastolatka była wystarczająco dorosła – nie w sensie prawnym, o nie, ale w mniemaniu społeczeństwa, a już na pewno we własnym – aby samodzielnie decydować o pewnych sprawach. Ale przecież dzięki niemu nie spotkała jej do tej pory żadna przykra przygoda. To on chronił ją przed niebezpieczeństwami. Może była mu za to skrycie wdzięczna? Może troska o biedną, wegetującą matkę nie była jedynym powodem, dla którego nie czmychnęła z domu? Może jego też kochała – i pragnęła jego miłości. A skoro została i postanowiła nagle odgrywać rolę poczciwej córki, która prosi tatula o błogosławieństwo, zdecydował, że będzie w dalszym ciągu odgrywał rolę poczciwego ojca.

– Czego jeszcze pan dla niej chce? – zapytał piłkarza, wpatrując się głęboko w jego szklane oczy.

Howsome się spieszył. Nawet niewinne pytanie mogło się okazać podchwytliwe. Tatko jest podstępny, przestrzegała go Beatrice. Bądź czujny.

– W jakim sensie? Chodzi panu na przykład o dzieci?

– Chryste, nie. Jeszcze nie teraz. Mówimy o szesnastolatce, na litość boską. Ale rozumiem, że pragnie pan jej szczęścia.

– Wiadomo.

Ulubione słowo piłkarzy. Wiadomo. Jak to mówią. Wiadomo, chcę, żeby

pana córka, jak to mówią, była szczęśliwa. Chcę jej strzelić gola, wiadomo.

– A czy pragnie pan, żeby uszczęśliwiła rodziców?

Tym razem odpowiedź była mniej oczywista, lecz Howsome znów ochoczo przytaknął.

– Wiadomo.

Strulovitchowi zdało się nawet, że skinął głową w kierunku schodów i biednej Kay, jakby wiedział, co ją spotkało i gdzie przebywa. Jakby rozumiał, że nakłada to na niego jeszcze większy obowiązek troszczenia się o Beatrice.

– W takim razie nie zdziwi się pan, jeśli powiem, że fakt, iż ma pan za sobą kilka małżeństw, nie do końca nam się podoba. Przeciwnie, jesteśmy zaniepokojeni.

Cieszył się, że Beatrice sobie poszła. Przewróciła by oczami na to „my”.

– Zrobiłem w życiu parę głupstw – przyznał Howsome. – Byłem młody i miałem więcej pieniędzy niż rozumu. Dziś jestem już innym człowiekiem. Mężczyzną. Wtedy byłem chłopakiem.

Strulovitch kiwał głową, lecz nie słuchał. Szykował jedyne pytanie, które naprawdę się liczyło.

– Wie pan oczywiście – zaczął bez pośpiechu – że jesteśmy rodziną żydowską.

– Kocham Żydów – oznajmił Howsome, przesuwając się na brzeg kanapy. Kochał Żydów tak bardzo, że gotów był paść im do stóp. – Tak się nawet składa, że...

Urwał. Na dowód swojej miłości do Żydów zamierzał przywołać fakt, że raz już ożenił się z Żydówką, lecz w porę się zreflektował. Żydzi chcą być lubiani, a nie kolekcjonowani – wyjaśniła mu swego czasu Beatrice, gdy chcąc zyskać w jej oczach, wyznał, że nie jest pierwszą Żydówką, w której się zakochał.

– Tak się składa – powtórzył – że czytałem dużo książek o Żydach.

Zważywszy na jego nazistowski wybryk, Strulovitch wolał nie myśleć, co by znalazł u niego na półce. *Protokoły mędrców Syjonu? Der ewige Jude? Oprawione roczniki „Guardiana”?*

– Jesteśmy ciekawym tematem – przyznał.

Howsome nie zamierzał na tym poprzestać.

– Żydzi to wspaniali ludzie.

– Niektórzy, owszem – zgodził się Strulovitch.

Howsome miał minę człowieka, który powiedział już wszystko, co należało

powiedzieć, ostatecznie dowiódł swoich zalet i czeka na potwierdzenie, że wolno mu porwać Beatrice do łóżka.

Lecz Strulovitch jeszcze nie skończył.

– Skoro tyle pan o nas wie, nie będzie dla pana niespodzianką, że martwimy się o dzieci wylatujące z gniazda. Nie chodzi mi tylko o wyprowadzkę z domu, ale, rozumie pan, o zerwanie więzi z... klanem.

Dziwne słowo, klan – ale nie mógł powiedzieć „religia”, bo nie to miał na myśli. Gdy ożenił się z gojką, ojciec pochował go nie w imię religii. O jakie słowo zatem chodziło? Wiara? Też nie. Ani plemię. Słyszał, jak Shylock zżyma się na plemię. Kultura? Zbyt świeckie. Gdyby chodziło wyłącznie o kulturę, nie byłoby czym się przejmować. Pozostał więc przy „klanie”, liczej namiastce słowa, którego nie mógł znaleźć.

Słowo „przymierze” zaświtało mu dopiero poniewczasie.

– Totalnie to szanuję – odparł Howsome. – I nie oczekuję, że Beatrice przestanie być Żydówką, wiadomo.

– To miło z pańskiej strony – sarkastycznie skwitował Strulovitch. Nie mógł się nadziwić wielkoduszności tego potencjalnego zięcia, człowieka, który brał Żydówki z dobrodziejstwem inwentarza. „Cieszy moje serce jak ciepły uśmiech, młody człowieku, że przynajmniej łaskawie zapatrujesz się na dalsze trwanie narodu żydowskiego” – miał ochotę mu rzec. Powstrzymał się jednak. Po co trwonić ironię? Howsome starał się, jak mógł, zważywszy na kręgi, w których zwykł się obracać.

– Może nawet zostać przy swoim nazwisku, jeżeli zgodzi się pan na nasz ślub.

– To także bardzo miło – odparł Strulovitch. – Na pewno bardzo się ucieszy. Ale nie do tego zmierzałem.

– Przepraszam, myślałem, że właśnie to chciał pan usłyszeć.

– Owszem, owszem. Ale kiedy mówię o zerwaniu więzi, chodzi mi o to, że nie chcę, aby wyszła za kogoś, kto sam nie jest Żydem.

Howsome’a замуrowało. Rozłożył żałośnie swoje wielkie dłonie. Jestem, kim jestem, zdawały się mówić. Nie stanę się kimś innym.

I wtedy Strulovitch wyjaśnił mu, że jest na to pewien sposób.

D'Anton doszedł do wniosku, że jeśli chce w ogóle myśleć o zdobyciu pracy Solomona Josepha Solomona dla swojego strapionego przyjaciela, najsensowniej będzie wystosować list do jej posiadacza.

Zaledwie jednak zdjął marynarkę, zasiadł przy biurku i, z właściwą sobie metodycznością, zaczął przekładać książki i papiery, natychmiast przekonał się, że wykonanie tego zadania – nie, tego świętego obowiązku – nie będzie łatwe. Szuflada z papeterią nie chciała się otworzyć. W piórze wysechł atrament. Oczyma duszy ujrzał, jak Strulovitch z radością odrzuca prośbę, a może nawet podpala papier, na którym została spisana, albo robi coś jeszcze gorszego, i duch w nim upadł.

– To się okazuje trudniejsze, niż sądziłem – powiedział Barnaby'emu, świadom kryjącego się w tych słowach kłamstewka, na razie bowiem nie kiwnął nawet palcem w bucie.

Barnaby rzucił mu jedno z najbardziej błagalnych spojrzeń, jakie miał w swoim arsenale.

– Nie mogę przestać myśleć o tym szkicu, D'Antonie – wyznał.

Ach, potęgą interpunkcji. Barnaby dobrze wiedział, że jego przyjaciel jest bezbronny wobec zdań kończących się przecinkiem i D'Antonem. Odwlekał kropkę, jakby nie chciał wypuścić jego imienia z ust.

A D'Anton wiedział, że Barnaby to wie. Co jednak nie czyniło go ani trochę odporniejszym.

– Rozumiem, Barnaby – odparł, przeciągając w rewanżu imię przyjaciela – ale czy nie moglibyśmy zajrzeć do tego domu aukcyjnego i zobaczyć, co jeszcze mają ciekawego? Nie uwierzę, że na świecie istnieje tylko jedno dzieło sztuki, które ci się podoba.

– Jest jeszcze *Śpiewający kamerdyner* – rzucił tamten z dąsem. – Zresztą tu nie chodzi o mój gust, tylko o to, co się spodoba Plury. Ta goła Wenus wygląda prawie jak ona, D'Antonie. Słowo daję, że mogłaby pozować do tego szkicu... Myślisz, że to mogła być ona?

– Musiałyby się urodzić sto pięćdziesiąt lat temu.

Jeżeli Barnaby'emu wydawało się, że wyczuł w głosie przyjaciela pewną niezwykłą nerwowość, to dobrze mu się wydawało. Przy całej swojej miłości do niego – a może właśnie z jej powodu – D'Anton miał nieodparte wrażenie, że Barnaby powinien nieco spuścić z tonu i przynajmniej rozejrzeć się za innym rysunkiem albo chociaż pokazać, że rozumie, jak wiele od niego oczekuje, mniejsza o to, że D'Anton sam zaofiarował się z pomocą. Lecz nie przyszłoby mu do głowy dłużej go zniechęcać. Jego przyjaciel nie mógł przestać myśleć o *Pierwszej lekcji miłości* – raz jeszcze powtórzył to samo zdanie: „Nie mogę przestać myśleć o tym szkicu, D'Antonie” – a pragnienia Barnaby'ego były pragnieniami D'Antona. Razem z sakiewką i całym majątkiem był na rozkazy młodego przyjaciela.

I dlatego, nalawszy sobie duży kieliszek brandy, zasiadł ponownie za biurkiem, wydobył z szuflady kartkę opatrzonego nagłówkiem papieru listowego, wyrabianego ręcznie w rzadko odwiedzanym przez turystów zaułku Wenecji, i najdrobniejszym pismem, najcieńszą stalówką, napisał:

Szanowny Panie,

chciałbym prosić Pana o chwilę Pańskiej uwagi. Nieczęsto proszę obcych ludzi o przysługę, tym razem jednak muszę się do Pana zwrócić z taką prośbą.

Piszę do Pana w imieniu przyjaciela – albo raczej: przez wzgląd na przyjaciela, w imieniu jego zawiedzionych nadziei, które skłaniają mnie do niniejszego apelu. Przyjaciel ten wraz ze mną był obecny na niedawnej aukcji sztuki w Manchesterze, na której zakupił Pan wczesne studium Solomona J. Solomona do obrazu „Pierwsza lekcja miłości”. To zaiste przepiękny szkic, dorównujący wdziękiem ukończonemu dziełu. Winszuję Panu szczęścia i dobrego smaku. A także – punktualności. Licytowalibyśmy z Panem, lecz, niestety, spóźnił się. Nasz błąd. Przechodzę jednak do mojej prośby. Czy zechciałby Pan rozważyć odsprzedaż? Cena nie gra roli. Proszę doliczyć dowolną prowizję.

Powtórzę raz jeszcze: nie byłaby to przysługa wobec mnie, ale wobec młodego i wrażliwego przyjaciela, któremu bardzo na tym obrazie zależy, pragnie bowiem obdarować nim, w dowód swojego oddania, pewną kobietę, która, zapewniam Pana, będzie dbała o to dzieło z

całym nabożeństwem, jakiego byśmy oczekiwali.

Czy ktokolwiek z nas, Drogi Panie Strulovitch, może pozostać głuchy na wołanie miłości?

Oczekuję z niecierpliwością Pańskiej odpowiedzi.

Z wyrazami szczerego szacunku

– i podpisał się zamaszystym esem-floresem, mającym zaświadczać o otwartości jego serca.

– I jak poszło? – zagadnął Shylock.

Strulovitch był zaskoczony, że tamten odważył się zapytać.

– Tak, jak obaj mogliśmy się spodziewać.

– Piłkarz nie odda napletka?

– Niestety. A ja stracę córkę.

– Poruszył pan tę kwestię w jej obecności?

– Nie. Ale jestem pewien, że zdał jej relację. „Wiadomo – powiedział – muszę to przemyśleć”. Innymi słowy: „Wiadomo, muszę porozmawiać z Beatrice”. A Beatrice, wiadomo, była wstrząśnięta.

– Powiedziała to panu?

– Nie musiała.

– I już się wyniosła?

– Nie słyszy pan jej krzątania? Jestem po rozwodzie – potrafię rozpoznać odgłosy stanowczego pakowania walizek. Nie mylić z trzaskaniem szafkami – wtedy tak naprawdę nigdzie się nie wybierają. Jeżeli hałasują, to znaczy, że chcą, byśmy je powstrzymali. Dopiero gdy cicho składają ubrania, naprawdę jest się czego bać. To, że Beatrice ani razu nie huknęła drzwiami szafy ani nie odezwała się do mnie słowem, jest miarą jej gniewu. Zresztą wiem, jakim słowem by się odezwała, gdyby się odezwała.

– Barbarzyńca?

– Skoro teraz przychodzi panu do głowy to słowo, dziwię się, że nie pomyślał pan o nim przedtem.

– I nawzajem, skoro i pan teraz o nim pomyślał.

– Pomyślałem o nim, bo staram się odgadnąć myśli Beatrice.

– Pomyślał pan o nim, ponieważ boi się pan, że to może być prawda.

– A nie jest?

– Rzeczy nie są dobre czy złe same w sobie, są takie, jakimi nam się

wydają. Naszą, Żydów, największą słabością jest nieustanne myślenie o sobie źle. A jeśli nie stanęliśmy na wysokości zadania, a jeśli nie jesteśmy dla nikogo światłem, a jeśli w głębi duszy jesteśmy barbarzyńcami? Nasz odwieczny refren: a jeśli nie jesteśmy tymi, za których się uważamy?

– Dlaczego mielibyśmy sobie nie zadawać tego pytania? Czy nie to właśnie czyni nas cywilizowanymi ludźmi – że co pewien czas zastanawiamy się, czy nie zdiczeliśmy?

– To zależy, co pan rozumie przez „co pewien czas”. Raz na pięćset lat – zgoda. Ilekroć Żyd z dumą podnosi czoło albo się broni – to co innego.

– Mówienie o bronieniu się jest w tym wypadku dyskusyjne.

– Nie ma nic dyskusyjnego w chronieniu własnej córki.

– Wiem o tym.

– Dlaczego więc się pan waha?

– Bo jeśli ucieknie z domu, to będzie oznaczało, że nie potrafiłem jej ochronić.

– W takim razie niech pan ją powstrzyma. Wyjaśni jej swoje powody.

– „Beatrice, zachowuję się jak barbarzyńca, bo cię kocham”?

– Nadal patrzy pan na to wszystko jej oczami, a powinien pan odważyć się spojrzeć własnymi. Zna pan świat lepiej niż ona. Więcej pan rozumie. Czy wytłumaczył jej pan, na czym dokładnie polega rytuał obrzezania? Czego stanowi znak? Co zwiastuje? Że jest w rzeczy samej zaprzeczeniem barbarzyństwa? Przejściem ze stanu dzikości do stanu wyższego rozwoju?

– Trudno to wyjaśnić dziecku.

– Wszystko, co ważne, trudno wyjaśnić dziecku. Niech pan z nią usiądzie i jej poczyta.

– Ona nie szaleje za Majmonidesem.

– To nie musi być Majmonides. Ma pan na półce jakiegoś Rotha?

– Josepha, Cecila, Henry’ego, Philipa? Mam całe regały Rothów.

– Może być Philip. Ma pan tę powieść, w której każdy jest kim innym, niż się wydaje?

– One wszystkie są takie.

– Szkoda, że nie ma z nami Lei. Wiedziałyby, o którą mi chodzi. To ta, w której Roth przejeżdża się po przeciwnikach obrzezania. On albo ktoś jemu podobny dowodzi, że obrzezanie jest tym wszystkim, czym nie jest sielanka.

– Chryste! Naprawdę myśli pan, że to by rozwiązało moje problemy z córką? Co to w ogóle znaczy, na miłość boską?

– Pan mnie o to pyta! Pan, który do własnego ogrodu wchodzi, jakby roilo się w nim od węży! Czy ma pan w ogóle kalosze? Przyjacielu, pan jest żywą negacją sielanki.

– Dlatego, że jestem obrzezany?

– Obrzezano pana po to, aby w pierwszych dniach życia, kiedy był pan jeszcze myślami w brzuchu matki, nie przyszło panu czasem do głowy, że życie to idylla.

– W takim razie podziałało. Powiedziałbym nawet, że aż zbyt dobrze.

– Nie może pan sądzić inaczej. Właśnie po to pana obrzezano. Ciężka dłoń ludzkich wartości, jak to ujął nasz przyjaciel Roth, spadła na pana wcześniej. I tak być powinno.

– To raczej nie przekona nikogo, kto te same wartości uważa za nieludzkie.

– Ci, którzy mają sentymentalny stosunek do człowieczeństwa, nigdy nie dadzą się przekonać.

– Coraz gorzej, panie Shylock.

– Nóż mohela jest narzędziem miłosierdzia: ratuje chłopca przed kapryсами natury. Nie chodzi jedynie o małpy. Chodzi o ignorancję, o nieobecność Boga, o wyparcie się narodu albo idei – zwłaszcza tej, że życie to nie tylko dar, lecz także obowiązek. Nie rodzimy się wolni od ślubów i powinności. Nóż mohela symbolizuje nasze zobowiązania.

– Ujarmia nas, innymi słowy.

– Czy to takie straszne, skoro alternatywą jest bieganie nago po lesie?

Strulovitch nie był najwłaściwszym adresatem tego pytania. To, co jednego dnia go przerażało, drugiego nie wydawało mu się już takie straszne.

– Nie można tylko trochę wybawić człowieka od natury – ciągnął Shylock.

– Wszystko albo nic. Ludzkie wartości albo małpi gaj.

Myśli Strulovitcha odwróciły się od abstrakcyjnych powinności, a skierowały ku jego własnej żywej córce, w której, gdy się narodziła, ukazał mu się sens przymierza.

– Może to i rozwiązuje problem chłopców – powiedział, jak gdyby Shylock zarazem wygrał i przegrał dyskusję – ale co z dziewczynkami? Córki nie można ujarmić nożem. W każdym razie nie w cywilizowanym świecie. W cywilizowanym świecie mężczyźni, którym chodzą po głowie takie pomysły, są kamienowani.

– I właśnie dlatego – odparł Shylock cicho, lecz lodowato – córki są ucieleśnieniem wiarołomstwa.

Czy rzeczywiście? A wydawało mi się, że to ja jestem ekstremistą, pomyślał Strulovitch.

Shylock czytał z jego twarzy.

– W każdym razie – dodał już znacznie łagodniej – nie zaprzeczy pan, że Beatrice kocha swojego piłkarza, bo uważa go za „naturalnego” mężczyznę. O ile dobrze mi go pan opisał.

– Tu nie chodzi o niego, tylko o nią. Czy go kocha? Nie mam pojęcia, ale coś mi mówi, że teraz bardzo się postara. I nie powstrzymam jej, mówiąc, że w życiu nie jest jak w brzuchu matki.

– To rozumna młoda kobieta.

– Ma szesnaście lat! Jest zbyt młoda, by się pogodzić z tym, że życie to nie idylla.

– W takim razie jest zbyt młoda, by być Żydówką.

– Może powinien był pan wziąć to pod uwagę, zanim beztrąsko zaproponował swoje rozwiązanie.

– Zaproponowałem jakieś rozwiązanie?

– W aluzyjny sposób, owszem.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że tak łatwo na pana wpłynąć.

– Że potraktuję poważnie pańskie słowa?

– Jakie słowa?

– Pan wie, o czym mówię. Po co to było?

– Dla psoty.

– I po to pan się tu zjawił? Żeby wyrządzić mi psotę?

– Wyrządzić panu? Nie. Wręcz przeciwnie. Ale nie wszystko jeszcze stracone. Jak sam pan zauważył, jeżeli słyszy pan jej milczenie, to znaczy, że jeszcze nie uciekła.

– A co pańskim zdaniem powinienem zrobić, żeby ją zatrzymać? – Zaryzykował długie spojrzenie w zmrużone oczy Shylocka. – Zaryglować drzwi?

Pozwolił, by jego słowa wybrzmiały, by w oknach Shylocka otwarły się okiennice i wdarł się przez nie do środka mdlący odór kóz i małąp.

Kto pod kim dołki kopie...

Drzwi jednak nie zaryglował.

Gdy Strulovitch musi się nad czymś zastanowić, stara się to robić w obecności Kay.

Gdyby mógł udawać, że nadal jest w stanie z nią dyskutować o ważnych dla nich sprawach, nie musiałby rozmyślać o tym, jak bardzo przyczynił się do jej choroby. Co z tego, że lekarz powiedział mu, że nie było w tym jego winy? Strulovitch wiedział, że uczynił jej życie nieznośnym, i nie chodziło jedynie o Beatrice, ale o niego samego – o to, jaki był, w co wierzył, a zaraz potem nie wierzył, o jego zapalczywą żydowskość, która na przemian wybuchała i przygasiała, zawsze jednak była zawadą, niczym obłąkany i obmierzły lokator zakłócający mir domowy.

Owszem, ojciec przyjął go z powrotem na łono rodziny, gdy poślubił Kay, lecz żydowskości było w niej tyle, ile brudu za paznokciem – mniej nawet niż w nim samym w chwilach, kiedy w ogóle nie czuł się Żydem. Pracowała w szkole bezwyznaniowej, uczyła w niej religioznawstwa – szacunku dla cudzych przekonań, dla samego siebie i własnego ciała, dla środowiska naturalnego. Była sobą i dawała innym prawo do bycia sobą. Koniec, kropka. Nie peszył jej widok Araba na ulicy. Ani chasyda. Nie czuła się zagrożona przez wrogów swojej religii ani przez jej fanatyków. W gruncie rzeczy nie wyznawała żadnej wiary. Strulovitch – albo Strulo, jak go nazywała – także twierdził, że nie wyznaje żadnej wiary. I być może miał rację. To, co wyznawał, było silniejsze od wszelkiej wiary, z jaką miała w życiu do czynienia. To było szaleństwo, gorączka. Gdyby musiała o tym uczyć, nazwałaby ten przedmiot judeowariactwem.

Judeowariactwo dla uczniów ostatniej klasy szkoły średniej.

– Bardzo się mylisz – powiedział jej. – Mam dystans.

Ale nawet jego dystans miał w sobie coś z delirium. Nie chodził do synagogi, bo chodzenie do synagogi go irytowało, lecz niechodzenie irytowało go w równym stopniu.

– Spójrz na nich – mawiał, gdy zdarzyło im się niedzielnym rankiem

przejeżdżać obok synagogi. – W tych pierdolonych myckach! Jak oni to robią, że chodzą tydzień w tydzień? Nigdy nie zapominają? Nie mają tysiąca innych spraw?

– Daj spokój – odpowiadała Kay. – Ty nie chodzisz do bożnicy, oni chodzą. Nie twoja sprawa. Co cię to obchodzi?

– Nie obchodzi mnie to.

– To dlaczego przeklinasz?

– Bo się modlą.

– No i?

– W byciu Żydem nie chodzi tylko o modlitwę.

– Dla ciebie nie. Dla mnie nie. Dla nich tak.

– Żyd nie mówi „dla mnie nie, dla nich tak”! – wykrzykiwał. – To jest mowa chrześcijan. My stawiamy „x” wyżej niż „y”, bo „x” jest prawdziwe, a „y” nie jest. To się nazywa etyka, Kay. Z tego słyniemy. „Dla mnie nie, więc dla nich też nie!”

– Strulo, dlaczego to dla ciebie takie ważne, co jest żydowskie, a co nie?

– Nieprawda. Mam w dupie Żydów.

Na drugi dzień wyrzucił „Guardiana” do kosza, twierdząc, że Żydom grozi eksterminacja i że to wina „Guardiana”.

Kay zapytała go, dlaczego jeszcze nie wyjechał do Izraela i nie zaciągnął się do tamtejszych sił zbrojnych.

– Do Izraela? A co Izrael ma do rzeczy?

– Myślałam, że jesteś syjonistą.

– Ja? Syjonistą! Oszalałaś?

– To dlaczego palisz „Guardiana”?

– Nie palę go, tylko wywalam. Ale to ciekawe, że powiedziałaś „palisz”. Moim zdaniem to pomyłka freudowska. Przypomniały ci się piece. To pewnie od lektury „Guardiana”.

– Dlaczego lektura „Guardiana” miałaby mi przypominać o piecach?

– Bo „Guardian” nienawidzi Izraela, a Izrael to jedyne miejsce, gdzie znajdziemy schronienie, gdy znów rozpalą w piecach.

– Czyli jesteś syjonistą!

– Tylko kiedy czytam „Guardiana”.

A potem na świat przyszła Beatrice. Dziecko rodziców we wczesnym wieku średnim, ich spóźniony dar, według określenia Strulovitcha, od Boga. Jak Izaak, cudownie narodzony z roześmianej, niewierzącej w swoje szczęście

Sary. Izaak – śmiech. Beatrice – radość.

– Na litość boską, Strulo – zachnęła się Kay. – Przecież nie jesteśmy stulatkami. Czy musimy mieszać w to Boga?

Zgodziła się jednak nazwać dziecko Beatrice.

To była zagrożona ciąża i trudny poród. Strulovitch widział, że kosztowały jego żonę dużo sił, których nigdy w pełni nie odzyskała. Na nim, jak mu się zdawało, spoczywał obowiązek pilnowania, by córka nie zboczyła z prostej drogi; by wzniosły cel, jaki mu się objawił w chwili jej narodzin, nie został zaprzepaszczony.

Nie chodziło – Boże broń! – o żydowską edukację, a jedynie o żydowską świadomość w stopniu gwarantującym żydowski ślub. Nawet nie tyle ślub, ile podtrzymanie żydowskiego rodowodu. Nie, to wciąż za dużo powiedziane. Uniknięcie nieżydowskiego rodowodu – oto, na czym z grubsza zależało Strulovitchowi.

– Zgadzam się, że byłoby miło, gdyby znalazła sobie chłopca, o którym będziemy mieć dobre zdanie – mówiła Kay. – Ale wszystko inne...

– Wszystko inne! Kay, właśnie wszystko inne nadaje nam powagę.

– Jesteś judeowariatem – przypomniała mu.

Beatrice, gdy podrosła, dopingowała matkę.

– Powiedz mu coś, mamó. Ten człowiek jest stuknięty.

– Skarbie, nie mów o nim „ten człowiek”, to twój ojciec.

– Naprawdę? A wiesz, co mi wczoraj powiedział? Że robię wszystko, żeby Hitler zwyciężył.

– A co takiego robiłaś?

– Nic. Całowałam się. Nawet nie. Dałam komuś buziaka na dobranoc.

– Gdzie?

– Przed domem.

– Komu?

– Nie wiem, jak ma na imię. Chyba Feng. Jest Chińczykiem.

Ach, pomyślała Kay. Feng, a nie Fiszel. Zapytała męża, czy naprawdę powiedział córce, że umawiając się z Chińczykiem, przyczynia się do zwycięstwa Hitlera. Bo jeśli tak, wystąpi o rozwód.

Strulovitch roztropnie spuścił z tonu.

– Gdybyś widziała, co ona wyrabiała...

– Nie obchodzi mnie to. Czy powiedziałaś, że robi wszystko, żeby Hitler zwyciężył?

Strulovitch roztropnie spuścił z tonu jeszcze bardziej.

– Może „zwyciężył” to nie najlepsze słowo. Raczej...

– Raczej co?

– Kay, to było pod wpływem chwili. Ty nie wiesz, w jakim świecie ona żyje. Z kim się zadaje.

– Idę o zakład, że Feng nie jest członkiem nazistowskich bojówek.

– Feng! – Strulovitch wcale nie był tego taki pewien. Oglądał *Most na rzeczce Kwai*. Zachował to jednak dla siebie. Lepszy Feng niż Fritz.

Niedługo potem przywłókł Beatrice do domu za włosy. Parę dni później Kay doznała udaru.

Strulovitch nie był pewien, czy powinien ją opłakiwać, jak opłakuje się zmarłych, lecz wiedział, że musi ją nadal kochać, jak kocha się żywych. Sęk w tym, że nie potrafił. Otwórz serce, a pęknie. Co innego ustalone formy życia małżeńskiego – powitania, wyrazy czułości i troski, przekazywanie wieści – tym, jak sądził, był w stanie podołać. Nabrał zwyczaju opowiadania jej o swoich zmartwieniach, po cichu, bez emocji, tak jak Shylock rozmawiał z Leą, wystrzegając się tonu judeowariata, cenzurując nowiny. Gdy na jej twarzy gościł spokój, wciąż była urodziwa, wciąż rozpoznawał w niej kobietę, którą pokochał, żonę, która mówiła na niego Strulo, tyle że zrujnowaną przez nieszczęście, które ją spotkało: wylew krwi do mózgu, skrajne wyczerpanie, a może przez niego.

Tym razem jednak wszystkie jego troski groziły zmąceniem harmonii. Musiał rozważyć kilka spraw, lecz nie śmiał wyjawić jej żadnej z nich w obawie, że – a nuż, kto wie? – zrozumie, o czym mówi. Siedział więc z nią przez godzinę, trzymając ją za rękę i od czasu do czasu wycierał jej usta lub całował ją w policzek. Czuł się przy tym bardzo samotny, lecz wyobrażał sobie, że ona cierpi dużo większą samotność w miejscu, w którym została zamknięta przez niego i przez los, gdziekolwiek to było.

A ponieważ sprawy wciąż wymagały rozważenia, postanowił uczynić to w swoim gabinecie, co jakiś czas robiąc sobie przerwę i zerkając na pyszne studium Solomona Josepha Solomona do *Pierwszej lekcji miłości*.

Pierwsze i najpilniejsze pytanie: czy na razie zostawić Beatrice swobodę, pozwolić jej wyładować gniew i dopiero ruszyć za nią – tylko dokąd?

Drugie: czy w kwestii obrzezania możliwy był jakiś kompromis? Coś w rodzaju połowicznego obrzezania, satysfakcjonującego i Żyda, i goja?

Trzecie: czy obrzezanie – żadne półśrodki, tylko pełna opcja – rzeczywiście było takie okrutne? Czy Roth, Shylock i inni żydowscy mędracy mieli rację, twierdząc, że to akt najwyższej ludzkiej odpowiedzialności, oznaka nie zacofania, lecz oświecenia?

Czwarte: jeżeli Shylock nie zjawił się tu dla psoty – którą i tak mu wyrządził – to jaki miał cel?

Nie mogąc się zdecydować, co począć z Beatrice (każdy jego dalszy ruch tylko pogorszyłby sytuację), ani nie chcąc znów myśleć o Shylocku, postanowił zacząć od kwestii obrzezania. Shylock twierdził, że wszystko zaczęło się właśnie od obrzezania – „wszystko”, czyli prastara uraza, jaką Żydzi i goje żywili do siebie nawzajem – ale czy obrzezaniem się zakończy?

– Nie mogę ci obiecać – oznajmiła mu na wczesnym etapie zalotów jego pierwsza żona, Ofelia-Jane – że jeśli się pobierzemy i urodzi nam się syn, zgodzę się, żebyś go okaleczył.

Nie był to jednak aż tak wczesny etap, by Strulovitch nie mógł jej odpowiedzieć:

– Czyli twoim zdaniem jestem okaleczony?

– W sensie fizycznym?

– Sama mi powiedz, co przez to rozumiesz. To ty użyłaś słowa „okaleczyć”. Chociaż nie wiem, o jaki inny sens mogłoby chodzić.

– Jest jeszcze sens psychologiczny.

– Uważasz, że jestem okaleczony psychicznie?

– Na pewno została ci blizna na psychice. Trudno, żeby było inaczej.

– Kilka spraw. Po pierwsze, „blizna na psychice” to nie to samo co „okaleczenie”. Rozumiem zatem, że wycofujesz się z tego zarzutu? Po drugie, twoje stwierdzenie „trudno, żeby było inaczej” nie jest żadnym argumentem i niczego nie dowodzi, powtarzasz tylko swoją opinię. Wydaje ci się, że mam bliznę na psychice, bo gardzisz rytuałem. Czy nie jest przypadkiem tak, że ponieważ gardzisz rytuałem, chcę, żebyś miał bliznę na psychice?

Złapała się za głowę i odgarnęła włosy, jakby jej umysł potrzebował dodatkowej przestrzeni, by uporać się z jego kazuistyką.

– Zostawmy to – zaproponowała.

Lecz ten temat wciąż nad nimi wisiał, niczym strach przed chorobą albo nieprzepracowana zdrada małżeńska; na tydzień przed ślubem Ofelia-Jane podjęła go na nowo.

– Wiesz, jednak tego nie widzę.

- Ślubu?
- Okaleczenia.
- W takim razie umówmy się, że będziemy mieć same córki.
- Jak chcesz to sprawić?
- Nie da się. Ale możemy się umówić, że w ogóle nie będziemy mieć dzieci.

– Czy naprawdę proszę o tak wiele?

No właśnie. Czy naprawdę? Strulovitch nie był pewien. Gdyby wtedy wiedział, jak podziałają na niego narodziny dziecka – z jaką siłą przemówi do niego idea przymierza, i to nawet w przypadku dziewczynki, gdzie nie mogło być mowy o jego przypięczeniach za pomocą noża – zapewne uznałby, że Ofelia-Jane istotnie prosi o zbyt wiele. Był jednak młody i nic nie wiedział o uczuciach, jakie wstępują w ojców. Nie był jeszcze w stu procentach pewien własnego zdania, lecz przypuszczał, że w razie potrzeby zdoła ją przekonać. Poza tym ojciec odgrażał się, że go pochowa, co nie nastrajało go zbyt pozytywnie do obrządku, w jakim ten pochówek miałyby się odbyć. Do diabła z tym wszystkim. A zatem: nie, nie prosiła o zbyt wiele.

Jak się później okazało, bóg ich wspólnej niewiary czuwał nad nimi i sprawił, że się rozstali, nim zdążyli spłodzić dziecko.

Lecz mimo braku syna penis, ten przedmiot rytualnego okaleczenia, w dalszym ciągu ich różnił.

- Ta blizna na psychice, o której kiedyś rozmawialiśmy – zaczęła.
- Czyja?
- Twoja.
- Co z nią?
- Wychodzi na jaw za każdym razem, kiedy opowiadasz jeden z tych swoich durnych żarcików wiesz o czym.

– Dlaczego trauma spowodowana okaleczeniem miałyby zrobić ze mnie żartownisia? Jeżeli, tak jak twierdzisz, jestem wesołkowaty, to znaczy, że widocznie nie dość mnie okaleczono.

– To naiwne rozumowanie. Błaznując, maskujesz cierpienie. Nie możesz się pogodzić z bestialstwem, jakie ci wyrządzono, i dlatego próbujesz tuszować je dowcipem – czego najlepszym dowodem jest fakt, że twoje żarty są zawsze fallocentryczne.

Strulovitch poczuł się nagle bardzo zmęczony. Złożone wyrazy z końcówką -centryczny tak na niego działały.

– Masz rację – odrzekł. Nie mógł jej po raz kolejny powtórzyć, że żarty nie leżą w jego naturze. Albo że nie wygląda jak człowiek okaleczony ani się taki nie czuje. To by zabrzmiało, jakby szedł w zaparte albo był pozbawiony czucia; jedno i drugie tylko by potwierdzało, jak bardzo jest okaleczony.

Oto więc pytanie do Shylocka:

Jak śmieszna była pańska umowa? Gdy wyznaczył pan karę w wysokości funta gładkiego mięsa Antonia, wykrojonego tam, gdzie się panu zechce, co pan zamyślał? Co pan zamyślał w duchu żartobliwym – to znaczy, na ile mówił pan poważnie, a na ile grał diabła, za jakiego pana uważali? I co pan zamyślał w kwestii anatomii? Czy zamierzał pan nieobyčajnie, wręcz filuternie, zażądać jego penisa? Czy to był ów funt gładkiego mięsa – hiperbolicznie rzecz ujmując – który pan sobie upatrzył, jeszcze zanim cały humor prysnął przez okno, razem z pańską córką?

Siedzieli w Treviso, jednej z najlepszych restauracji Złotego Trójkąta. Dwie gwiazdki Michelina. Włoska kuchnia regionalna – by Shylock poczuł się jak w domu – i najdłuższa lista win w północnej Anglii.

– Trochę bym chciał – powiedział wcześniej Strulovitch, gdy się rozsiedli, przerywając na chwilę, by poprosić kelnerkę o najbardziej krwiste *nebbiolo* – żeby Beatrice weszła tu teraz uwieszona u ramienia tego piłkarza. Wiem, że to niemądre. Ale pan zrozumie moje szaleństwo.

– Czyli dał pan sobie na wstrzymanie?

– Nie chcę, by czuła, że musi się ukrywać. Liczę, że jeżeli pozwolę jej odejść bez awantury, nie ucieknie daleko. Podobno ten człowiek ma dom w okolicy. Byłoby rzeczą naturalną, gdyby przeniosła się do niego, ale wyobrażam sobie, że roi się tam od pamiątek po jego poprzednich żonach, a może nawet one same wciąż tam są, co, znając Beatrice, raczej jej się nie spodoba. Była zniesmaczona, kiedy odkryła, że przechowuję zdjęcia mojej pierwszej żony. Miała o to pretensje nie tylko do mnie, ale też do swojej matki, że mi na to pozwala. Dlatego przypuszczam, że zabrał ją do jakiegoś hotelu gdzieś w pobliżu. Sprawdziłem terminarz rozgrywek, raczej nie będzie się stąd ruszał, bo w ten weekend jego Stockport County gra mecz. A Beatrice może nie dbać o to, ile mil dzieli ją ode mnie, ale nie będzie chciała zanadto oddalać się od matki. Pańska mądrość „Co masz pod kłódką, znajdziesz szybciotko” się nie sprawdziła. Ja swoją maksymą uczynię „Nie ścigaj zbiega, niech się wybiega”.

– Czy mam przez to rozumieć, że jednak wyrazi pan zgodę na to małżeństwo?

– Nie, nie wyrażę zgody. To nie jest dla niej odpowiednia partia. Nie po to się o nią troszczyłem przez te wszystkie lata. Poza tym teraz to już próba sił i zasad. Ale muszę spokojnie rozważyć wszystkie możliwości.

– Czy jedną z nich jest darowanie mu napletka?

– Niekoniecznie. Ale w tej chwili i tak niewiele mogą zdziałać.

Zamilkł, czekając na ewentualne sugestie Shylocka, który jednak nie miał żadnych.

Strulovitch dolał mu wina.

W takiej to miłej, choć mało konkluzywnej atmosferze, gdy już Shylock odesłał do kuchni *linguine* z mięsem z kraba, a ściślej mówiąc, samo mięso z kraba, podkreślając, że *linguine* było pyszne, rozmowa w naturalny sposób zesłała na pierwotne zamiary Shylocka względem Antonia i jego mięsa. Czy mierzył w jego części intymne, czy w jego serce?

– Skąd pewność – zdziwił się Shylock – że wiedziałem, co zamierzam?

– Chce pan powiedzieć, że pan improwizował?

– Nie musiałem. Kiedy Żyd otwiera usta, przemawia przez niego historia. Dostrzegam ostrożność, z jaką waży pan słowa. Boi się pan wysyłać pewne sygnały, ale i tak je pan wysyła mimo woli. Kiedy wchodzi pan do pokoju, Mojżesz wchodzi za panem.

– Mam dyplom jednego z najstarszych i najznakomitszych angielskich uniwersytetów – zauważył Strulovitch. – Kiedy wchodzę do pokoju, przede mną wchodzi biskupi i lordowie kanclerze.

– To pańskie własne wyobrażenie. Oni mają o panu swoje. Nie ucieknie pan od tego. Gdy Żyd dobija targu, w domyśle popełnia zdzierstwo. Gdy żartuje, w domyśle robi to złośliwie. Po co walczyć ze swoją historią, gdy jest się skazanym na porażkę?

– Żeby zadać jej kłam.

– Któregoś wieczora chętnie wysłucham opowieści o pańskich zwycięstwach. A tymczasem, skoro podniósł pan tę kwestię, pozwoli pan, że dokończę własną opowieść. Otóż w praktyce powiedziałem Antoniowi: skoro tak mnie widzisz, nie sprawię ci zawodu. Przyszedł do mnie z całym balastem swej nieprzejednanej pogardy, prosząc mnie o przysługę, lecz nie znajdując w sobie dość pokory, by nadać tej prośbie pozory uprzejmości – dawał wręcz do zrozumienia, że to ja powinienem być wdzięczny – a w tych okolicznościach

jakże mógłbym się nie odwzajemnić, nie spełnić wszystkich jego obaw, nie potwierdzić wszystkich gorących plotek i irracjonalnych przesądów? Skoro szermował metaforą i pogłoską, postanowiłem czynić to samo. Ale niech pan zwróci uwagę, jak niewiele z tego, co mówię, w ogóle do niego dociera. Tak mało dla niego znaczą, że nie zadaje sobie nawet trudu, by odróżnić to, co mówię serio, od tego, co wypowiadam żartem, nie wie, czy jestem zuchwały, czy unizony, nie obraża go nawet moja lubieżność – bo jest lubieżnością mówienie o wykrajaniu ciała tam, gdzie mi się zechce, jakby chodziło o czynność seksualną, o zachciankę cielesną. W istocie tak mało dla niego znaczą – pal sześć „czy Żyd nie ma oczu”; czy Żyd n i e i s t n i e j e? – że lekce sobie waży skutki tego, na co się godzi. Jako arogancki kupiec myśli, że nie ma się czego obawiać, jako arogancki goj nie liczy się wcale z Żydem, z którym robi interes. Za nic ma mnie, moje słowa, moje groźby i zachcianki – dla niego istnieje tylko pożyczka, tylko to, czego pragnie, a co, jak mu się zdaje, może zdobyć, nie ponosząc żadnych konsekwencji. Czy zatem dziwi pana, że gdy mi nie płaci, trzymam się niewzruszenie tego, co stoi w moim wekslu?

Strulovitch chce coś powiedzieć, lecz Shylock ucisza go gestem. Nawet kelner, który miał właśnie pytać, czy może im czymś jeszcze służyć, cofa się wystraszony.

– To pytanie retoryczne – ciągnie Shylock. – Nie sądzę, aby to pana dziwiło. To nie powinno dziwić nikogo. Antonio się spóźnia i możliwa jest tylko jedna kolej rzeczy. Ja mam mój weksel i nie chcę nic słyszeć. Jestem tym, czym od początku byłem dla niego – wekslem. Do weksla mnie sprowadziłeś, przed wekslem teraz odpowiadaj i przed niczym innym. Nie szukaj we mnie ludzkiej litości. Nie wierzyłeś przecież, że jestem zdolny do podobnych uczuć. Jak śmiesz ich teraz ode mnie oczekiwać? Stałem się wcieleniem twojej pogardy. Musisz się zmierzyć z konsekwencjami nie tego, kim ja jestem, lecz kim ty jesteś. Mój głos jest głosem weksla i niczym więcej. Pokażę ja wam teraz, jak się u was dobrze wprawiłem w podłości.

Strulovitch był skłonny zauważyć, że odpowiedź Shylocka, jakkolwiek wyczerpująca, niezupełnie stanowiła odpowiedź na pytanie, które mu zadał; a ściślej mówiąc, na dwa pytania, które mu zadał: czy układając się z Antoniem, myślał o jego częściach intymnych, a jeśli tak było, to czy nie widział żadnego problemu w odległości dzielącej je – w sensie dosłownym i moralnym – od serca?

Shylock dostrzegł jego niezadowolenie.

– Pan by chciał, abym wyjaśnił coś, czego wyjaśnić się nie da – rzekł. – Czy byłem w pełni świadom, czego chcę? Czy w mojej głowie powstał skończony plan działania, na wypadek gdyby Antonio się nie wywiązał, plan odpowiadający na jakieś żywione głęboko w sercu życzenie – pewnie pan sobie zadaje pytanie, co bym zrobił z jego częściami intymnymi? – czy też groziłem egzekucją weksla dla zwykłej hecy, czy może dlatego że, genetycznie rzecz biorąc, nie miałem innego wyjścia, jak tylko wymierzyć surową karę, co byłoby zgodne z powszechnie obowiązującym stereotypem Żyda? Czym pragnieniom czyniłem zadość – swoim czy ich? Niech pan sobie odpowie, jak jest w pańskim przypadku, a potem dopiero pyta mnie. Jedno wszakże mogę panu powiedzieć: jeżeli pierwsza propozycja kary miała w sobie coś z lubieżnego żartu, to w drugiej tego nie było. I na tym polegał mój błąd. Uszlachetniłem Antonia, zdradzając się z pomysłem, i to chwilowym – w gruncie rzeczy nawet nie moim – dobrania mu się do serca. Tragedia, której dla siebie pragnął, o mały włos została mu dana – mimo że nie zasługiwał na to wywyższenie. A przecież gdybym przypuścił atak na jego części intymne, pozostałby tym, kim był – człowiekiem wielkich pretensji i znikomych walorów. Wydzwignąłem go ponad poziom farsy.

Strulovitch uznał, że lepiej tak to zostawić, przynajmniej na razie. Nie rozmawiali na osobności. Wprawdzie stolik, przy którym siedzieli, znajdował się na uboczu, lecz Shylock mówił głośno i po raz pierwszy od początku ich krótkiej znajomości nie panował nad emocjami. Gości Ristorante Treviso nieraz ponosiły nerwy, zdarzało się, że ktoś wstawał rozgniewany od stołu i wychodził. Rzadko jednak słyszano tu zdania w rodzaju „pokażę ja wam teraz, jak się dobrze u was wprawiłem w podłości”.

Poza tym: kolacja była kolacją. Nie przebrnęli jeszcze przez całą kartę win.

Jednak prawdziwym powodem, dla którego Strulovitch nie drażył tematu, było jego rozkojarzenie; dręczyła go obawa, że źle postąpił, nie zatrzymując córki w domu, a później nie podążając jej tropem. W tamtej chwili wydawało mu się to słusznym posunięciem: pozwalając jej odejść bez awantury, chciał pokazać, że jest rozsądny, liczył też, że dzięki temu łatwiej mu będzie ją potem odzyskać. Teraz poważnie w to wątpił. Gdzie ona była?

Wciąż łudził się, że nagle stanie w drzwiach, u boku Howsome’a, z nerwowym śmiechem na pięknej twarzy, mała dziewczynka udająca kobietę.

Przeczesał niespokojnym wzrokiem najmroczniejsze kąty restauracji, ujrzał nagle D'Antona w towarzystwie kilku młodszych mężczyzn. Odwrócił oczy. D'Anton nie należał do ludzi, których miał ochotę oglądać, zwłaszcza teraz, gdy był chory ze zmartwienia. Dlaczego więc jego spojrzenie co rusz wędrowało w tamtą stronę? Być może powodem była ciekawość, z jaką D'Anton przyglądał się jemu. Ale i coś niezwykłego w jego kompanii. Dopiero gdy mężczyźni podnieśli się od stolika – nieomal w pośpiechu, jak gdyby on, Strulovitch, się do tego przyczynił – uzmysłowił sobie w czym rzecz. Jednym z nich był Gratan Howsome.

Pierwsze, co mu przyszło do głowy, to wstać i ruszyć na niego z pięściami; drugie – zostać na miejscu. W gruncie rzeczy to chyba dobry znak? Howsome sam, bez niej? Z nosem na kwintę? To mogło oznaczać tylko jedno: zerwali ze sobą. Beatrice poszła po rozum do głowy, odprawiła go i wróciła do domu. Stłumił w sobie trzeci odruch: nie podszedł do piłkarza, zanim tamten opuścił lokal, i nie roześmiał mu się w twarz. Po co zawracać sobie nim głowę, skoro go rzuciła? Wracając do domu, wyobrażał sobie, że Beatrice czeka na niego mimo późnej pory.

Ale w domu jej nie było.

A zatem gdzie, na Boga, się podziewała?

D'Anton nie od razu nadał swój list do Żyda. Zwłoka ta niczemu nie służyła, chyba tylko ratowaniu własnej duszy. Zebranie w ogóle nie leżało w jego naturze – zresztą fortuna szczęśliwie oszczędziła mu tej konieczności – ale na myśl o zebraniu u Strulovitcha przewracały się w nim kiszki. Może niebawem zaistnieje jakaś nowa okoliczność? Może Barnaby upatrzy sobie inny prezent dla Plurabelle. A może, przy odrobinie szczęścia, Strulovitch sam z siebie wystawi Solomona Josepha Solomona na sprzedaż. Mienił się kolekcjonerem, ale podobno zdarzało mu się także sprzedawać, o ile była szansa zarobić. D'Anton nie miał żadnego powodu, by wątpić w prawdziwość tych pogłosek. Gdyby mu powiedziano, że gabinet Strulovitcha jest pełen wykresów rejestrujących najmniejsze wahnięcia na rynkach sztuki w różnych miastach świata, nie zdziwiłby się ani trochę.

D'Anton nie był człowiekiem opieszłym, ale też niczego nie robił pochopnie. Zaletą melancholijnego usposobienia było czerpanie swoistej przyjemności z powolnego upływu czasu, a ponieważ żadne ludzkie działanie nie wiedzie do prawdziwego szczęścia, nie było powodu do pośpiechu.

Aż nagle przyszedł do niego Gratan z dziwną prośbą – nie, gwoli uczciwości, na tym etapie nie przybrało to jeszcze kształtu prośby, był to raczej lament, wyraz oburzonego zakłopotania, jak gdyby został pobity, a nie miał na to ani jednego dowodu w postaci sińca.

– Wpakowałem się w niezły pasztet – oznajmił.

D'Anton często żałował, że nie jest materiałem na męża i nie założył rodziny. Sądził, że byłby dobrym ojcem, lecz kiedy wyobrażał sobie zabawę ze swoimi dziećmi w ogrodzie, widział tam samych chłopców. Nie miało to podtekstu seksualnego. Chłopcy wydawali mu się smutniejsi niż dziewczynki, to wszystko. Nosili w sobie jakieś poczucie krzywdy. Nie potrafił tego nazwać. Ani u innych, ani u siebie. Jako dziecko patrzył, jak dziewczynki czytają, malują, bawią się lalkami – no dobrze, i żołnierzkami – i widział w nich zdolność do całkowitego zapamiętania się w tym, co robią. On zaś był

zawsze wsłuchany w siebie, innym łatwo było go zranić, a jemu trudno przestać myśleć o doznanych cierpieniach, jakby to były jego jedyne zabawki.

Z wiekiem niewiele się zmienił. Wciąż lubował się w cierpieniach. Teraz jednak współodczuwał je z innymi ludźmi – obojga płci, ale głównie z mężczyznami. Widok ich dzielnej wrażliwości, boleści nigdy niewysłowionej – bo mężczyzna musi być silny, nie słaby – wyczerpywał go emocjonalnie. Gdyby mógł uczynić świat znośniejszym dla każdego cierpiącego mężczyzny, zrobiłby to bez wahania. Nie da się jednak objąć altruizmem całej kuli ziemskiej, dlatego D'Anton wszystkich swoich przyjaciół darzył przyjaźnią podwójną, okazując im więcej troski, niż potrzebowali nawet we własnej ocenie. Nieważne, że czasem go wykorzystywali. W rzeczy samej ci, którzy najbardziej go wykorzystywali, otrzymywali od niego największą pomoc. Bo też ich potrzeby psychiczne musiały widocznie być większe – w przeciwnym razie nie zgłaszałyby się do niego z tak niebotycznymi oczekiwaniami.

Pod tym względem Gratan i Barnaby niewiele się różnili – może tylko tym, że D'Anton wobec jednego czuł odpowiedzialność graniczącą z miłością, a do drugiego – miłość graniczącą z odpowiedzialnością. Barnaby pochodził z lepszej rodziny, odebrał lepsze wykształcenie, lecz nie miał żadnych darów prócz chłopięcej urody, która w oczach D'Antona stanowiła zewnętrzny przejaw powabu ducha – powabu, który w świecie bezwzględnie wyzyskującym niewinność wymagał ciągłej ochrony. Gratan zaznał w życiu okropieństw, jakich Barnaby raczej by nie zniósł, nie miał wykształcenia i nawet przy najszczerzych chęciach trudno było nazwać go ładnym; mógł się za to pochwalić wielką sprawnością fizyczną i umiał zarobić własnym ciałem na godne życie. Na pierwszy rzut oka nie był typem człowieka, który budził współczucie D'Antona, lecz z za tych pozorów przeziarał samotny, smutny chłopiec. Stąd też brały się głupstwa w rodzaju hitlerowskiego pozdrowienia, które w istocie wcale nie było hitlerowskie. I dlatego gdy tamtemu wołaniu o pomoc zawtórowało kolejno dwoje drogich przyjaciół, D'Anton bez wahania zaliczył Gratana do grona potrzebujących i zasługujących. Zamierzał, jak obiecał Plurabelle – i jak dowiódł, wynajdując mu Żydówkę do igraszek – uczynić dla niego wszystko, co w jego mocy. Był to utarty zwrot, przez który nie rozumiał niczego szczególnego. Gdy jednak Gratan z nie po męsku zwieszoną głową oznajmił, że wpakował się w paszтет, D'Anton w mig pojął, że zbliża się czas kolejnych poświęceń – ofiarowania uwagi, energii, wpływów, a być może również portfela.

– Na początek trzeba ci poprawić nastrój – powiedział piłkarzowi. – Jestem umówiony wieczorem na kolację z Barnabym i paroma jego kumplami ze szkoły, zdaje się, że chcą obejrzeć jakiś mecz...

– Raczej nie Stockport County z Colwyn Bay – pochmurnie stwierdził Gratan. Nawet jego kariera smakowała piołunem.

– Nie, chyba mówił coś o rugby. Tak czy owak, na pewno będzie ucieszenie.

Słowo „ucieszenie” było tak bardzo nie w stylu D’Antona, że nawet Gratan zrobił zdziwioną minę, jakby usłyszał przekleństwo z ust duchownego.

– Chyba nie jestem w nastroju.

– Oj, daj spokój. Zjedz z nami kolację, a później omówimy twoją sprawę na osobności.

Gratan zawahał się. Akurat dziś jak nigdy Beatrice miała prawo oczekiwać, że spędzą wieczór razem.

– Jeżeli to kłopot... – zaczął D’Anton.

– Nie, nie. Jakoś to załatwię.

Nie bardzo tylko wiedział jak.

Tak się złożyło, że tego wieczora D’Anton miał do omówienia jeszcze inny pasztet; poprosił więc Barnaby’ego – bo drugi pasztet był jego pasztetem – by stawił się w restauracji nieco przed czasem.

– Słucham cię – zaczął.

Barnaby wskazał swoją lewą dłoń.

D’Anton wzruszył ramionami.

– Nie masz wrażenia, że czegoś brakuje? – zapytał go Barnaby.

D’Anton policzył palce.

– Wszystko w jednym kawałku – zauważył.

– Serdeczny – podpowiedział Barnaby.

– Też jest na swoim miejscu.

– Palec – tak. Pierścień – nie.

– Ach. Czyżby to był ten pierścień...

– Tak, ten od Plury.

– Zgubiłeś go?

Twarz Barnaby’ego przybrała wyraz, od którego D’Antonowi zawsze ścisnęło się serce. Wyraz chłopczyka, który nie ma do kogo się zwrócić o pomoc.

– Niezupełnie.

- Oddałeś go dziwce?
- Oczywiście, że nie. Ani nie zostawiłem go tam przypadkiem. Barnaby najwyraźniej oczekiwał pochwały za swoją niezłomność.
- Pewnie to nie moja sprawa, komu go oddałeś...
- Dlaczego boisz się, że komuś go oddałem?
- Boję się? Kto mówi o strachu?
- Chodziło mi o to, że boisz się w imieniu Plury – uściślił Barnaby, zastanawiając się, czy aby nie przecenił zazdrości D'Antona.

Ten wejrzał mu głęboko w niemrawe oczy.

- A powinienem?
- Nie, skąd. Zgubiłem go i tyle.
- Pozostaje mieć nadzieję, że Plury w to uwierzy.
- Dlaczego miałyby nie uwierzyć?
- Ponieważ to brzmi jak usprawiedliwienie.
- Zgubiłem go.
- Próbujesz usprawiedliwić swoją niefrasobliwość.
- Chryste, D'Anton, odczep się. Jesteś gorszy niż ona.

D'Anton poczuł przemożne zmęczenie mężczyznami i kobietami oraz ich żalną kulturą pierścionków. Sam za młodszych lat wymieniał się pierścionkami (dodajmy jednak, że bez entuzjazmu i wyłącznie dlatego, że druga osoba zdawała się tego oczekiwać), rozumiał symbolikę dawania i gubienia prezentów, lecz zarówno napuszona poezja wzajemnych przyrzeczeń o dozgonnej wierności towarzyszących wsuwaniu sobie na palec złotych obrączek, jak i późniejsze pospolite oskarżenia o zdradę, gdy któreś ją zsunęło, jak gdyby w całym tym rytuale chodziło wyłącznie o zaufanie i wierność, o sprawdzian, który prędzej lub później ktoś musiał oblać, słowem, istną pułapkę, okrutną niczym wnyki, druciana pętla zastawiona na królika – wszystko to smuciło go i rozczarowywało. Plurabelle była kobietą pod każdym względem wyjątkową, lecz mimo to Barney obawiał się, że gdy tylko powie jej, że zawieruszył dowód jej miłości – „kocha, nie kocha...” – przemieni się w sekutnicę.

- Skoro mam się odczepić, dlaczego przychodzisz z tym do mnie? – zapytał.
- Przepraszam, D'Antonie, nie powinienem był tego mówić. Wybacz.

D'Anton miał wrażenie, że jego przyjaciel ćwiczy przeprosiny przed rozmową z Plurabelle. Budziło w nim to sprzeczne emocje. Zakłopotany i polectany zarazem, zsunął się na brzeg wymyślanego łóżka.

- Jakiej pomocy ode mnie oczekujesz? – zapytał łagodnie.
- Nie mógłbyś jej powiedzieć, że ci go pożyczyłem?
- Mnie? Swój pierścień? Po co?
- Bo ja wiem. Potrzebowałeś dla dziwki?

Zapadło milczenie, które rozładowało dopiero pojawienie się kelnera.

- Przepraszam – powtórzył Barnaby.

D'Anton pomilczał jeszcze przez chwilę.

- Zróbmy tak – odezwał się wreszcie. – Powiem jej, że wziąłem od ciebie ten pierścień, bo wydawało mi się, że kamień się poluzował.

- On nie miał kamienia. To była prosta złota obrączka.

D'Anton teraz ją sobie przypomniał: idealna, wiecznotrwała obrączka, symbol idealnej, wiecznotrwałej miłości między nimi. Sam przecież maczał w tym palce. Łączenie ludzi w pary było jego specjalnością. Znajdował dla innych szczęście, którego nie mógł znaleźć dla siebie.

- W takim razie powiem, że wziąłem go do polerowania. Mam własnego polerownika.

- A trzeba było go wypolerować?
- To nieistotne.
- Czy Plury zauważy różnicę?
- Jaką różnicę? Przecież nie zobaczy pierścienia.

Barnaby zrobił duże oczy.

- Przypominam ci, że go zgubiłeś.
- Ach, no tak. I co dalej?
- Powiem, że to ja go zgubiłem po drodze do polerownika.
- Świetny pomysł. Ale lepiej powiedz, że zgubiłeś go, wracając od polerownika.

- Co za różnica?
- Chcę, żeby Plury wiedziała, że go wypolerowałem.
- Jak sobie życzysz.

Barnaby chwycił D'Antona za rękę.

- Jestem twoim dozgonnym dłużnikiem.

D'Antonowi zamgliły się oczy.

- Nie mów tak.
- Dobrze. Ale czy mogę przynajmniej obiecać, że to ostatnia przysługa, o jaką cię proszę?
- Tak też nie mów.

– Rozumiem – skłamał Barnaby.

Humor poprawił mu się na tyle, że w ogóle nie przypominał człowieka, który kwadrans wcześniej z dzikim spojrzeniem przekroczył próg restauracji.

Oparł się na krzesło i uśmiechnął do swojego dobroczyńcy.

– A jak idzie z tym obrazem?

– Cierpliwości.

– Chcesz powiedzieć, że jeszcze nie namówiłeś tego starego sknery, żeby mi go oddał? W czym problem? Zaządał większych pieniędzy?

– Najpierw pozwól mi załatwić sprawę pierścienia.

Barnaby rozparł się jeszcze wygodniej. Tak, miewał w życiu pod górkę, ale nie były to problemy, których inni nie mogliby rozwiązać za niego.

Oho, następny, pomyślał D'Anton, gdy niedługo potem dołączył do nich Gratan Howsome, człowiek – podobnie jak Barnaby sprzed kilku minut – z kłopotem wypisanym na twarzy.

Nieco wcześniej:

W taki wieczór jak ten, pomyślała Beatrice, nie powinnam siedzieć sama i gapić się w księżyc.

Strulovitch przynajmniej co do jednego się nie pomylił: jego córka nie uciekła daleko. Opuściwszy dom z chłopakiem i walizkami, udała się prosto do Starej Dzwonnicy i oddała pod opiekę Plury. Był to pomysł Gratana. To u Plury się poznali, u niej pierwszy raz skrzyżowali promienie źrenic, u niej uprawiali filosemicką miłość, a teraz u niej znajdą schronienie. Sama Plury wyjechała na kilka dni – robiła sobie korekcję korekcji plastycznej – ale w rozmowie telefonicznej z Beatrice wyraziła radość i gotowość pomocy, Gratana zganiła za łobuzerstwo, lecz pogratulowała mu wyboru, a swojemu zarządcy kazała wyszykować dla nich najładniejszy pokój. Nie ten, którego używała im dotychczas (też niczego sobie), lecz inny, bardziej wytworny i romantyczny. W sam raz dla młodej pary.

Po przybyciu Beatrice i Gratan zastali w swoim nowym buduarze świeżo przetrzepane poduszki, wazon z weselnym bukietem, na jednym stoliku nocnym butelkę szampana Perrier-Jouët Belle Epoque, a na drugim pudełko z makaronikami z Ladurée. Gdyby rozejrzeli się po domu, znaleźliby ponadto D'Antona, który przewieszał obrazy w salonie – Plury uwielbiała je podziwiać w coraz to nowych konfiguracjach, wymyślanych przez niego pod jej nieobecność – i był tak pochłonięty swoim zajęciem, że nie zauważył przyjazdu kochanków. Gratanowi było to na rękę. O rozwoju wydarzeń zamierzał informować D'Antona na raty; uważał go za kogoś w rodzaju swojego opiekuna – mógł liczyć na jego troskę, ale niekoniecznie na poparcie. D'Antonowi, który wprowadził Beatrice do ich świątka, mogłoby się nie spodobać, że Gratan ją sobie przywłaszczył. Domyślał się jego reprimendy: „Gratan, nie sprowadziłem tej dziewczyny po to, żebyś dał z nią dyla. Nie wszystko istnieje dla twojej przyjemności”. Reprimendy podyktowanej czułą troską, ale jednak reprimendy. „Nie rób tego więcej” – powiedział mu po

incydencie z hitlerowskim pozdrowieniem. „Następnym razem użyj głowy”.

Trener Stockport County nieraz powtarzał mu to samo.

Oczywiście nie dało się wykluczyć, że D’Anton się połapie – był wprawdzie człowiekiem posepnie wpatrzonym w swoje wnętrze, lecz poszeptywania w korytarzach i dziwne zniknięcia mogły zwrócić uwagę nawet kogoś takiego. Nie mówiąc o tym, że Plury, której udzielała się miłosna ekscytacja, mogła mu o wszystkim powiedzieć. Jeśli jednak wciąż nic nie wiedział, Gratan uznał, że najlepiej postąpi, milcząc o tym, co zrobił, a już na pewno nie wyjawiając imienia osoby, z którą to zrobił. Rozsądek nakazywał posługiwać się ogólnikami – ona, on, ojciec, obrzezanie i tak dalej. D’Anton jako światowiec będzie wiedział, z czysto abstrakcyjnego punktu widzenia, czy obrzezanie jest warunkiem, który wszyscy żydowscy ojcowie stawiają gojom zabiegającym o rękę ich córek; czy mają do tego moralne i ustawowe prawo; czy istnieją funkcjonariusze, którzy mogą to prawo wyegzekwować; i czy to może boleć.

Przeniósłszy Beatrice przez próg, odłożył ją dość bezceremonialnie na łóżko, wyjaśniając w pośpiechu, że musi skoczyć na dół.

– Dokąd idziesz? – zawołała za nim, lecz już go nie było. – Tylko nie zapomnij wskoczyć z powrotem na górę – mruknęła do siebie.

Gratan zastał D’Antona na drabinie bibliotecznej.

– Wisi prosto? – zapytał go przyjaciel, nie odwracając się.

Gratan był zbyt zaprzątnięty swoimi kłopotami, by ocenić, czy obraz wisi prosto, poszedł więc na łatwiznę i odpowiedział, że tak.

– A więc... – zaczął D’Anton, gdy już zszedł z drabiny. Domyślił się z poczerwieniałej twarzy przyjaciela, że ma on coś pilnego do zakomunikowania. Wtedy Gratan wylał przed nim swoje odpowiednio spreparowane troski, a D’Anton, wysłuchawszy ich, zaprosił go do restauracji...

Nieco później:

– Zaraz zapomnę, jak się nazywam – szepnął do siebie Gratan, wbiegając po schodach na górę. Do Beatrice, stojącej przy oknie, jakby oczekiwała, że jej ukochany wróci tamtędy, powiedział: – Przepraszam, ale muszę na chwilę wyskoczyć.

Spojrzała z niedowierzaniem.

– Najpierw skoczyć na dół, teraz wyskoczyć. Trudno się oprzeć wrażeniu,

że nie chcesz być ze mną.

Nie była ani trochę sentymentalna. Nie oczekiwała niczego w rodzaju nocy poślubnej. Sypiali ze sobą już wielokrotnie, a wypadki minionego dnia nie przydawały wieczorowi szczególnej podniosłości. Ale żeby jej ukochany skakał i wyskakiwał, kiedy ona nie zdążyła jeszcze się rozpakować – no cóż, taki obrót spraw zaskoczyłby chyba każdą kobietę na jej miejscu.

– Oczywiście, że chcę być z tobą. – Gratan wydawał się dotknięty tym posądzeniem.

– Gratan!

– Co?

– Jesteśmy tu od godziny!

– Niedługo wrócę.

– Gdzie byłeś?

– Nie mogę powiedzieć.

– Dokąd idziesz?

– Nie mogę powiedzieć.

– To nie jest dobry początek, Gratan. Zwłaszcza po tym wszystkim.

Zaprowadził ją do łóżka i objął w taki sposób, by widzieć zegarek.

– Mnie też nie jest łatwo.

– Ale ty jesteś starszy i bardziej doświadczony. Poza tym to nie twój ojciec. Proszę, nie wychodź. Nie dzisiaj.

Lecz Gratan był umówiony z D'Antonem w Ristorante Treviso. Potrzebował jego rady – nie jutro ani pojutrze, ale teraz, przed pierwszą nocą z Beatrice po jej ucieczce z domu. W trakcie krótkiej, lecz pełnej napięcia jazdy samochodem uprzytomnił sobie, że Beatrice, jakkolwiek dziś była wściekła i zdeterminowana, jutro może się obudzić z całkiem innym spojrzeniem na sytuację – i na jego osobę. Ojciec to ojciec, choćby nawet potwór. A ojciec żydowski ponoć tym bardziej. Nie należało spoczywać na laurach. To, że Beatrice coś powiedziała, wcale nie oznaczało, że tak myśli. Gratan był zadowolony ze swojej znajomości kobiecej psychiki. Musiał porozmawiać z D'Antonem, był to winien również samej Beatrice. W przeciwnym razie mógłby zrobić fałszywy krok. Powiedzieć coś, czego by pożałował. Postąpić nie tak, jak powinien.

– Nie wypytuj mnie, gdzie byłem ani dokąd idę – odparł błagalnym tonem.
– Po prostu mi zaufaj. Później przyznasz mi rację. Robię to dla nas.

– Gadasz, jakbyś chciał tu przyprowadzić księdza. Nie rób tego.

– Przysięgam, że nie o to chodzi. – Gratan położył rękę na sercu. Beatrice ten gest mimowolnie skojarzył się z jego niesławnym *Sieg Heil*.

– Nie mów, że już znalazłeś sobie inną.

– Inną! Jesteśmy tu od godziny.

Ciekawe, ile potrzebuje na to czasu, pomyślała.

– Wrócisz niedługo?

– Obiecuję – obiecał, znów podnosząc rękę do piersi.

– Już wystarczy – ucieła. – Tylko się nie upij.

– Wrócę trzeźwy jak krowa.

– Mówi się trzeźwy jak świnia. Nieważne. Bylebyś wrócił. Nie przywiozłeś mnie tutaj, żeby mnie tu zostawić?

– Dlaczego miałbym to zrobić?

Pocałował ją gwałtownie. Gdy zobaczył ją po raz pierwszy, była przebrana za ulicznika. „Mój mały Żydek” – tak mówiła o niej Plury. Teraz wyglądała podobnie – raczej nadąsana niż wściekła, raczej dziewczyna niż kobieta, raczej orientalna niż zachodnia, mieszaniec, odmieniec, ni pies, ni wydra, istna zagadka. Czy nie było takiej rzeczy, której by dla niej nie zrobił?

– To mi zajmie tylko chwilę.

Nieco wcześniej:

Tak oto, w taki wieczór, Beatrice została sama ze swoimi rozterkami.

Czy można się dziwić, że uroniła łezkę?

Otarła oko, zastanawiając się, czy Gratan wyskoczył po to, by zabić jej ojca. Czy miałyby mu to za złe?

A jeśli ojciec, broniąc się, zabije Gratana? Czy miałyby mu to za złe?

Pytania, pytania...

Otworzyła szampana, choć raczej za nim nie przepadała, podskakując, gdy huknął korek. Czy to wystrzelił pistolet Gratana? Czy jej ojca? Od domu dzieliło ją zaledwie półtorej mili. W taki wieczór, wśród ciszy Złotego Trójkąta, hałas niósł się daleko.

Jeszcze pół butelki, pomyślała w duchu, i zapomnę, że istnieje ktoś taki jak Gratan Howsome. Ale nie zapomnę, że mam ojca.

Od zawsze uprzykrzał jej życie. Czy był w ogóle taki czas, kiedy jej nie ścigał, nie wywlekał z imprez, nie rzucał się z pięściami na jej chłopaków, nie ścierał jej szminki wierzchem dłoni, nie ciągnął za włosy środkiem ulicy, drugą ręką trzymając się za serce, jakby szantażował ją groźbą zawału?

Popatrz, co ty mi robisz. Wpędzasz mnie do grobu. A przecież było dokładnie odwrotnie – czyż nie?

Czy można się dziwić, że się roześmiała?

Przypomniało się jej, jak pewnego razu wrzucił jej telefon do jeziora. Z tonącego aparatu wydobywał się głos chłopaka, który do niej zadzwonił. To musiało być ze dwa lata temu. Czy wciąż rozbrzmiewał pod wodą, wciąż bulgotał, że nie może się doczekać, aż ją zobaczy, i że ma cudowne piersi?

Raz ojciec podeptał jej laptopa. Raz wyważył drzwi do łazienki i rozbił pięścią jej lustro. Raz zagroził, że zapłaci komuś, żeby zabił chłopaka, z którym się widywała. Miała wtedy czternaście lat, a chłopak był od niej starszy o rok. Innemu wskoczył kiedyś na maskę samochodu. Nie zatrzymuj się, powiedziała Beatrice, zaraz spadnie, ma słaby zmysł równowagi. Raz wdarł się do pokoju hotelowego i udawał, że chowa w kieszeni pistolet.

Czy jakiegolwiek inne problemy w jej życiu mogły temu dorównać? Czy Gratan mógł ją zaabsorbować do tego stopnia?

Chciał jej pokazać, jak bardzo ją kocha – czy o to właśnie chodziło? Nie dopuścić, by pokochała kogoś innego?

Czy można się dziwić, że znów uroniła łezkę?

A co najdziwniejsze – dopiął swego. Nie potrafiła pokochać nikogo innego.

Próbowała skupić łzy na matce, ale nie mogła przestać myśleć o ojcu.

Dlaczego nie ruszył za nią w pościg?

Zawsze ją ścigał, więc dlaczego nie tym razem – jedyny raz, kiedy naprawdę było trzeba.

Postawił na niej krzyżyk? Znała historię o tym, jak jego ojciec, jej dziadek, „pochował” go w przededniu jego ślubu z gojką. Czy on też postanowił ją pochować? *Wyjdź za mężczyznę z takim penisem jak mój albo się siebie wyrzeknę!*

Czy można się dziwić, że się roześmiała?

Śmiać się czy płakać, takie przykazanie mogło oznaczać tylko jedno: że ją kochał.

Przy piątym makaroniku z Ladurée zadała sobie pytanie: gdyby Gratan zgodził się na jego warunek, czy ojciec wolałby, żeby operacja zakończyła się sukcesem, czy żeby Gratan wykrwawił się na śmierć?

Nieco później:

D’Anton nie wierzył własnym uszom.

- Tak powiedział?
- Tak.
- Nie przesłyszałeś się?
- Na pewno nie.
- Powiedział: „Obrzezaj się, a oddam ci córkę”? Użył tych słów?
- Bardziej: „Obrzezaj się, a porozmawiamy. Inaczej nie ma o czym mówić”.

– I jesteś pewien, że to nie była metafora? Nie wspominał nic o obrzezaniu serca?

– Co to jest obrzezanie serca?

– Dawniej, kiedy to był chrześcijański kraj, młody człowiek z twojej warstwy społecznej uczęszczałby do szkoły niedzielnej, z której dowiedziałby się o świętym Pawle. Święty Paweł uczył, że możemy być lepszymi chrześcijanami, jeżeli potraktujemy obrzezanie metaforycznie, postępując według ducha prawa, a nie według jego litery. Możemy się obrzezać duchowo. Rozumiesz?

Gratan najpierw skinął głową, by po chwili pokręcić nią przecząco. Nie wiedział, o czym D’Anton mówi, ale na pewno nie miało to związku z jego sytuacją.

– Dlaczego miałbyś chcieć, żebym stał się lepszym chrześcijaninem? Dla niego i tak już jestem zbyt chrześcijański. On chce, żebym stał się lepszym Żydem... To znaczy, żebym w ogóle był Żydem.

– O tym właśnie mówię. Żydem w sercu. Jesteś pewien, że nie to miał na myśli?

– Nie było nic o obrzezaniu serca. Zresztą na to bym się na pewno nie zgodził.

– Chcesz powiedzieć, że na coś się zgodziłeś?

– Powiedziałem, że naradzę się z Beatrice.

– Z Beatrice!

Howsome uderzył się w czoło. *Idiota ze mnie!* Wystarczyły dwie minuty z D’Antonem, żeby się wygadał. Przemknęło mu przez myśl, że mógłby wymyślić jakąś inną Beatrice, lecz nie chciał się pogrążyć.

– Tak, z Beatrice.

– Beatrice od Plury?

Raz kozie śmierć, pomyślał Howsome.

– Teraz to moja Beatrice. Musisz zrozumieć, D’Antonie. Zakochałem się w

niej.

- Od kiedy?
- Od pierwszego wejrzenia.
- Howsome, to jeszcze dziecko!
- To samo powiedział jej ojciec.
- Nie bez kozery, nie uważasz? Jesteś od niej dwa razy starszy.
- Czyli twoim zdaniem powinienem dać się wykastrować?
- Moim zdaniem powinienem zostawić tę dziewczynę w spokoju.
- Za późno. Uciekła z domu. Czeka na mnie u Plury.
- Czy Plury wie?
- Tak. Dzwoniła z gratulacjami. Zostawiła nam butelkę szampana.
- Jak wiesz, nie odmówiłbym ci prawie niczego, ale szampana bym ci za to nie dał. Czy wiesz już, co zrobisz, jeśli ojciec będzie cię szukał?
- Właśnie w tej sprawie chciałem się ciebie poradzić. Co powinienem?
- Oddaj mu córkę.
- Już ci mówiłem, że nie mogę. Kochamy się.
- A co ona sądzi o warunkach ojca? Oczekuje, że się zgodzisz?
- Ona go uważa za oszołoma. Nienawidzi go, jego żydowskich pieniędzy i żydowskiej fundacji.
- Fundacji! Jakiej fundacji?
- Nie wiem, D’Antonie. Fundacji Cholera Wie. Fundacji Jak Zwał Tak Zwał. Pewnie Fundacji Strulovitcha. Nie pamiętam.
- D’Anton wychylił kieliszek i wytrzeszczył oczy.
- Powiedziałaś: Strulovitcha?
- Tak to się chyba wymawia. Nie muszę znać jego nazwiska tylko dlatego, że porwałem mu córkę.
- D’Anton pozwolił myślom błądzić. Beatrice Strulovitch... Beatrice Strulovitch... Czy wiedział, że tak się nazywa, gdy polecił ją Plury jako niewinną dystrakcję dla Howsome’a, którego słabość do Żydówek tak ich bawiła? Czy w jakiś nie do końca jasny dla siebie sposób przyłożył rękę do tej awantury? Dopuszczał do niej, udając przed innymi, a może i przed sobą, że nie wie, kim jest Beatrice?
- Cokolwiek zamierzał, na pewno nie było jego zamiarem, by Gratan zakochał się w tej dziewczynie i stanął przed wyborem: uciec z nią lub stracić napletek.
- No chyba... że było. Chyba że, hm, od początku chodziło jedynie o to, by ojcu pękło serce, nawet jeśli po drodze ucierpią inni.

Prześledził w pamięci historię swoich gorzkich stosunków z kolekcjonerem, dobroczyńcą, nuworyszem, frustratem, liczygroszem, krwiopijcą i wampirem Simonem Strulovitchem. Czy obecna chwila była – z jego punktu widzenia – najbardziej gorzka, czy może najśłodsza?

Nie mogąc się zdecydować, czy niespodzianka Gratana sprzyja jego planom, czy im zagraża, nie mogąc sobie nawet przypomnieć, co to za plany, zamówił jeszcze jedną brandy.

Po powrocie Gratan zastał Beatrice leżącą nago i bez życia na podłodze.

Krzyknął tak przeraźliwie, że Beatrice była zmuszona otworzyć oczy i wyjaśnić, że odgrywa pustą przestrzeń, którą po sobie zostawił, gdy ją opuścił.

– Jak można odgrywać przestrzeń? – zdziwił się.

– Jak mogłeś mnie zostawić w taki wieczór?

Lecz Gratan był zbyt urzeczony widokiem jej piersi, by cokolwiek odpowiedzieć.

Ten człowiek w ogóle nie czuje sztuki, pomyślała, niechętnie mu się oddając.

Jakiego trzeba zbiegu okoliczności, aby w dwóch miejscach w Złotym Trójkącie, oddalonych najwyżej o milę, toczyły się równocześnie dwie rozmowy o świętym Pawle i jego koncepcji obrzezania serca?

Przybysz z innej planety, na ten przykład, mógłby pomyśleć, że wylądował w chrześcijańskim kraju.

Nazywanie rozmową tego, co zaszło między D'Antonem a jego pupilem Gratanem Howsome'em, jest może pewną przesadą. Podobnie tego, co zaszło między Strulovitchem a Shylockiem. W tym drugim wypadku brak prawdziwej rozmowy nie wynikał jednak z różnic w poziomie pojętności. Chodziło raczej o to, że rozmówcy nie mówili tego, co myślą, choć i tak wiedzieli, co myślą. A więc – rozmowa w milczeniu. A przynajmniej taka, w której to, o czym się mówi, nie jest tym, co się mówi.

Strulovitch, nie zastawszy Beatrice w domu, wpadł w przygnębienie, jakiego mógłby mu pozazdrościć nawet D'Anton. Cokolwiek Howsome robił bez niej w restauracji, jego nadzieje się nie ziściły. Usiadł ciężko w fotelu z butelką whisky i wskazał Shylockowi barek.

– Niech pan się ze mną upije – poprosił.

– Nie jestem w stanie się upić – odparł Shylock. – Wtedy ani razu nie byłem pijany, więc i teraz nie mogę. To jeden z minusów.

– W takim razie niech pan po prostu wypije jednego i posiedzi ze mną.

Shylock spełnił to życzenie.

Przez ponad godzinę siedzieli, wpatrując się nawzajem w swoje wyciągnięte stopy. Wreszcie Shylock zapytał, czy może o coś zapytać.

– Właśnie pan to zrobił.

– O coś innego. O *bris*...

– *Bris!*

– Rytuał obrzezania.

– Jezu, wiem, co znaczy *bris*. Myślałem, że to słowo dotyczy tylko ośmiodniowych niemowląt.

– A ten piłkarz, proszę mi przypomnieć, w jakim jest wieku?

Strulovitch zaśmiał się ponuro. Będzie mu brakowało Shylocka. Potrzebował przyjaciela o czarnym sercu. Żydzi zrobili się tacy ostrożni. *Kiedy nas krzywdzicie, to nam się mścić nie wolno?* Nie wolno. Zniesiemy to dzielnie i jeszcze podziękujemy. Chyba że mowa o Judei i Samarii, wtedy oskarża się nas o bycie nazistami. Tchórzami albo nazistami – to kim w końcu jesteśmy? Rialto, choć to nie Samaria, też stworzyło twardszy gatunek Żyda. Gdyby musiał wybierać między byciem Żydem w Samarii, na Rialto lub w Złotym Trójkącie, jego wybór nie padłby na Złoty Trójkąt.

Przypomniał sobie, że Shylock nigdy nie widział Gratana na oczy.

– Czy jest pan również jasnowidzem?

– Troszeczkę. Mam szeroki ogląd. Ale też słucham tego, co pan do mnie mówi. Poza tym mignął mi, wychodząc z restauracji. *Cavernicolo*.

Strulovitch potrząsnął głową, jakby chciał wyrzucić z pamięci wszelki ślad po tamtej drapieżnej wymianie spojrzeń. Dlaczego wtedy nie wstał i go nie dopadł?

– No dobrze. Co z tym *bris*?

– Nachodzą pana wątpliwości?

– Jako jasnowidz powinien pan wiedzieć.

– Widzę, że ma pan do mnie żal o to, co się stało. Pańskie prawo. Ale w każdej chwili może pan odmienić sytuację, zmieniając zdanie. Jeśli się pan waha, niech pan odpuści temu chłopakowi. Niech pan da córce swoje błogosławieństwo.

– Ona ma szesnaście lat!

– Stale mi pan o tym przypomina. Ale jest bardzo dojrzałą szesnastolatką.

– W tym problem.

– Jak się panu wydaje, ile lat miała Jessika?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

– Otóż to. Wiek się nie liczy.

– A co się liczy?

– Niech mi pan odpowie na pytanie: gdyby udało się panu nakłonić piłkarza do przyjęcia pańskich krwawych warunków...

– Chwila, chwila. Krwawe warunki? Pan mi to mówi?

– To ja proszę pana o chwilę. Jestem gościem w pańskim domu, więc proszę pana, by mi wybaczył niegrzeczność. Ale skąd miałby pan wiedzieć, ile krwi byłem gotów przelać? Może pan zgadywać, ale nie może pan tego

wiedzieć.

– A pan to wie?

– Mnie w to na razie nie mieszajmy i wróćmy do mojego pytania. Gdyby udało się panu nakłonić piłkarza do przyjęcia pańskich warunków, czy byłby pan zadowolony? Czy może spodziewa się pan – c h c e pan – żeby je odrzucił i zostawił pańską córkę w spokoju?

– Jedno i drugie. Chcę, żeby zostawił moją córkę w spokoju i żeby się obrzezał, o ile...

– O ile co? Dlaczego pan się zawahał?

– O ile to ja będę dzierzył nóż.

– Myślę, że pan się oszukuje. Nie sądzę, aby był pan do tego zdolny.

– Teraz to ja pana pytam, skąd miałyby pan wiedzieć, do czego jestem zdolny. Zna mnie pan raptem parę dni.

– A pańskim zdaniem ile trzeba? Panie Strulovitch, ja pana znam od zawsze.

– Zdaje pan sobie sprawę, że to mnie obraża?

– Źle mnie pan zrozumiał. Ale proszę mi powiedzieć jedno. Na ilu pan był obrzezaniach?

– Niech pan mi to powie. Jest pan jasnowidzem.

– Na żadnym. Po pierwsze, nie ma pan syna. Po drugie, gardzi pan obrzędowością. Ale prawdziwy powód, dla którego nigdy nie widział pan *bris*, jest jeszcze inny: pan wie, że pan by zemdłał. To się przydarza wielu mężczyznom. Ojcom, wujom, braciom. To nie jest miły widok. Ośmiodniowe dziecko pod nożem.

– Howsome jest ciut starszy.

– Tym więcej krwi. Poza tym dlaczego wydaje się panu, że chce pan obejrzeć jego penisa, nie mówiąc już o jego przycinaniu? Ile gejowskich penisów pan widział? Ile miał pan w ręku?

– Nie muszę odpowiadać na to pytanie.

– Ale jest pan pewien, że chce pan go dotknąć?

– Będę miał rękawiczki...

– Potrzytać? Zranić do krwi? Słuchać jego krzyku? Dobrze pan wie, że pan tego nie zrobi. Uciekłby pan, aż by się za panem kurzyło.

Strulovitch unosi rękę.

– Chwileczkę – mówi. – Chwila moment.

Shylock unosi obie dłonie, jak gdyby zrozumiał, że być może nieco się

zapędził.

– Czy może mi pan wyjaśnić – pyta Strulovitch – jak przeszliśmy z metafory w dosłowność? Zaczęło się od tego, że proszę goja, który sypia z moją córką, by dowiódł swoich szczerych intencji. A kończy się na tym, że za pańską namową obcinam mu penisa.

– Witam w moim świecie – oznajmia Shylock.

– Czy to znaczy, że pan również w pierwszej chwili rozumiał swój funt mięsa metaforycznie?

Shylock ze zniecierpliwieniem przymyka powieki.

– Znowu to samo.

– Przestałbym o to pytać, gdyby pan mi odpowiedział.

– Więc proszę pytać subtelniej. Każda transakcja między Żydem a gojem jest metaforyczna. To jedyny sposób, abyśmy się nie pozabijali. Ale jeżeli pyta mnie pan, czy wtedy żartowałem – owszem, po części.

– To niezupełnie to samo.

– Nie, ale powaga jest stopniowalna.

– Pozwolę więc sobie zapytać: czy miał pan nadzieję, że Antonio nie wywiąże się z umowy i będzie pan mógł zrobić mu krzywdę?

– W tamtej chwili, kiedy żartowałem, raczej nie.

– A kiedy?

– Zamiar ewoluuje z biegiem opowieści.

– A kiedy ten zamiar się ustalił?

– Mógłbym powiedzieć, że kiedy odebrano mi Jessikę. Kiedy wykradziono mi pierścień od Lei. Kiedy inni uznali, że wolno im nie dotrzymać umowy. Kiedy doszli do wniosku, że można mną manipulować. Kiedy przyparto mnie do muru. Kiedy nie pozostało mi nic innego...

– A więc kiedy?

– W każdym z tych punktów i w żadnym z nich. Dalej nie wiem, jak mocny był mój zamiar. Historia się urwała... Co się nie zdarzyło, to się nie zdarzyło. Reszta to już sfera domysłów, a nie filozofii czy psychologii. Ani teologii.

– Ale zanim się urwała... była, musiała być, intencja.

– Intencja, no cóż... Czym jest intencja? Czy Abraham zabiłby Izaaka niezależnie od swoich intencji? Stary Testament nie spędza mi snu z powiek bardziej niż panu, ale jak nietrudno się domyślić, ta historia ma dla mnie szczególne znaczenie.

– Ta historia ma szczególne znaczenie dla całego świata.

- Może dawniej tak było. Teraz – śmiem wątpić.
- Być może. Ale pytanie pozostaje pytaniem. Czy Abraham zabiłby syna?
- Czy Abraham ostatecznie okazałby się zdolny do mordu? To także nieuprawnione pytanie.
- Nieuprawnione czy bez odpowiedzi?
- Jedno i drugie. Problemem jest niepoznawalne „ostatecznie”.
- W takim razie o co można pytać?
- O to, czy przedtem Abraham zdradzał cechy, które czyniły go potencjalnym dzieciobójcą.
- Rozumiem, że odpowiedź brzmi „nie”?
- Owszem. Nie. I ze mną było tak samo. Czy w mojej osobistej historii – mojej własnej, dotyczącej mnie jako człowieka, a nie jako członka znienawidzonej i budzącej strach rasy – było cokolwiek, co wskazywało, że jestem żądny krwi? Gdyby istniał choć cień podejrzenia o takie skłonności, goje z całą pewnością trzymaliby się ode mnie z dala. Tymczasem skarżyli się, że ich unikam. Niech pan sobie odpowie na pytanie: czy zawarłby pan wiążącą umowę z człowiekiem, który w razie jej niedotrzymania wykroiłby panu serce? Czy ośmieliłby się pan go okraść? Przywłaszczyc sobie jego klejnoty? Odebrać mu córkę? Splunąć na niego na ulicy? Człowiek podejrzewany o nadużywanie noża budzi większy respekt, niż ja budziłem. Większy strach. Dopóki nie zażądałem kategorycznie rozliczenia weksła, myśleli, że uciszą mnie paroma dukatami nawiązki. Ich pogarda i zuchwałość są najlepszym dowodem, że nie uważano mnie za gwałtownika.
- Nazywali pana psem, posądzali o wilczą naturę.
- Nie mnie osobiście posądzali, ale wszystkich Żydów. Choć w istocie nie wierzyli we własne insynuacje. W oczach chrześcijan i muzułmanów zawsze byliśmy nie dość wojowniczy. Jesteśmy eunuchami, co krwawią jak kobiety. Dlatego nie potrafia nam wybaczyć, gdy oddajemy wet za wet. Ulec Żydom to ulec półludziom.
- Czy Abraham nie miał w sobie aby czegoś z wojownika?
- Coś miał, owszem. Ale jak na tamte czasy był istnym barankiem.
- Skoro nie było w nim przemocy, jak pan wytłumaczy jego gotowość do zabicia Izaaka?
- W ogóle nie nazywałbym tego gotowością. Szczególne okoliczności popchnęły go na drogę ku morderstwu, to wszystko, co można powiedzieć. Ale czy w sercu był mordercą, nawet wtedy? Nigdy się nie dowiemy. On sam tego

nie wiedział. Opowieść się urywa i pozostanie urwana przez całą wieczność.

- W przypadku Abrahama szczególną okolicznością był Bóg. A w pańskim?
- W moim też.

Lecz Strulovitch nie zamierzał na tym poprzestać. Gdy nadarza się szansa, trzeba się jej chwycić. Shylock wydawał się zrelaksowany jak nigdy przedtem, siedział w półmroku z wyciągniętymi nogami, wsłuchany w ciszę, jeśli Strulovitch akurat milczał. Stanowił łatwy cel.

– Nie po raz pierwszy – podjął na nowo Strulovitch – unika pan odpowiedzi, wymawiając się końcem opowieści. Tak, historia się skończyła, ale pan się nie skończył. Pan wciąż tu jest. Miał pan dość czasu do namysłu.

– Namysł! Nic innego nie robię. Ale namysł to nie czyn. Ani nawet znajomość czynów. Nie mam odpowiedzi na pańskie pytanie. Nie wiem, czy spełniłbym groźbę i wykroił mu funt mięsa spod serca – ani nawet, skoro i o to mnie pan pytał, jakim sposobem serce nagle stało się przedmiotem mojej zemsty.

– Aha! Nazwał pan to swoją zemstą.

– Owszem, i nieprzypadkowo. Miałem się za co mścić. Straciłem córkę, mienie, dobre imię...

– A przy okazji zaspokoił pan żądzę krwi?

– Teraz mówi pan jak oni.

– Niech mi pan wskaże, w którym miejscu się myślę. Nie wolałby pan, żeby pana wtedy nie powstrzymano?

– Powstrzymano? – Shylock zmrużył oczy. Wyraz odprężenia w jednej chwili zniknął z jego twarzy. – Wolałbym, skoro już pan pyta, żeby mi n i e p r z e s z k o d z o n o .

– W wykrojeniu mu serca?

– W przekonaniu się, czybym to zrobił.

– Czyli żałuje pan, że tego nie zrobił.

– To nie to samo. Gdybym to zrobił, oni bez skrpułów wykroiliby moje.

Strulovitch zbył ten argument machnięciem. Nie interesowały go konsekwencje; wiedział, co chrześcijanie robili Żydom; intrygowało go natomiast, co Żyd mógł zrobić chrześcijanom.

– Pozwolę sobie raz jeszcze nadużyć pańskiej cierpliwości. Czy zrobiłby pan to?

– Raz jeszcze powtórzę: nie wiem. Nie łaknę krwi bardziej niż pan. Ci

ludzie, o których mówiłem, że mdleją podczas *bris* – jestem jednym z nich. Zemdlałem dwa razy. Gdybym nie zemdlał, zapłakałbym głośniej niż obrzezane niemowlę. Tak jak pan jestem delikatny, ja też nie cierpię widoku ani zapachu krwi, źle mi się robi na samą myśl. Ale niech pan zrozumie – moja własna krew się we mnie gotowała. Kipiałem z nienawiści do tego wyniosłego świętoszka i cierpiętnika. Wydawało mi się – zresztą jemu pewnie też – że na świecie nie ma miejsca dla nas obu. Wzajemnie się unieważnialiśmy. On się nie godził, bym prowadził interesy po mojemu, ja się nie godziłem, by on prowadził je po swojemu. Ja byłem za porządkiem, on – za chaosem. Obaj, siłą rzeczy, obracaliśmy zobowiązaniami. Interesy oznaczają zobowiązania. Tak jak bycie mężem, ojcem, kochankiem oznacza zobowiązania. Ja obracałem prawdziwymi zobowiązaniami – dawałem i zabierałem. Coś za coś; dobrowolna umowa stron bez dwuznaczności i niedopowiedzeń. On obracał fałszywymi zobowiązaniami. Potrafił tylko dawać. Nie zyskiwał finansowo ani emocjonalnie. To musiało oznaczać wieczne poświęcenie, rozczarowanie i samotność. Co z kolei nakładało ukryte, lecz ciągłe zobowiązania na tych, którzy od niego brali. Nie umiał funkcjonować w tak racjonalnym świecie jak mój. Mój sztywny legalizm – tak go postrzegał – wykluczał go. Jego emocjonalny przymus wykluczał mnie. I dlatego jeden z nas zawsze musi zabić drugiego. A więc – owszem, możliwe, nawet więcej niż możliwe, że w swej nieposkromionej furii znalazłbym w sobie niezbędną moc, radość, poczucie obowiązku – jakby słuchając rozkazu zagniewanego Boga – i tytułem zasłużonej odpłaty za wieki pogardy, rewanzu za oszczerstwa, doskonale ironicznej realizacji wszystkich bezzasadnych chrześcijańskich obaw – tak, to więcej niż możliwe, że znalazłbym w sobie to coś, nieważne, czy nazwiemy to heroiczną siłą, rozkoszą czy, jak kto woli, podłością, i wziął to, co ponad wszelką wątpliwość uczciwie mi się należało... Nie przeczę, myślałem o sobie jak o narzędziu sprawiedliwości. Taką miarą, jaką mierzyli, chciałem im odmierzyć. A nie ma takiej przemocy, do której człowiek nie jest zdolny, gdy wierzy, że czyni tak, jak oczekuje od niego Bóg. Tak, zdaję sobie w pełni sprawę, że to bluźnierstwo przyznawać sobie takie prawo. Złożmy to jednak na karb bluźnierstwa, od którego, być może, byłem o krok, bluźnierstwa odebrania życia w imieniu Boga, bo mogło się tak zdarzyć, choć się nie zdarzyło. A zatem przykro mi, ale nie potrafię panu powiedzieć, jakie to uczucie popełnić morderstwo ani czybym się do tego posunął, gdyby sprawa stanęła na ostrzu noża. Mogę panu natomiast

powiedzieć, jak to jest znaleźć się na granicy mordy i całym swoim jestestwem pragnąć ją przekroczyć. Czy taka odpowiedź pana satysfakcjonuje?

Lecz Strulovitch zasnął w fotelu, zmęczony nadmiarem gniewu i frustracji, nadmiarem alkoholu, a może także nadmiarem pytań.

Choć Shylock ma na to inne wytłumaczenie.

Ten Strulovitch, myśli, lubi zapadać w moralny półsen.

Ten Strulovitch pyta, lecz nie chce znać odpowiedzi.

Żydzi rozczulają się nad sobą i ten Strulovitch, choć nie może się zdecydować, czy jest Żydem, nie stanowi wyjątku. W jego przekonaniu Żyd nie jest zdolny do tego, do czego zdolni są nie-Żydzi. Żyd nie odbiera życia. Dla niego jestem bohaterem nie z racji tego, co uczyniłem lub mogłem uczynić, ale z racji tego, co pozwoliłem uczynić sobie. Dobrego Żyda kopią. Zły Żyd kopie.

Czy nie krwawimy, kiedy nas kłujecie, ale też: czy nie leje się krew, kiedy my was kłujemy? On woli o tym nie myśleć.

Ta nasza słynna etyka nieźle nas urządziła – chciałby powiedzieć Shylock swojej żonie. To, że nie godzimy się z myślą, że moglibyśmy mordować, jak to robią inni, wcale nie umacnia nas, lecz osłabia.

Czy zgadzasz się ze mną, moja kochana Leo?

Ale jest zbyt późno, zbyt zimno na zewnątrz. U niej zawsze jest zimno.

Zresztą wie, że Lea wytknęłaby mu sofistykę. Miał Antonia w garści. „Prawo tak każe i sąd tak zarządził” – powiedział swoim piskliwym głosem ten młody doktor praw. Można było wtedy doprowadzić rzecz do końca i niech nie mówi, że „nie wie, jakie to uczucie kogoś zamordować, bo wypadki przybrały inny obrót”; przybrały, bo im na to pozwolił. Dajcie mi pieniądze, a pójdę sobie – oto co powiedział.

Czy to było tchórzostwo? Czy może bogobojna wierność żydowskiemu prawu? Stwórca odebrał nam prawo do samobójczej śmierci, a gdyby Shylock przelał choć kroplę krwi Antonia, niechybnie równałoby się to samobójstwu.

Cokolwiek to było – bojaźń czy bogobojność – czy właśnie tu przebiega granica, której żaden Żyd, choćby się głośno odgrażał, nie ośmieli się przekroczyć?

Nic dziwnego, że Strulovitch, który wcześniej był tak wymagającym rozmówcą, wołał zapaść w sen.

Mimo zimna i późnej pory Shylock jednak wychodzi na dwór, by wysłuchać krytycznych uwag Lei. Wybrał życie, choć nie miał już po co żyć. Mógł zabić

wroga i dołączyć do żony. Dlaczego tego nie zrobił?

– Kochana! Wróciłam raz dwa. Nawet nie czekałam, aż mnie skończą.

Anna Livia Plurabelle Kleopatra Co Piękne Cieszyć Nigdy Nie Przystanie Mądrzejsza Niż Salomon Christine wpadła do pokoju z przewiazanym wstążką bukietem róż i niezapominajek. Jedno oko zasłaniał jej bandaż, jak u pirata. Twarz miała usianą różowymi pęcherzykami.

– Wyglądasz jak druhna! – wykrzyknęła Beatrice, nie wiedząc, co innego powiedzieć.

– Kochana, właśnie tak się czuję.

Rzuciła zdrowym okiem na pościel.

– Chyba nie szukasz śladów krwi?

– Oczywiście, że nie. Szukam Gratana.

Kiwnęła pytająco głową w stronę łazienki.

– Nie ma go tutaj – rzekła Beatrice.

– Ale, ty i on... wy chyba nie...

– Nie, skąd.

– Cały czas jesteście...

– Tak, cały czas jesteśmy. Ale od kiedy tu przyjechaliśmy, on ciągle gdzieś znika.

– Ale przyjechaliście dopiero wczoraj, prawda?

– Zgadza się. Od tamtego czasu bez przerwy zeskakuje na dół albo wyskakuje do miasta. Właśnie znów gdzieś myknął. Nie wiem, o co chodzi.

– Może coś szykuje.

– Niby co?

Plurabelle spojrzała znacząco.

– No wiesz.

Beatrice zmarszczyła się.

– Nie mogę ci obiecać, że w najbliższym czasie weźmiemy ślub.

Wyraz rozczarowania, który przemknął po zmaltretowanej fizys Plurabelle, sprawił, że Beatrice zwątpiła w swoje postanowienia powzięte minionego

wieczora pod nieobecność Gratana. Wrócił, tak jak obiecał, o rozsądnej porze – o ile w zaistniałych okolicznościach można było mówić o czymś takim jak rozsądna pora – i, także zgodnie z obietnicą, trzeźwy jak zając. Ona jednak uznała, że nie będzie na niego czekać i położy się spać – więcej nawet: wykona *coup de théâtre* i położy się trupem.

Gdy tak leżała i za drzwiami sypialni zaskrzypiały podłogowe deski, przyszło jej do głowy, że może to ojciec przyszedł ją uratować. A w tej sytuacji – ale nie, postanowiła nie okrywać swojej nagości. Niech zobaczą, co jej zrobili. I jak przekonująco umie to zagrać.

Jak się okazało, był to Gratan.

Ten jej pozał się Boże ojciec. Nigdy nie można na niego liczyć.

To był dziwny wieczór: leżała na poduszkach wypchanych jak usta Plury, sącząc szampana jak spragniona pszczoła, przegryzając każdy łyżeczek makaronikiem i rozmyślając o życiowych paradoksach.

Przy całym uporze, z jakim przeciwstawiała się obsesjom ojca na punkcie przymierza – a miała wrażenie, że toczy ten bój przez całe swoje krótkie życie – gdzieś w zakamarku duszy czuła dla nich szacunek. Dla nich – czy może dla fanatyzmu, z jakim ojciec im ulegał? Alkowa, której użyczyla jej Plury, chyba nie sprzyjała przeprowadzaniu takich subtelnych rozróżnień. Ale czytała o przypadkach nawracania się zakładników na ideologię porywaczy i zastanawiało ją, czy aby sama nie była takim przypadkiem – przy czym porywaczem był jej ojciec, nie Gratan. Nie potrafiła tego wyjaśnić ani tym bardziej się z tym pogodzić, lecz teraz, gdy ich spór zakończył się ucieczką z domu, zaczęła ojca inaczej postrzegać, a nawet dopuszczać możliwość, że miał rację. Może niezupełnie w kwestii tego, jak należało ją wychować, ale w kwestii tego, jak nie należało. Miała koleżanki, którym spokojnie mogłaby zazdrościć niczym nieskrępowanej swobody. Jedna z nich, córka ateistów, od trzynastego roku życia sypiała z chłopakiem w pokoju przez ścianę z sypialnią jej pobłażliwych rodziców. Innej, córce poetów, wolno było urządzać domowe imprezy – z udziałem ojca i matki, a nawet dziadków – na których nieznanne Beatrice substancje trafiały do nigdy przez nią nieoglądanych otworów ludzkiego ciała, a to wszystko w atmosferze pełnego przyzwolenia na praktyki seksualne, jakie nawet się jej nie śniły.

Dlaczego więc nie zazdrościła? Nie wierzyła, że to mówi, ale nie zazdrościła im dlatego, że nie miały przykładu. Były rozhuśtane jak brama, która wypada z zawiasów, podczas gdy ona musiała się nauczyć stawiać opór.

Lepiej mieć w ojcu przeciwnika niż przyjaciela – stwierdziła.

Powiedział jej: Beatrice, nie marnuj się dla chtonicznych złamasów. Czy to nie szczęście mieć ojca, który tak myśli? Chociaż byłaby szczęśliwsza, gdyby nie rozróżniał chtonicznych złamasów Żydów i nie-Żydów i nie odmierzał czasu, który na nich marnowała, różną miarą. Marnotrawstwo to marnotrawstwo.

Całe to żydostwo nigdy jej nie leżało.

– Jakie to straszne słowo, „Żyd” – powiedziała któregoś razu rodzicom, kiedy była mała. – Brzmi jak czarny kolczasty chrząszcz.

To matka trzepnęła ją wtedy w ucho. Ojciec tylko się zaśmiał.

– Skoro nie żyjemy po żydowsku, nie mamy żydowskich przyjaciół, nie jemy żydowskiego jedzenia i nie obchodzimy żydowskich świąt, dlaczego mam się umawiać z żydowskimi chłopcami? – zapytała go później.

– Chodzi o zachowanie ciągłości – odparł.

– Jakiej ciągłości?

– Tej, której jesteś częścią.

– Żydowskiej?

– Po prostu ciągłości.

– Nie rozumiem, co to znaczy.

– Ja też nie. Ale wiem, że nie urodziłaś się po to, by wyrzucić swoje życie na śmietnik. Nie jesteś przypadkowa, Beatrice. Nie wzięłaś się znikąd. Życie to poważna sprawa. Nie możesz ulegać byle kaprysowi.

Nie jesteś bramą, która wypadła z zawiasów.

A teraz, w imię zachowania ciągłości – a przynajmniej dla zachowania jej pozorów – jej chłopak i chtoniczny złamas będzie musiał pójść pod nóż. I być może wykrwawić się na śmierć. Wyłumacz mi, o co w tym chodzi, tatku...

Może i mnie kocha, pomyślała, ale jest rzeźnikiem. Jego umysł to ubojnia.

– W czym jest problem? – zapytała Plurabelle.

Beatrice wyjaśniła jej, w czym jest problem.

D’Anton stawiał sobie za punkt honoru pomagać przyjaciołom w taki sposób, aby żadnego nie faworyzować. Obecnie miał do zrobienia dwie rzeczy dla Barnaby’ego: zdobyć szkic Solomona Josepha Solomona i okłamać Plury w sprawie zgubionego pierścionka. Jakie dwie przysługi mógł zatem wyświadczyć Gratanowi? Choćby wyplątać go z ambarasu z Beatrice – lecz

Gratan wydawał się w niej naprawdę zakochany. Udobruchać jakoś Strulovitcha? Na razie nie bardzo miał pomysł, jak tego dokonać. Prócz samej Beatrice nie miał nic, czego Strulovitch by pragnął. Zresztą gdyby nawet znalazł sposób na to, by oderwać ją od Gratana i dostarczyć ojcu, jaki pożytek miałyby z tego ten pierwszy? Trzecią możliwością było oczywiście zatrudnienie jakiegoś pierwszorzędneho chirurga – choćby tego, który obrzezywał członków rodziny królewskiej, o ile nadal praktykowano ten zwyczaj – ale na samą myśl, że przyłożyłby do tego rękę, robiło mu się niedobrze. Nie ześwinie się dla Żyda, pomyślał.

Potem przypomniało mu się, że kilka lat wcześniej uniemożliwił Strulovitchowi otwarcie galerii sztuki anglo-żydowskiej imienia jego rodziców. A gdyby oświadczył, że przestanie czynić mu przeszkody? Albo wręcz użyje swoich niemałych wpływów, by go wesprzeć?

– Jestem gotów to dla pana uczynić, panie Strulovitch, a w zamian oczekuję jedynie – czego? Raz jeszcze zrobił w myślach obrachunek i wyszło mu, że chce od Strulovitcha dwóch rzeczy. Szkicu Solomona Josepha Solomona oraz odstąpienia od groźby rozczłonkowania Gratana. Co jeśli Strulovitch zgodzi się na tylko jedno ustępstwo? Jeśli on, D’Anton, będzie musiał rozstrzygnąć, która z tych kwestii jest ważniejsza? Gratan niewątpliwie znajdował się w poważniejszych opałach, lecz prawdę mówiąc, D’Anton wolał Barnaby’ego i bardziej kibicował jego zalotom. Gratan wpakował się w ten bajzel, podążając ślepo za tą częścią swojej osobowości, która, szczerze powiedziawszy, zasługiwała na ukaranie. Barnaby natomiast usiłował tylko dogodzić uroczej, acz nieco kapryśnej młodej damie. Również na tym D’Anton opierał swój wybór: wolał pośrednio uszczęśliwić Plury niż Beatrice, zwłaszcza Beatrice z domu Strulovitch.

Oto, pomyślał, dylemat godny samego Salomona – nie mylić z Solomonem. Paradoksalnie idealnym miejscem do rozsądzenia, komu bardziej należała się jego hojność, byłby program telewizyjny Plurabelle „Terapia kuchenna”, lecz szkic Solomona Josepha Solomona miał być dla niej niespodzianką, a poza tym dyskusja o plusach i minusach obrzezania mogłaby się odbić na wynikach oglądalności. Nadal więc był w kropce: chciał postąpić sprawiedliwie, ale nie wiedział, jak to zrobić.

Może zresztą wybiegał w swoich kalkulacjach za daleko wprzód, zakładając, że Strulovitch w ogóle będzie zainteresowany. Nie miał wątpliwości, że jego, D’Antona, nienawiść – nie, to przecież zbyt mocne

słowo; jego naturalna awersja, dyskomfort, mimowolny brak sympatii – była odwzajemniona. Co jeśli Strulovitch będzie wolał zachować szkic Solomona Josepha Solomona, ryzykując nawet utratę córki, niż pozwolić, by D’Anton robił mu łaskę – bo tak niewątpliwie zostanie to przez niego odebrane – w sprawie, która swego czasu napsuła mu tyle krwi? Czy słyszał kto o Żydzie – pytanie, nic więcej – który nie byłby mściwy i nieprzejednany?

Po gruntownym namyśle D’Anton doszedł do wniosku, że dobrze zrobił, zwlekając z wysłaniem listu do Strulovitcha. Lepiej na razie nie odkrywać przed nim kart. Lepiej, żeby nie wiedział, czego od niego chce. Czy to nie kolejny dowód na to, że czas poświęcony na planowanie następnego kroku nigdy nie jest czasem zmarnowanym? Postanowił raz jeszcze przejrzeć list i ewentualnie złagodzić błagalną wymowę niektórych fragmentów, lecz okazało się, że list zniknął z jego biurka. Nasuwało się tylko jedno wyjaśnienie. Jego asystent, jak zwykle skory do pomocy człowiekowi, który sam niestrudzenie pomagał innym, musiał go doręczyć pod adres wskazany na kopercie.

D’Anton zgiął się nad biurkiem jak w ataku bólu. Czuł się tak, jakby to jego samego doręczono Strulovitchowi na talerzu. Oczyma duszy ujrzał swojego śmiertelnego wroga, zgarbionego niby nad workiem pieniędzy, jak z diaboliczną satysfakcją wodzi palcem po jego słowach.

Wzdrygnął się. Nie tylko Gratan Howsome miał się czego obawiać ze strony tego złośliwego Żyda.

Jak wiele zależy od kontekstu, pomyślał Strulovitch.

Gdyby otrzymał list D'Antona, zanim stał się świadkiem jego schadzki z Gratanem Howsome'em w Ristorante Treviso, kto wie, czy nie odniósłby się życzliwie do jego prośby. No, „życzliwie” to może za dużo powiedziane, ale przynajmniej ze wspaniałomyślnością podszytą grubą ironią. Bawiła go myśl, że ktoś taki zwraca się do niego z pokorną prośbą. I że można by komuś takiemu wyświadczyć uprzejmość, sprzedając studium Solomona Josepha Solomona za tyle, ile kosztowało na aukcji, tym samym pozbawiając D'Antona satysfakcji nazwania go lichwiarzem i draniem. Studium, owszem, podobało mu się, zdradzało wielki kunszt i zainteresowanie anatomią, lecz nie mogło się przecież równać ze wspaniałym dziełem ostatecznym. Tego, gdyby je miał, nie oddałby za żadne pieniądze. Ale z pierwszą próbą, jakkolwiek urokliwą, był gotów się rozstać, zwłaszcza w obliczu nader słodkiej nagrody. Ależ proszę, D'Antonie, mój drogi, na pewno wiedziałeś, że wystarczy mnie tylko poprosić. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że nawróciłeś się na sztukę żydowską.

Może nawet dałby mu ten szkic w prezencie.

Lecz teraz już wiedział, że D'Anton zna się z Howsome'em, i wietrzył między nimi znowę. Trudno powiedzieć, co ci dwaj mieli wspólnego, ale to nie jego zmartwienie. Z całą pewnością łączyła ich perfidia. Kto wie, czy D'Anton nie odegrał jakiejś roli w ucieczce jego córki z domu? On i Howsome spotkali się jeszcze tego samego wieczora, wyraźnie zdenerwowani, co kazało przypuszczać, że D'Anton przyjął kochanków pod swój dach. Kto wie, czy nadal tam nie przebywali, korzystając z jego hucznej gościnności – hucznej i wstrzemięźliwej zarazem, tak ją sobie wyobrażał – pijąc sake z japońskiej porcelany, stukając się kieliszkami brzoskwiniowego prosecco i złorzeczając jemu, Strulovitchowi?

Jeszcze raz przeczytał list D'Antona. Czy źle zinterpretował jego ton? Słowa, które za pierwszym razem robiły na nim wrażenie błagalnej prośby,

teraz wydały mu się podłym żartem. Zamierzał odpowiedzieć pyszną ironią, ale co jeśli D'Anton sam prowadził ironiczną grę, której on, Strulovitch, był przedmiotem?

Ten niewymieniony z nazwiska człowiek, „młody i wrażliwy przyjaciel”, który chciał podarować studium kobiecie w dowód swojego oddania – to chyba jasne, o kogo chodziło. Z całą pewnością był nim Howsome.

A skoro tak, to kobietą, której był oddany – oddany! – była z całą pewnością Beatrice.

I wreszcie – tytuł obrazu. *Pierwsza lekcja miłości!* Kosmaty podtekst był nie do przeoczenia. Młoda kobieta – uczennica Howsome'a w sztukach miłosnych – będzie dbała o to dzieło z całym nabożeństwem, jakiego on, Strulovitch, by sobie życzył. Czyli? D'Anton albo uprawiał tutaj czysty sarkazm, albo w aluzyjny sposób zarzucał Strulovitchowi, że jego ojcowska troska jest podszyta jakąś lubieżnością.

Strulovitch chciał zakpić, a to z niego zakpiono.

Zaczął przemierzać salon tam i z powrotem, wymachując sobie listem przed twarzą, jakby się nim wachlował.

– Jeszcze zobaczymy – powiedział na głos.

W ogrodzie Shylock rozmawiał z żoną.

– Myślałem o tym – powiedział – że nasza dojrzała moralność uniemożliwia nam spontaniczne działanie.

– Jak to, mój miły?

– Weźmy na przykład tego Strulovitcha. Kim ja dla niego jestem? Widzę, jak mi się przygląda, kiedy myśli, że nie widzę. To jest spojrzenie, które zaczyna się w najgłębszych zakamarkach umysłu, a kończy sam nie wiem gdzie. Ono budzi mój niepokój. Nawet ty, najdroższa, nigdy nie patrzyłaś na mnie z takim natężeniem. Nie nazwałbym tego miłością. Ani podziwem. To przemożna ciekawość podobna do tej, jaką rodzic może czuć w stosunku do dziecka albo dziecko do rodzica, jakaś zraniona duma, jak gdyby wszystko, co robię – i co zrobiłem – rzutowało na niego genetycznie. Albo jestem dla niego podporą, albo rozczarowaniem. Nie potrafi być wobec mnie obojętny. Jestem nauką. Jestem przykładem. Błagam, Leo, powiedz mi, że dla ciebie nigdy nie byłem takim ciężarem. Ani dla Jessiki.

Wypowiedzenie imienia córki jak zwykle nie przyszło mu łatwo. Tyle do ukrycia, tyle do przemilczenia, tyle smutku. Czy Lea to słyszała? Czy z

właściwym sobie taktem wyczuwała, jak wiele kosztuje go to milczenie? I czy ją również wiele to kosztowało?

– W każdym razie – podjął na nowo po chwili ciszy – czuję się nieswojo w roli przykładu – sam nigdy bym tej roli dla siebie nie wybrał – i to przykładu, który jest nieustannie podkopywany. Ci Żydzi, Leo, ci Żydzi! Sami nie wiedzą, czy się mnie wyprzeć, opłakiwać mnie czy tłumaczyć. Tak jak nie wiedzą, czy powinni się wypierać albo tłumaczyć samych siebie. Czekają na jakiś znak, że nie są tak żałośnie bierni, jak się o nich mówi, a gdy ten znak się pojawia, rwą włosy ze wstydu. Strulovitch, jak mu się przypomniał, mówi: „Jesteśmy narodem na skraju zagłady. Możemy liczyć jedynie na siebie”. Ale ledwie Żyd podniesie rękę w samoobronie, zaraz opuszcza go odwaga. Lepiej, by nas zabijano, niżbyśmy zabijali, myśli sobie. Patrz, jak teraz chodzi po pokoju, obmyślając zemstę, której i tak nie ośmieli się wcielić w czyn. Temu człowiekowi brakuje zdecydowania, Leo. Powiedz mi, co mam robić – podburzać go czy dać mu spokój?

Czekał na jej odpowiedź. Gdy żyła, rozmawiali często i długo. Po jej śmierci jak gdyby przerwała się nić łącząca go ze światem. Chodził do synagogi, rozmawiał z ludźmi, ale to nie było to samo. Nie byli małżeństwem synagogowym. Rozmawiali o ideach, nie o wierze. Lea nigdy nie czuła się ograniczona konwenansem czy tradycją. Była jak źródło czystej, świeżej myśli. I dlatego gdy odeszła, gardło mu wyschło, a umysł uległ atrofii. Niczego już nie chciał oglądać, bo jaki miał pożytek ze wzroku, skoro nie mógł się z nią podzielić tym, co widział? Stał się głuchy na muzykę. Przestał czytać – dopóki nie zaczął tego robić na głos nad jej grobem. Wszelkie działanie wydawało mu się bezcelowe, godzinami siedział w miejscu, nie myśląc o niczym, w letargu podobnym nie tyle do żałoby, ile do nieistnienia. Czym było dla niego życie przed Leą? Nie pamiętał. Przed Leą nie było nic. Pogodził się z tym, że ich dom stał się piekłem dla jego córki, która nie była w stanie go ocucić ani zainteresować swoim życiem. Śmierć Lei uczyniła go złym ojcem. A jeśli był nim już wcześniej – jeśli żył tylko dla miłości, którą darzył żonę – to po śmierci tej zbyt ukochanej żony stał się jeszcze gorszym. Biedna Jessika, doświadczyła podwójnej straty. I nic dziwnego. Nie żeby próbował się usprawiedliwiać – ale nic dziwnego. A kiedy wreszcie odzyskał nieco ze swojej dawnej energii, powodem nie był nawrót ojcowskiej troski. Chciałby móc to sobie wmówić. Sobie i jej. *Odżyłem dla ciebie, Jessiko. Przypomniałem sobie o swojej powinności.* Lecz prawda była inna. To goje

tchnęli w niego nową energię. W ich pogardzie znalazł perwersyjną zachętę do życia.

To gniew, a nie miłość, popycha człowieka do działania.

Gdy podniósł wzrok, ujrzał Strulovitcha; chodził w tę i we w tę po swoim skrawku ogrodu, człowiek bez żony, z którą mógłby porozmawiać, zatopiony w myślach, bezgłośnie poruszający ustami.

Shylock czytał z nich bez trudu:

– Coś takiego zrobię...

Świetnie rozumiał jego frustrację. On też był kiedyś o krok od zrobienia „czegoś takiego”.

Jeszcze nie wiem co.

Strulovitch przynajmniej miał coś przed sobą. Jeszcze nie wiedział co. Shylock był skończony. Zrobił to, co zrobił, a tego, co mu pozostało, nie robi już nigdy.

Tęsknię za przyszłością, pomyślał.

– Powiedz mi – wrócił do rozmowy z Leą. – Mam go powściągnąć czy podsycać w nim gniew i pragnienie zemsty, za którą tęskni całe życie?

Zmarznięta ziemia, w której tkwiła Lea, wydała z siebie głęboki jęk.

– Dobrze więc – rzekł Shylock. – W tej sprawie, jak w każdej innej, będę się kierował twoim zdaniem.

– Co teraz zrobimy? Oto co zrobimy – powiedziała Plurabelle, wykonując kciukiem gest, który oznaczał: wyekspedujmy ich gdzieś daleko, pociągiem, statkiem, samolotem, czymkolwiek.

D’Anton miał wątpliwości.

– Na pewno chcemy rozsierdzić tego łajdaka?

– Żyda?

– Tak, bogatego Żyda.

– Tego izraelitę?

– Owszem, jego. Dusigrosza. Kogóż innego?

Roześmiali się. Nawet w chwilach zmartwienia przyjemnie było pożartować z Żyda.

– Zgubiłam wątek. Bądź tak miły i powtórz pytanie – poprosiła Plurabelle.

– Wyraziłem wątpliwość, czy rozsierdzanie Żyda to dobry pomysł.

– Masz na myśli tego nieubłaganego psa?

– Przestań, Plury!

- Muszę?
- Musisz. Pytam jeszcze raz: czy to dobry pomysł go rozsierdzać?
- Czy zależy ci na dobru twoich przyjaciół?
- Zależy mi na dobru Gratana. Wybacz, jeśli córka Żyda mniej dla mnie znaczy.
 - A dla mnie znaczy bardzo wiele. Nie pozwolę, by ta świnia, którą nazywa ojcem, ją osądzała.
 - Świnia, co gardzi świnia.
 - Świni wolno gardzić świnia. Ale ja nie o tym. Beatrice nie jest swoim ojcem, tak jak ja nie byłam moim.
 - Twój był, zdaje się, innym typem ojca.
 - Na pewno nie był Semitą, wilkołakiem, kastratorem ani krwiopijcą, jeżeli o to pytasz.
 - Mniej więcej to właśnie miałem na myśli.
 - Kocham ją mimo jej gruboustego ojca. Zakładam, że ma grube usta, chociaż go nie widziałam.
 - Grube i wilgotne. – D’Anton pilnował się, by nie spojrzeć na jej wargi.
 - Tak też myślałam. Ona za to ma pełne i zmysłowe.
 - Jak twoje.
 - Dziękuję. Ale skup się. Gratan ją kocha. Oczekuję, że ty też ją pokochasz.
 - A nie mogą tu zostać, dopóki ta burza nie minie?
 - Nie, bo nie wiadomo, czy burza minie, a poza tym nie chcę, żeby ten wielki nochal – zakładam, że ma wielki nochal, nie musisz odpowiadać – żeby on się dobijał do moich drzwi. Wiesz, jacy są dziennikarze – byłiby zachwyceni. Poza tym zakochani potrzebują trochę czasu dla siebie. Beatrice wygląda na zestresowaną. Już zdążyli się posprzeczać. Lada chwila stwierdzi, że popełniła wielki błąd. A wiesz, jaki jest Gratan. Raz nie dostanie, czego chce, i od razu zacznie sobie szukać nowej żony.
 - Ale jak ty to sobie w ogóle wyobrazasz? Przecież Gratan ma mecze. Musiałby wracać na weekendy.
 - A nie zawiesili go za hajlowanie?
 - To było chyba z rok temu.
 - Nie można się postarać, żeby znowu go zawiesili? Mógłby na przykład nazwać kogoś czarnuchem. Albo komuś przyłożyć.
 - O, nie wątpię. Ale później miałby do nas żal. Kolejne zawieszenie to mógłby być koniec jego kariery.

– W takim razie załatwmy mu urlop okolicznościowy. Znam wszystkich menedżerów piłkarskich. Nie ma wśród nich takiego, który nie chciałby się dostać do mojego programu. – Odrzuciła włosy do tyłu, świadoma tego, jaka czasem potrafi być. – Albo do mojego łóżka. Zaufaj mi, już mam tego faceta w kieszeni. Jak on się nazywa?

– Sam nie wiem, Plury – odparł D’Anton. Sytuacja się komplikowała. Nie mógł się już połapać w zawiłych współzależnościach. Jak to wszystko zaważy na perspektywach Barnaby’ego? Czy wyprawienie tamtych za granicę sprawi, że jemu, D’Antonowi, trudniej będzie omamić Strulovitcha obietnicą wsparcia jego starań o galerię sztuki w zamian za szkic Solomona Josepha Solomona? Nagle wszyscy wydawali się przegrani.

Nie był też pewien, jak odcięcie kochanków od wszelkiego towarzystwa poza swoim własnym wpłynie na ich uczucia względem siebie. Plury miała rację: Gratan łatwo się nudził. A Beatrice, gdy zabraknie intrygi, która ją zaprzętała, i ojca, z którym wojowała, zapewne dojdzie do wniosku, że Gratan jest mniej ciekawym rozmówcą, niż jej się pierwotnie zdawało. Może nawet znudzi się nim pod względem erotyczno-estetycznym i po namyśle dostrzeże niewątpliwe zalety obrzezania. Abstrahując od aspektu religijnego, D’Anton – miłośnik piękna we wszystkich postaciach – uważał, że ładny napletek to obcięty napletek. Jakim cudem Żydzi – naród zupełnie pozbawiony zmysłu piękna – doszli do tego wniosku bez niczyjej pomocy? Spodziewałby się po nich raczej czegoś odwrotnego – doczepienia napletka w miejscu, w którym natura go nie przewidziała. Zeszpecenia czegoś ładnego. Mógł się tylko domyślać, że na którymś etapie odrzucania świata starożytnego napotkali paru pogańskich koneserów męskiej nadobności. Czymkolwiek to tłumaczyć, wcale by się nie dziwił, gdyby Beatrice niebawem podzieliła jego punkt widzenia. A wtedy co?

Mogło się zdarzyć, że Gratan ulegnie jej namowom, Beatrice pojedna się z ojcem, po czym – wobec braku dalszych przeszkód – odbędzie się wielkie żydowskie wesele w Haddon Hall albo w Thornton Manor, a może nawet, zważywszy na labiryntowe kontakty Strulovitcha, w Chatsworth.

Z powodów, których nie umiał wysłować, taka perspektywa napawała go bezbrzeżnym smutkiem.

– Sam nie wiem – powtórzył.

– Muszę zauważyć – powiedział Shylock przy śniadaniu – że jest pan dzisiaj

potargany i jakiś niespokojny. Domyślam się, że słabo pan spał i że ma pan zamęt w głowie.

- Wystarczyło powiedzieć, że wyglądam fatalnie.
- Widywałem pana w lepszym stanie. Czy mogę jakoś pomóc?
- Dryfuję po morzu wahania.
- Wracać do portu czy płynąć dalej...
- O tym właśnie mówię.
- Jaki kurs najchętniej by pan obrał?
- Gdybym to wiedział, nie byłbym na morzu wahania.
- Niekoniecznie. Pańskie wahanie może wynikać ze względów praktycznych, a nie z braku chęci.

Kiedy sobie pójdziesz? – zastanawiał się Strulovitch. Dlaczego przyszedłeś i kiedy znikniesz?

Nie żeby naprawdę sobie tego życzył. W duchu wciąż podziwiał Shylocka i zasadniczo nadal zależało mu na jego przyjaźni, choć na co dzień, zwłaszcza wobec tego, co się działo z Beatrice, dawał mu się we znaki jego rygoryzm językowy, czy może rygoryzm moralny – albo po prostu ogólny rygoryzm żydowski.

– Moje wahanie – odparł z westchnieniem – nie wynika ani z braku chęci, ani ze względów praktycznych. – Cedził te słowa powoli, jakby kosztowały go wiele trudu. – To kwestia moralna. Moje prawa i przywileje jako żydowskiego ojca kontra prawa i przywileje mojej córki jako... hm, nie wiem kogo. Czy mam prawo ją ścigać i przywlec z powrotem do domu? Czy ona ma prawo uciekać z kim chce i dokąd chce? Czy wolno mi nalegać, aby wyszła za Żyda, a przynajmniej aby wzięła sobie najbardziej żydowskiego męża, jakiego jestem w stanie jej znaleźć? Czy jej wolno byłoby mnie ubezwłasnowolnić? A jej nowym znajomym – śmiać się ze mnie? Czy miałbym prawo odpłacić im się zawiązką, dziesięciokrotnie, a może stokrotnie, za pomocą wszelkich dostępnych środków? To również waży na moim niezdecydowaniu – jakiej broni użyć do zadania im bólu?

- Nie nazwałbym tego kwestią moralną – zauważył Shylock.
- Jest pan dzisiaj wyjątkowo pedantyczny. Czy pana także uraziłem?
- Ani trochę. Chcę tylko ustalić, że mówimy o tym samym, zanim się wtrączę.
- Jeżeli zamierza pan jeszcze pogłębić moją rozterkę, proszę tego nie robić. Boli mnie głowa.

– Nie pogłębię pańskiej rozterki. Przeciwnie, moja interwencja co najwyżej zagrzeje pana do walki.

– Do walki o co?

– O rekompensatę.

– Za co?

Shylock zawahał się tylko odrobinę.

– Za gwałt. Gratan Howsome wykorzystał pańską nieletnią córkę.

– Moja córka ma szesnaście lat.

– Kiedy pierwszy raz się z nią przespał, miała piętnaście. O ile wiem, w tym kraju to przestępstwo.

Strulovitch z trudem przełknął ślinę. Rozłożył dłonie na stole, jakby chcąc pokazać, że nie chowa nic między palcami. Najwyraźniej oczekiwał, że Shylock uczyni to samo.

– Skąd pan wie? – zapytał.

– Wiem i już. Chyba trochę za późno na kwestionowanie mojego *modus operandi*.

– Nie pytam o pański *modus operandi*, pytam o pańskie źródła. Właśnie wygłosił pan poważny zarzut. Muszę wiedzieć, czy to pewna informacja. Jak pan ją zdobył?

– Niczego pan nie zyska, zadając mi to pytanie. Lepiej pan zrobi, samemu się przekonując, czy mówię prawdę. Niech pan zajrzy do jej komputera. Do skrzynki pocztowej.

– Czytał pan jej maile?

– Sugeruję tylko, żeby pan to zrobił. Może to wbrew pańskim zasadom moralnym, ale przyznał się pan, że trochę już podczytywał.

– To wbrew moim zasadom moralnym.

– A to, że pańska córka uciekła z domu z dwukrotnie starszym od siebie mężczyzną, który spał z nią, gdy miała piętnaście lat? Jak to się ma do pańskiej moralności?

Katujesz mnie, Tubalu.

A jeśli Tubal kłamał?

Czy Shylock w ogóle wziął to pod uwagę?

Słyszałem, że twoja córka w jeden wieczór wydała osiemdziesiąt dukatów...

„Słyszałeś”, Tubalu? S ł y s z a ł e ś?!

Na podstawie zasłyszanej przez Tubala plotki Shylock osądził córkę i zarazem wszystkich weneckich gojów, co musiało się skończyć katastrofą. Nawet Otella trzeba było dłużej przekonywać.

Wbiłeś mi nóż w serce.

Czy taki był zamiar Tubala? Rozjuszyć przyjaciela do granic obłędu? Nie trzeba szukać motywu. Rozjuszenie przyjaciela samo w sobie jest motywem. Wypada natomiast zapytać, dlaczego Shylock tak skwapliwie nadstawił pierś pod ten nóż – równie skwapliwie, jak to później uczynił Antonio. Jeżeli idzie o głód własnej krwi, obydwaj – kupiec i Żyd – byli swoimi lustrzanymi odbiciami.

Co się zaś tyczy tego, czy Tubal mówił prawdę – sprawy zaszły zbyt daleko, by dało się to kiedykolwiek ustalić.

Niemniej Strulovitch, zbity przez Shylocka z pantałyku, nie mógł pozostać mu dłużny. Okrutna mściwość wezbrała w nim jak żółć.

– Nie przyszło panu nigdy do głowy, że Tubal mógł pana okłamać?

Shylock w mig podążył za tokiem jego rozumowania.

– Posądza mnie pan o powtarzanie fałszywych informacji? Przecież powiedziałem: niech pan włączy jej komputer i sam to zweryfikuje.

– Czy to znaczy, że pan żałował, że nie zweryfikował doniesień Tubala?

Shylock położył łokcie na kuchennym stole, oparł brodę na pięściach. Kłękcie boleśnie wrzynały mu się w szczękę, a przynajmniej tak to wyglądało. A może sobie to wyobrażam? – pomyślał Strulovitch. Nie zamierzał go jednak popędzać. Wystarczy milczenie. Żałował pan czy nie?

– Kiedy mi o tym powiedział, nie – rzekł Shylock, uznawszy wreszcie, że pora odpowiedzieć. Wciąż jednak podpierał brodę i dlatego mówił niewyraźnie. Zdawało się, że rozmyślnie utrudnia sobie wymowę. – Tubal powiedział mi to, czego się obawiałem, a gdy się czegoś obawiamy, trochę chcemy, żeby to się wydarzyło. Ale z perspektywy czasu, owszem. Z perspektywy czasu zastanawiam się nieraz, czy Tubal mógł maczać w tym wszystkim palce i czy straciłem córkę dlatego, że dałem mu wiarę. Nadal biorę za to hipotetyczną odpowiedzialność. Jestem zawieszony między żalem a poczuciem winy. Ale czemuż miałbym wątpić w jego słowa? Jessika uciekła. Wiedziałem to i bez Tubala. Ukradła rzeczy, których nikt inny by nie znalazł. Gdybym złapał go za kołnierz i okrutnie wytarnosił, jakie pomyslniejsze wieści zdołałbym z niego wyszarpać? Że wydała nie osiemdziesiąt, a sześćdziesiąt dukatów? Czterdzieści? Dziesięć?

– Takie drobiazgi nie są bez znaczenia. Czy moja córka miała piętnaście, czy szesnaście lat, kiedy Howsome się z nią przespał? Wiele od tego zależy.

– W takim razie niech pan sprawdzi w jej komputerze. Jestem tylko posłańcem.

– Tubal powiedziałaby to samo. Zdarzają się jednak sytuacje, kiedy posłaniec jest równie wstrętny jak nowina, którą przynosi. Bycie „tylko posłańcem” nie stawia człowieka poza wszelkim podejrzeniem. A jeśli Tubal był moralnie uwikłany w sprawy, o których donosił?

– Pan by wolał, żebym wykroił mu serce? Wcale nie jest powiedziane, że nie ma pan racji. Może to jego należało potraktować nożem zamiast Antonia. Ale od posłańca dowiaduje się pan przynajmniej, co o panu mówią. Trzeba więc chociaż w części dawać im wiarę. Jessika uciekła. Dokąd, ile tam wydała – to nieistotne.

– A małpa?

– Co z nią?

– Co jeśli Tubal ją zmyślił? Stworzył z własnych żydowskich lęków?

– Małpa była prawdziwa.

– Co jeśli źle panu życzył?

– Dlaczego miałby mi źle życzyć?

– Bo Żydzi są trochę diabłami, nawet wobec siebie.

– Małpa była prawdziwa.

Po godzinie Strulovitch wrócił do stołu czerwony na twarzy. Wyglądał, jakby pił. Tymczasem przeglądał tylko maile córki.

– Zabiję go.

Dobrze, pomyślał Shylock. Zobaczymy, czy wystarczy ci odwagi. Powiedział jednak co innego:

– Najpierw musi pan go znaleźć.

– *Oj, gewalto*, jesteśmy na Rialto – zażartowała Beatrice.

Gratan spojrział skonfundowany. Wokół zlewało się mnóstwo dźwięków – śpiewy gondolierów, okrzyki kelnerów, szum wzbierających kanałów, dzwonienie kościelnych dzwonów, szmer rozkładanych parasolek.

– Nie rozumiem.

– *Oj, gewalto*, jesteśmy na Rialto.

Nadal nic.

– Nieważne – rzuciła.

Nie żeby czuła się rozczarowana. (Ile razy powtarzała to sobie w jego towarzystwie?) Lecz skoro nie była rozczarowana, jak to świadczyło o jej oczekiwaniach? Czy od początku niczego się po nim nie spodziewała? A jeśli tak, to co ona tu w ogóle robiła?

(Ile razy zadawała sobie to pytanie w jego towarzystwie?)

Była już kiedyś w Wenecji, ojciec zabrał ją na Biennale, chodziła od pawilonu do pawilonu, słuchając, jak pomstuje na instalacje, filmy, białe płótna i ciemne pokoje, w których bezimienne kobiety krzyczą z bólu albo rozkoszy – na wszystkie te rzeczy, które jej się podobały. Wiedziała więc, jak to jest chodzić po Wenecji z naburmuszonym mężczyzną – ale i wiedziała, że niebo potrafi być tutaj bezchmurne, a mężczyzna może się naburmuszać z przyczyn estetycznych, a nie... No właśnie, dlaczego właściwie Gratan był naburmuszony? Czy już myślał o niej jak o swojej żonie? Usiadła pod ociekającą markizą i patrzyła na wodę wpadającą do wody. Westchnęła głęboko. Wenecję stać było na więcej – i w tym cały sęk. Poznała Gratana wystarczająco dobrze, by przestać się łudzić, że poza dziedziną seksu stać go na więcej. Nie mówiąc o tym, że byłoby miło mieć za towarzysza Żyda, który rozumie jej żarty – ale do tej myśli nigdy by się przed ojcem nie przyznała; nie dałaby mu tej satysfakcji. Choć pewnie i tak wyczytałby wszystko z jej miny, gdyby ją teraz ujrzał.

– Inni nie będą wiedzieli, o czym mówisz – powtarzał jej zawsze. – Nie

zrozumieją aluzji kulturowych. Pamiętaj: twój intelekt ma pięć tysięcy lat, a oni urodzili się wczoraj. Potrafią myśleć o jednej rzeczy naraz, ty – o dziesięciu.

– Ja chcę się z nimi tylko pieprzyć – odparowała kiedyś.

Dostała za to w twarz.

Tyle jej przyszło ze szczerości.

Zastanawiała się wielokrotnie, dlaczego jeszcze nie wezwała policji albo nie wytoczyła mu sprawy przed Trybunałem Praw Człowieka. Nie wolno podnosić ręki na dziecko dlatego, że użyło brzydkiego słowa.

A może uderzył ją tylko dlatego, że chciała się pieprzyć z chrześcijanami?

Cóż, wariat w końcu się dograł. Stało się to, czego najbardziej się obawiał. Uciekła z domu i właściwie wzięła sobie za męża (pewnie byliby już po ślubie, gdyby nie to, że on wciąż był żonaty) goja, który nie potrafił myśleć nawet o jednej rzeczy naraz. On sam to sprawił – jej szalony, paranoiczny ojciec.

Gdybym miała pewność, że jestem we właściwym miejscu z właściwym mężczyzną, podziękowałabym mu za to, pomyślała. Lecz wcale nie była tego pewna. Nie żeby czuła się nieszczęśliwa w ścisłym znaczeniu tego słowa. Przez te trzy dni, odkąd Plury i D'Anton wsadzili ich w samolot, Gratan zdążył pojąć, że Beatrice nie życzy sobie, by natychmiast się wymykał, ilekroć zostają sami. Mogła więc liczyć na jego towarzystwo, przynajmniej w takim sensie, w jakim *szomrim*, żydowscy strażnicy zmarłych, mogą liczyć na towarzystwo nieboszczyka. Poza tym deszczowa pogoda miała swoje zalety. Kluczenie po drewnianych kładkach na placu św. Marka, przesiadywanie w kawiarniach i łapanie kropli deszczu do filiżanek z kawą miało w sobie coś z przyjemności – w każdym razie dla niej. Gdyby to były zwyczajne wczasy z mężczyzną, który nie podoba się jej ojcu, uznałaby to za umiarkowane fiasko, nie pierwsze i nie ostatnie w jej młodym życiu. Lecz to nie były zwyczajne wczasy. Nerwowo wyczekiwali wieści. Mieli oczy dookoła głowy. Ojciec mógł zawiadomić Interpol. Gratan bał się, czy przypadkiem nie naruszył warunków umowy z klubem, który jego zdaniem szukał pretekstu do jej zerwania. Zaczął nawet bredzić o lekcjach włoskiego (wolne żarty: wciąż nie zdołał jeszcze opanować podstaw angielszczyzny) i dołączeniu do zespołu rezerw Venezii F.C. Kwaśno było też na lotnisku: Plury i D'Anton nie kryli niezadowolenia – początkowy entuzjazm Plury gdzieś wyparował – a Gratan oznajmił D'Antonowi, że jest zbyt stary, by traktowano go jak dziecko, na co tamten

odparł: „To przestań zachowywać się jak dziecko”. Skoro oboje tyle ryzykowali, to chyba było warto, nieprawdaż? Ona musiała zapomnieć o tym, że urodziła się pięć tysięcy lat temu, a on musiał stać się mężczyzną, z którym będzie chciała spędzić następnych pięć tysięcy lat. Musiał ją bawić i olśniewać; zainteresować się sztuką performatywną i rozumieć jej żarty; przyprawiać ją o drżenie kolan; postarać się, żeby była z niego dumna, gdy otwiera usta; być bardziej jak *mensch*. I co?

I nic.

– *Aj waj*, dlaczego opuściłam mój kraj?

Gdy ktoś dzwoni do jego drzwi, D’Anton rzadko sam je otwiera. Zbyt wiele czasu zajmuje mu ułożenie twarzy w coś na kształt uprzejmego wyrazu. Mężowi boleści pośpiech przychodzi z trudem. Poza tym D’Anton nie lubi niespodzianek. I dlatego ma pomocnika, który w razie potrzeby otwiera drzwi za niego. W Złotym Trójkącie nieczęsto się zdarza, by ktoś składał wizytę nieumówioną. Istnieje bowiem spore ryzyko, że gospodarza nie będzie w domu; poza tym drzwi frontowe dzieli zazwyczaj od parkingu długa żwirowa alejka. O wiele prościej dzwonić się i spotkać w restauracji. Między innymi dlatego D’Anton nie zainstalował sobie domofonu. Prawie nikt by go nie używał. Poza tym – i to był drugi powód – domofony są brzydkie. Przy drzwiach wisi dzwonek z plecionym sznurem, który po długich targach wydebił od furtiana klasztoru w Birmie. Lecz sporadyczni goście pociągają za sznur zbyt słabo, D’Anton zaś nie zamierza wywieszać ohydnej kartki z instrukcją.

Dziś pomocnik wziął wolne, by zaopiekować się chorym krewnym na wsi. (Mieszkańcy Złotego Trójkąta nie mówią o sobie ani że mieszkają na wsi, ani że w mieście). Toteż kiedy miło brzmiący birmański dzwonek, który nigdy nie brzmi, nagle się odzywa, D’Anton w swoim gabinecie podskakuje zaskoczony i poirytowany. Musi sam odbyć długą wędrówkę na dół, jak mnisi schodzący z gór na popołudniowe modlitwy. Zanim dociera do drzwi, dzwonek dzwoni jeszcze trzy razy. Jakiś niecierpliwy człowiek, stwierdza D’Anton. Niecierpliwy i źle wychowany. A zatem nie Barnaby i nie świadek Jehowy. Ktokolwiek szarpie za sznur, robi to z taką siłą, że dzwonek lada chwila się urwie.

– Już, już! – krzyczy D’Anton. – Szybciej nie potrafię.

W każdym razie nie w nepalskich pantoflach z zadartymi noskami w stylu

Ali Baby.

Odmyka zasuwę, otwiera drzwi i jego oczom ukazuje się Strulovitch.

Obaj panowie, którzy zasadniczo woleliby się nie oglądać, kierują wzrok w przestrzeń nad swoimi ramionami. Gdyby D'Anton był piratem z papugą, Strulovitch wpatrywałby się teraz w ptaka. Spojrzenie D'Antona sięga jeszcze dalej, jak gdyby za plecami Strulovitcha dojrzał jego dziadków w chustach i myckach, tratowanych kopytami kozackich wierzchowców, mrużących coś do swojego omszałego boga, podczas gdy ich rudery trawi ogień... Ale dość tego, mówi sobie.

Pierwszy odzywa się Strulovitch, trzymający w ręku kartkę papieru listowego, na którym D'Anton rozpoznaje swój nagłówek.

- Możemy to załatwić tutaj albo w środku.
- „To”?
- Jeśli zacznę wyjaśniać, zaczniemy to załatwiać. A więc tutaj?
- Nie boję się pana – oświadcza D'Anton.

Strulovitch wygładza miękkie koniuszki kołnierzyka koszuli.

- Wcale mnie to nie dziwi. Obaj jesteście ludźmi zasad.
- Człowiek zasad najpierw by się ze mną skontaktował, a dopiero potem dobijał do moich drzwi.

Strulovitch śmieje się.

– Dobijał? Czy dzwonek nie służy do dzwonienia? Nie mogłem się zaanonsować bardziej pokojowo. Pociągałem za sznurek tak, jak się wyskubuje nitkę wystającą z gobelinu.

- Niszcząc go w ten sposób... Widzę, że przeczytał pan mój list.
- A cóż innego mogłoby mnie tu sprowadzać? Oczekiwał pan odpowiedzi.

Oto jestem.

- Ale nie wziął pan ze sobą szkicu.
- A pan nie dał mi jeszcze tego, czego chcę w zamian.
- Mogę w tej chwili wypisać panu czek.
- Nie chcę czeku.
- A czego pan chce?
- Nie czego, lecz kogo.
- Nie ma tu pańskiej córki, jeżeli to o nią chodzi.
- Cieszę się, że przyznaje się pan, że wie o mojej córce. Oszczędzamy w ten sposób czas.

- Owszem, poznałem pańską córkę. Nieszczęsna dziewczyna.
- Nie panu to oceniać.
- Dlaczego – skoro sama mi opowiada o swoim nieszczęściu.
- Dlaczego miałyby o tym rozmawiać z panem? Kim pan dla niej jest?
- Mamy wspólnego przyjaciela. Ale pan to wie. Widział nas pan razem.
- Widziałem was tego samego wieczora, kiedy Beatrice uciekła z domu.

Trochę to dziwne, że pański przyjaciel postanowił spędzić go z panem, a nie z nią. Kim on właściwie dla pana jest?

„Chłopcem do towarzystwa?”, chce dodać, ale opiera się pokusie.

Lecz D’Anton i tak się domyśla, o co mu chodzi.

- Nie mam obowiązku tłumaczyć się przed panem z moich przyjaźni.
- A ja nie mam obowiązku odstąpić panu rysunku, o który pan prosi.

Ostatnią rzeczą, jakiej pragnie D’Anton, jest to, by Strulovitch panoszył mu się po domu, oceniając go, oglądając jego skarby i wyobrażając sobie, jak żyje; oczyma duszy widzi jednak nieszczęśliwego Barnaby’ego i pierwsze oznaki zazdrosnych dąsów o to, że pomógł Gratanowi czmychnąć do Wenecji ze swoją lafiryndą, a dla niego jak dotąd nie kiwnął palcem, nawet w sprawie zgubionej obrączki, o którą Plury lada dzień zacznie mu suszyć głowę. D’Anton maluje w myślach następującą scenę: zakrada się Barnaby’emu za plecy, delikatnie zakrywa mu oczy dłońmi i prowadzi go do ściany, na której wisi *Pierwsza lekcja miłości. Proszę, jest twój. Możesz go dać Plury, bo chcę, żebyście byli szczęśliwi razem. Ale oczywiście w podtekście to jest mój prezent dla ciebie.*

D’Anton chętnie przyjmuje wdzięczność w każdych ilościach, bez względu na jej pochodzenie. Ale wdzięczność Barnaby’ego jest szczególna.

- Proszę, niech pan wejdzie, skoro musi.

W domu nie ma holu. Wchodzą prosto do salonu obwieszzonego od linii oczu aż po sufit miniaturami portretowymi. Akwarele na kości słoniowej, pergaminie i porcelanie, olej na emalii bądź miedzi, wieczka tabakierek w złotych filigranowych ramkach. Nie widzę nic Kitaja ani Kossoffa, stwierdza Strulovitch, zerknąwszy bardzo pobieżnie.

D’Anton nie proponuje gościowi krzesła.

– Muszę pana rozczarować. Nie mogę panu w zamian zaoferować pańskiej córki.

- Czy to znaczy, że jej tu nie ma?
- Powiedziałem co innego. Ale nie, nie ma jej tutaj. Nigdy jej tu nie było.

Myślę, że mój dom by jej się nie spodobał.

Strulovitch wie, że D'Anton kwestionuje w ten sposób gust jego córki, lecz rozejrzawszy się wkoło, nie może odmówić mu racji.

– Zgoda, nie spodobałby się ani trochę. Ale skoro nie ma jej tutaj, to gdzie jest?

– Nawet gdybym wiedział, dlaczego miałbym panu mówić?

Strulovitch stuka palcem w list – wciąż trzyma go w ręku niczym wezwanie sądowe.

– Myśli pan, że tak bardzo mi zależy na tym szkicu?

– Komuś na nim zależy. Chyba że stroił pan sobie żarty.

– Ma pan rację – komuś zależy.

– Zapewne Gratanowi Howsome'owi. W dowód miłości do mojej córki. Nie może pan oczekiwać, że w tych okolicznościach tak po prostu się go pozbędę.

– A jeśli powiem panu, że się pan myli – że to dla kogoś innego? Czy wtedy wyznaczy pan za niego cenę?

Czy to jest dobry moment, zastanawia się D'Anton, by oznajmić, że jestem gotów na nowo przemyśleć sprawę jego galerii? Chyba jeszcze nie.

– Cena się nie zmienia. Chcę odzyskać córkę.

– W takim razie jest zbyt wysoka. Nie mogę zdradzić jednego przyjaciela, by dogodzić drugiemu.

– Nie powinien pan o tym myśleć jak o zdradzie przyjaciela. Pomoże pan ojcu.

– Ojciec może być takim samym łotrem jak każdy inny człowiek. Pańska córka, zanim poznała Gratana, była nieszczęśliwa. Nie wypada mi się wtrącać w ich życie, zresztą przecenia pan moje wpływy. Na pewno też nie zamierzam namawiać go do powrotu i przyjęcia pańskiej okrutnej propozycji.

– Mówi pan: „do powrotu”. To znaczy, że wyjechali.

– Pańska córka jest w wieku, w którym może sama za siebie decydować.

– Owszem, ale dopiero od niedawna – odpowiada Strulovitch.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Chcę przez to powiedzieć, że kiedy zaczęli, była młodsza.

– Nie wiem, co to znaczy „zaczęli”.

– Chętnie pana oświecę. Mam dowody na to, że Gratan Howsome sypiał z moją córką, zanim skończyła szesnaście lat. Nie muszę panu mówić, że to przestępstwo. Być może nie przyszło panu do głowy, że osoby trzecie, które w

świadomy sposób się do tego przyczyniły, narażają się na zarzut pomocnictwa, ale najwyższy czas, żeby pan o tym pomyślał. Tak czy inaczej, chcę, żeby moja córka stawiała się w domu razem z pańskim przyjacielem. To, jak wtedy postąpię, zależy w dużej mierze od pańskiej współpracy.

Ku ogromnej satysfakcji Strulovitcha D'Anton musi sobie znaleźć krzesło – a żadne nie wygląda, jakby służyło do siedzenia.

– Moim zdaniem – oświadczyła Plurabelle – on blefuje.

– To nie powinno być trudne: ustalenie, ile lat miała Beatrice, kiedy Gratan... – D'Anton nie dokończył. O pewnych rzeczach wolał nie myśleć, nawet jeśli dotyczyły ludzi, na których mu zależało.

– Nie twierdę, że blefuje w kwestii jej wieku – odparła zniecierpliwiona Plury. – Blefuje, grożąc, że to zrobi.

– Gratanowi?

– Nam wszystkim.

– Nie może nas winić za to, co zaszło między nimi. Skąd mieliśmy wiedzieć, ile lat ma Beatrice i jakie Gratan ma wobec niej plany?

– Ja wiedziałam.

– Ile ma lat?

– Nie pytałam jej o wiek. A gdybym wiedziała, pewnie nic bym z tym nie zrobiła. Sama pierwszy romans z żonatym mężczyzną miałam jako dwunastolatka.

– No cóż...

– Ale wiedziałam, że sypiają ze sobą. Dałam im pokój.

– To jeszcze nie przestępstwo.

– Chyba tak, skoro wiedziałam.

– Przed chwilą mówiłaś, że nie wiedziałaś.

– Ale co będzie, jeśli każą mi to udowodnić? Nie chcę tutaj policji, D'Antonie. Z wielu powodów. Domyślam się, że ty też nie.

– Plury, ja nie mam nic do ukrycia.

– To ty ją tu sprowadziłeś. Żydóweczkę dla Gratana, któremu zachciało się Żydóweczki. Bawiło cię to. Mnie też.

– Owszem, bawiło, ale nic poza tym. Nie sądziłem, że wyniknie z tego nie wiadomo co...

– A wynikło wiadomo co. Czy to będzie twoja linia obrony? Życzę powodzenia. Zwłaszcza gdy wyjdzie na jaw, że znalazłeś ją na uczelni, na

której masz wykłady.

D'Anton skrzywił się na to ostatnie słowo.

– Nie złamałem regulaminu. Nie znalazłem jej dla własnej przyjemności. W ogóle jej nie „znalazłem”. Po prostu tam była. Przyznaj, że trudno ją przeoczyć.

– Co ma piernik do wiatraka? Trafisz przed sąd i nikogo nie będzie obchodziło, czy przestrzegałeś regulaminu uczelni, komu stręczyłeś Beatrice ani czy trudno ją było przeoczyć.

– Stręczyłem!

– Obudź się, D'Antonie! Tak to będzie wyglądało. Nie zmyjesz z siebie tego błota. Im bardziej skandaliczne zarzuty, tym chętniej ludzie dadzą im wiarę. Może ci się wydawać, że jesteś ponad to, ale co ja mam powiedzieć? Co się stanie z moją reputacją, z moim programem, z Dzwonnica, jeżeli oskarżą mnie o prowadzenie domu uciech dla pedofilów?

– Daj spokój!

– A co się stanie z twoją reputacją, jeżeli oskarżą cię o to, że mi pomagałeś? Będą ci wymyślać od alfonsów, D'Antonie. Ten kraj uwielbia polowania na czarownice. Prasa straszy ludzi zbroczeniami czyhającymi za każdym rogiem. Napiszą, że stręczyliśmy nieletnie. Gratan pożegna się z karierą. Ciebie zlinczują w Internecie. A Barney pewnie mnie rzuci.

– Co proponujesz?

– Każmy Gratanowi wracać. Ty mu każ. On się ciebie słucha.

– I co dalej?

– Niech się zachowa po męsku.

– A jeśli przypłaci to trzyletnim więzieniem? Dlaczego miałby ryzykować?

– Choćby po to, żeby nam pomóc. W zamian za moją dobroć i wszystko, co zawdzięcza tobie, cokolwiek to jest. Bo to on nas w to wpakował. A jeśli wróci, być może ten potwór nie złoży doniesienia.

– Myślisz, że wybaczy i zapomni? Plury, to nie jest człowiek, który wybaczają i zapomina.

Plury zastanowiła się. Przez całą rozmowę miała przerażone spojrzenie, zapuchnięte oczy i usta nabrzmiałe bardziej niż kiedykolwiek; teraz podobna była do postaci ze starożytnej tragikomedii, o twarzy zniekształconej rozpaczą. Chwyciła D'Antona za rękaw.

– Może odpuści, jeżeli Gratan zgodzi się na jego warunki.

– O czym ty mówisz?

Środkowe i wskazujące palce obydwu jej dłoni same złożyły się w nożyczki. Można by pomyśleć, że widziała ten gest w wykonaniu Shylocka, tak wiernie go odtworzyła.

– Ciach, ciach.

Odpowiedź Gratana na esemes D'Antona, który wzywał go do powrotu i stawienia czoła sytuacji, była natychmiastowa i konkretna: „Chyba ci odbiło”.

D'Anton odpisał mu, że nie powinien się tak zwracać do kogoś, kto zawsze troszczył się o jego dobro.

Na co Gratan, że każda przyjaźń ma swoje granice.

D'Anton zapytał, co na temat powrotu sądzi Beatrice.

Przyjaciel odpowiedział: „Nie pytałem”.

D'Anton chciał wiedzieć dlaczego.

„Rzygam nią” – odpisał Gratan.

„Z jakiegoś konkretnego powodu?”

„Mówi do mnie w jakimś obcym języku”.

„W jakim?”

„Skąd mam wiedzieć. Obcym. Żydowskim chyba”.

„A nie mógłbyś przynajmniej odesłać jej do domu?”

„Nie ma mowy. Jest za dobra w łóżku. Tylko wtedy przestaje gadać”.

D'Anton zrozumiał, że Gratan Howsome kategorycznie wyklucza przejście na wiarę żydowską przez obrzezanie.

– I co teraz? – zapytała Plury.

Ona, D'Anton i Barney siedzieli w pubie w Manchesterze. Nie chcieli omawiać swojej sprawy przy świadkach w Złotym Trójkącie. Wybrali miejsce, w którym nikt nie zrozumie słowa „obrzezanie”.

– Sprawdzamy, jak daleko Żyd się posunie – powiedział D'Anton.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – wtrącił Barnaby, ku zdziwieniu własnemu i towarzyszy. Zwykle podczas narad wojennych z Plury i D'Antonem prawie się nie odzywał. Jego rola była inna: poprawiał im nastrój swoją miłą obecnością. Tym razem jednak zagrożone było także jego dobre imię. Jeżeli Dzwonnica była burdelem, to kim był on? Nie podobała mu się również bezkarność Gratana, mimo że miał bardzo mgliste pojęcie o

charakterze jego przewiny. Gratan coś przeskrobał i w nagrodę poleciał do Wenecji; on, Barnaby, nic nie przeskrobał, a musi siedzieć w Cheshire i znosić tę nerwówkę.

Nie był to zresztą jedyny zawód, jaki sprawił mu D'Anton.

– Kiedy włożysz ten pierścionek, który ode mnie dostałeś? – zapytała Plury sekundę po tym, jak usiedli ze swoimi drinkami. – Przysięgałeś, że będziesz go nosił do końca swych dni, a ostatni raz widziałam go tydzień temu.

Barnaby wbił wzrok w D'Antona. Czy nie zaplanowali tego w najdrobniejszych szczegółach? D'Anton miał spojrzeć na lewą dłoń, na którą, żeby go nie zgubić, włożył pierścionek po tym, jak odebrał go od „swojego polerownika”, a następnie z doskonale udawaną zgrozą stwierdzić, że go tam nie ma, Bóg jeden wie, co się z nim stało, musiał się zsunąć i wpaść do studzienki ściekowej albo pod koła autobusu, bo on, D'Anton, ma mniejsze palce niż Barney. „Dałbym sobie uciąć lewą rękę, żeby go dla was odzyskać” – miał powiedzieć, a wtedy, wśród gęstych przeprosin, obietnic zadośćuczynienia, łez Barnaby'ego i tym podobnych, Plury objęłyby obu i oznajmiła, że głęboka, bratnio-siostrzana więź, która jest i oby zawsze była ich udziałem, znaczy nieskończenie więcej niż głupie świecełko. Lecz D'Anton, zaprzątnięty losem Gratana, zapomniał swojej kwestii; zapatrzył się w przestrzeń, by po chwili zrobić coś, co było do niego całkiem niepodobne: ofuknął Barneya za marnowanie jego czasu i usadził Plury groźnym spojrzeniem.

– Później z tobą pogadam – zwróciła się do Barneya.

(Szkic był mu teraz potrzebny bardziej niż kiedykolwiek).

D'Antonowi zrewanżowała się równie groźnym spojrzeniem.

Czy istnieje między nami jakaś rywalizacja w związku z tym pierścionkiem? – zadała sobie w duchu pytanie, a odpowiedź, która się nasunęła, bardzo jej się nie spodobała.

Tak oto ich piękny świat wzajemnej życzliwości i zrozumienia, nieraz nękany problemami, lecz za każdym razem odkupiony smutkiem, zaczął się sypać pod naporem gorącej krwi. I dlatego też Barnaby – bezspornie jedyna niewinna ofiara ostatnich wydarzeń – postanowił zabrać głos.

– Moim zdaniem – kontynuował – Żyd nie odpuści. Nie słyszałem o Żydzie, który by odpuścił. Im się wydaje, że ustępując, tracą twarz. To wbrew ich religii. Mój ojciec znał wielu Żydów i powiedział mi to samo. Oni mają serca z kamienia. Spróbujcie przekonać Żyda do zmiany zdania – równie dobrze

możecie stanąć na plaży i namawiać przypływ, żeby się cofnął. Jeśli Gratan nie wróci i nie weźmie tego na klatę, to żeby zaspokoić Żyda i jego żądę krwi, będziemy musieli mu podsunąć zastępczego Gratana.

Plury była zaskoczona rozległą wiedzą Barneya o Żydach i zarazem zbita z tropu jego rozumowaniem.

– Zastępczego? Wydaje mi się, że mamy tylko jednego Gratana i jest to, niestety, Gratan przestępczy.

Zaczynam mieć dość ich obu, pomyślała. Nie tylko zresztą ich. Wszystkich mężczyzn. Może sama powinna była uciec z Beatrice?

– Chodzi mi o kogoś, kto by go zastąpił – odparł Barney.

– Zastąpił Gratana? – włączył się D'Anton.

– Tak. W oczach Żyda.

– Musisz nam to wyjaśnić – rzekła Plury. – Tylko powoli.

Barnaby miał wrażenie, że jaśniej się już nie da.

– Chodzi mi o kogoś, kto wszedłby na miejsce Gratana. O kozła ofiarnego. O dublera. O człowieka, któremu Żyd będzie mógł zrobić to, co chce zrobić Gratanowi.

– Którego będzie mógł obrzezać? – D'Anton nie był pewien, czy to zapytała Plury, czy on sam. Plury też nie była pewna – tak równoczesna była ich konsternacja.

– Tak – potwierdził Barnaby. – Przecież o to mu chodzi.

– Skarbie – zaczęła Plury – jemu nie chodzi o to, żeby dla frajdy obrzezać pierwszego lepszego. On chce obrzezać Gratana po to, żeby Beatrice miała męża Żyda.

– Albo żeby na dobre go odstraszyć – wtrącił D'Anton.

– Wiem. Nie jestem głupkiem, za którego mnie macie. Ale przecież niezależnie od tego, co postanowi Beatrice, zgodzicie się, że to dla niego kwestia honorowa. Jemu nie chodzi o napletek, bo na co to komu – zwłaszcza napletek Gratana? Jemu chodzi o zasadę. Jak i od kogo – to dla niego nieistotne. Żydzi nie dbają o to, kto spłaca dług, byle był spłacony. Trzeba mu tylko dać to, czego chce, a idę o zakład, że się od nas odczepi. A skoro nie możemy dać mu Gratana... musimy dać mu kogoś innego.

Zapadło głucho milczenie. Nawet w pubie zrobiło się jakby ciszej.

– Siebie w ogóle nie proponuję, choć zrobiłbym dla was wszystko – podjął znowu Barnaby. – Mdleję na samą myśl o krwi.

– A ponieważ mnie wyklucza moja płeć... – zaczęła Plury.

– Wychodzi na to, że ja – stwierdził D’Anton.

Powinniście częściej siedzieć po ciemku, mawiał D’Anton studentom, którzy przychodzili posłuchać, jak myśli na głos. Nie były to ani wykłady, ani konwersatoria. Słowo „konwersatorium” w jego odczuciu sugerowało niewystarczający dystans między nim a studentami. Nie jest dobrze, mówił dalej, żyć w świecie zbyt jasnym. Kiedy mówię, że spędzacie za dużo czasu wpatrzeni w ekrany, nie chcę, żebyście pomyśleli, że jestem moralistą albo luddystą. Martwię się jedynie o wasz zmysł estetyczny. Światło należy otaczać odpowiednią czcią, tak jak czcili je wielcy malarze pokroju Leonarda i Caravaggia, rozumiejący, że światło pozwala uchwycić sens, oddzielić pospolitą ciemność rzeczy od jasności, która towarzyszy zrozumieniu i umiejętności niuansowania. Gdy wszystko tonie w świetle, tracimy wyczucie piękna i głębi.

Czy ktokolwiek go słuchał?

Jedna osoba na pewno.

– W kontekście światłocienia nie wspomniał pan o Rembrandcie – powiedziała spod wysoko podniesionej dłoni. – Czy zgodzi się pan, że Rembrandt, chyba jak żaden inny malarz, traktował światło jako narzędzie wglądu w ludzką psychikę?

To była Beatrice. Widział ją teraz wyraźnie w mrokach pamięci: złote bransoletki tańczące na przegubach dłoni, jak gdyby podniosła rękę, by zatrząść tamburynem; jej własna przyrodzona ciemność rozjaśniona jego spojrzeniem w głąb siebie – swoistym rachunkiem sumienia. Czy to wtedy zaświtało mu, że oto ma przed sobą idealną zabawkę dla Gratana? Czy ona była Zuzanną ze wspaniałego obrazu Rembrandta, a on – zuchwalszym ze starców? Scena ta nie wynikała w żadnym razie z jakiejś chuci, którą sam by w sobie dostrzegął; musiał być jednak przynajmniej wyobrazić sobie chuć, jaką ta dziewczyna mogła rozbudzić w innym mężczyźnie – w końcu z jakiegoś powodu ją wybrał. A skoro tak, to czy nie był cichym współnikiem erotycznej przygody – alfonsiem, jak nazwała go Plury?

Ile razy w ostatnich dniach zarzucał się na dno własnej duszy i wyławiał z niej słowo „stręczyciel”?

Siedział w mroku – tym, który roztaczał, będąc mężem boleści, oraz tym bardziej prozaicznym, kontrolowanym za pomocą pstryczka w ścianie – i dumał.

Życzyłby sobie, aby jego powieki były grubsze i mniej przejrzyste. Czytał, że tylko napletek i wewnętrzne wargi sromowe mają cieńszą skórę niż powieki, lecz marne to było pocieszenie, skoro światło nie docierało do niego ani przez jedno, ani przez drugie.

Światło, które do niego docierało – nawet gdy robił, co mógł, by się przed nim osłonić – było fioletowe, w kolorze ametystu. Z tego powodu rzadko kupował przyciski do papieru czy miniatury z ametystem: kamień ten był jak na jego gust zbyt intensywny, jego blask zbyt pałący. Ametystowy był kolorem jego neurastenii, barwą jego antypatii, zaprzeczeniem jego smaku. Strulovitch był jedną z tych antypatii, aczkolwiek nie umiałby powiedzieć, co tu było pierwsze, antypatia czy ametyst. Czy Strulovitch jako człowiek był ametystowy? Czy połysk jego skóry miał w sobie coś z fioletowej twardości tego minerału? A może to jego głos raził nadwątłone nerwy D’Antona nadmiarem światła? O wiele łatwiej byłoby wyjaśnić, dlaczego Strulovitch budzi w nim odrazę moralną. Mierziło go, że Strulovitch kupuje i sprzedaje dzieła sztuki. D’Anton wprawdzie robił to samo, lecz u niego wynikało to z umiłowania sztuki; handlował nią dlatego, że ją kochał. Strulovitch natomiast, w jego odczuciu, kochał sztukę miłością przygodną, o ile w ogóle ją kochał, a źródłem zachwyty był dla niego końcowy rachunek piękna. Ta ocena nie wzięła się stąd, że Strulovitch coś powiedział, ani nawet z tego, co D’Anton słyszał lub zaobserwował na temat jego praktyk jako konesera i nabywcy dzieł sztuki. Strulovitch był po prostu mniej wyrafinowany. Istnienie nie bolało go tak, jak bolało D’Antona. Nie miał w sobie tej udręki. Piękno nie płynęło w jego żyłach. Gdyby zginęło ze świata, czy odbiłoby się to jakoś na zachowaniu Strulovitcha? D’Anton nie wyobrażał sobie istnienia bez dotkliwej męki uczuć. Gdyby całe piękno nagle zniknęło, odrodziłoby się w jego sercu. A Strulovitch? Nawet by nie zauważył. Był zbyt pochłonięty materialną stroną rzeczy. A to, co materialne, miało w oczach D’Antona kolor ametystu.

Również Beatrice. Mgiełka włosów jak fuksja, spojrzenie – błysk morwy, słowa jak śliwki w syropie.

Czy właśnie tym zachwycił się Gratan – tą jej intensywną, pulsującą obecnością? Zuchwałą namacalnością?

Inaczej być nie mogło.

Lecz skąd on, D’Anton, tak dobrze wiedział, co zachwyca Gratana?

Był koneserem rzeczy małych: portretowych miniatur, ozdobnych przycisków, drobnych wyrzutów sumienia. Z usposobienia wstrzemięzliwy,

był jednak chciwy wytwornej samoudręki – chciwy tak, jak potrafią być chciwi tylko ludzie próżni. Chłostał się w myślach za to, że ma dużo pieniędzy; za swoje wykształcenie; za wyrafinowany gust; za wszechstronne uzdolnienia. Ludzie zwracali się do niego o wsparcie, a on nie zawsze dawał im tyle, ile chcieli. Albo dawał zbyt wiele. W ametystowym mroku własnego kapryśnego egotyzmu liczył swoje niepowodzenia; w jednym, niczym w lustrze, zdawały się odbijać wszystkie pozostałe – zbyt silnie współodczuwał przypadłości tych, których kochał. Czy słabość Gratana do Żydówek była przypadłością? I czy on także, za fioletowymi żyłkami powiek, pielęgnował w sobie słabość do żydowskiego kolorytu? Czy Strulovitch był nie tyle antypatią, ile obiektem wypaczonego podziwu?

Nie nazwałby tego pożądaniem. *Aż dotąd, nie dalej!* Podziw był określeniem idącym wystarczająco daleko. Lecz skoro żywił jakiś ukryty, nieświęty podziw, do którego się nie przyznawał, oznaczało to, że wyrządził Gratanowi krzywdę – pokierował go tam, dokąd sam nie miał odwagi pójść. Jestem chłopakowi winien jakieś zadośćuczynienie, pomyślał i poczuł dreszcz owej udręki, do której Strulovitch, jego zdaniem, nie był zdolny.

W szkole uwielbiał czytać żywoty chrześcijańskich męczenników, wydierał nawet ilustracje i wieszał je sobie na ścianach w pokoju. Jednym z jego ulubieńców był święty Wawrzyniec, upieczony żywcem na żelaznych rusztach. D'Anton potrafił bez trudu przywołać słynny obraz Tintoretta ukazujący męczeństwo Wawrzyńca: jasno oświetloną ofiarę i mrok, z którego wychylają się dżgający ją okrutnicy. Według legendy święty Wawrzyniec domagał się od swoich katów, aby przynajmniej upiekli go jak należy. „Obróćcie mnie – miał powiedzieć. – Po tej stronie już doszedłem”.

D'Antona pociągały katusze. Czy to znaczyło, że pociągają go również kaci? Wyobraził sobie, że prosi Strulovitcha, by go obrócił.

– Naprawdę jesteś gotów to zrobić? – spytała Plurabelle.

D'Anton zamknął oczy. Czasem słowa były zbędne.

– Jesteś święty człowiek – orzekła.

Pokręcił głową, wciąż nie otwierając oczu.

Siedząc w saloniku noszącym wyraźne piętno jego gustu – nie mogło być inaczej, gdyż Plury, jego zdaniem, była go całkiem pozbawiona – uzgodnili brzmienie apelu mającego ułagodzić potwora, który zagrażał dalszemu trwaniu ich wspólnej idylli.

Plurabelle zastanawiała się, czy apel nie powinien zostać poświadczony notarialnie. D'Anton uważał, że nie ma takiej potrzeby. Wyraził przekonanie, że wystarczy krótki list sporządzony na jego papierze. Kto jak kto, ale Strulovitch z pewnością nie będzie kwestionował jego nieposzlakowanej uczciwości. Napisał:

Obiecuję dopilnować, aby otrzymał Pan zadośćuczynienie. Niniejszym osobiście ręczę za powrót Gratana w ciągu dwóch tygodni. (Plury proponowała tydzień, D'Anton – miesiąc. Dwa tygodnie były kompromisem). Jeżeli do tego czasu nie podda się karze, niech Pan ją wymierzy piszącemu te słowa. To jedyna łaska, o jaką Pana proszę, i mam szczerą nadzieję, że na tym sprawa się zakończy.

Po czym podpisał się esem-floresem, który Strulovitch znał już skądinąd.

Żałował, że nie może ponadto napomknąć o *Pierwszej lekcji miłości* („To jedyna łaska, o jaką Pana proszę, choć nie obrazę się, jeśli dorzuci Pan od siebie szkic Solomona”), lecz tamtą sprawę należało koniecznie utrzymać w tajemnicy przed Plury.

Westchnął. Ależ był zmęczony uwikłaniem w cudze miłości. Żałował, że poznał ich wszystkich ze sobą. Wysoka była cena przyjaźni.

– Naprawdę jesteś święty człowiek – powtórzyła Plury, gdy jej pokazał, co napisał. – Ale żaden święty, o którym uczyłam się w szkole, nie miał takiego daru słowa.

Jakiś wrodzony odruch uczciwości – a może zwykłe zniecierpliwienie – kazał mu odrzucić te pochwały.

– Gdybyś wiedziała o mnie więcej – odrzekł – nie mówiłabyś tak.

Plury spojrzała zaintrygowana.

– Powiedz.

Wejrzał głęboko w jej niespokojne oczy.

– Czy mogę liczyć na twoją całkowitą dyskrecję?

– Przysięgam – odparła – na naszą przyjaźń. I na świętą melancholię, która nas łączy.

– Nikomu ani słowa, dobrze? Nawet Barneyowi.

– Ani sylaby, nawet jemu.

Gdy to powiedziała, przyciągnął ją do siebie, niczym kochanek, i wyszeptał jej na ucho szalone słowa.

Każdy, kto znał Plury, bardzo by się zdziwił, widząc ją w tamtej chwili. Odrzuciła głowę i ryknęła śmiechem. Czyżby D'Anton na zawsze wyleczył ją

ze smutku?

– Nie mogę się doczekać – mówiła z przerwami, krztusząc się od nieczęstej wesołości – aż zobaczę minę tego krwiopijcy.

– Masz na myśli tego Żyda?

– Tak, izraelitę.

– Starozakonnego.

– Mordercę Chrystusa, zgadza się. Tego z garbatym nosem.

– Plury, zmiłuj się! – błagał ją ze śmiechem.

Od wielu miesięcy w Utopii nie słyszano takiego rozbawienia.

Ponieważ chciała mieć pewność, że apel trafi do rąk adresata; ponieważ czuła się co najmniej tak samo winna jak D'Anton; ponieważ chciała ujrzeć diabła na własne oczy; i ponieważ szykowała pewną dodatkową atrakcję, Plurabelle osobiście zajęła się doręczeniem listu. Niewielką odległość między swoim domem a rezydencją Strulovitcha – sama była zdziwiona, jak bliskimi są sąsiadami – pokonała oplem dozorczy. Nie umiała sobie wytłumaczyć, dlaczego nie wzięła porsche albo przynajmniej volkswagena garbusa; w każdym razie widok mercedesa na podjeździe sprawił jej przykrość.

Wzdrygnęła się nerwowo, gdy drzwi otworzył jej Strulovitch we własnej osobie. Dłoń, którą odebrał od niej przesyłkę, dosłownie ją zmroziła. Było to kolejne zaskoczenie – spodziewała się raczej ognia piekielnego. Wyobrażała sobie Strulovitcha jako człowieka o twarzy diabła i rękach pokrytych łuskami. Nie była przygotowana na podmuch lodowatego zimna. Nic dziwnego, że biedna Beatrice uciekła z domu. Dobrze zrobiłam, pomyślała, ofiarowując jej ciepły kąpiel, i dobrze robię, nadal jej pomagając. Niech Bóg ma nas w swojej opiece.

Lecz w jednym się pomyliła. Człowiekiem, któremu wręczyła propozycję D'Antona, nie był Strulovitch.

Był nim Shylock.

Choć przywykł do jej nieobecności – dni spędzała na uczelni, wieczory diabli wiedzą gdzie – Strulovitchowi zaczynało brakować Beatrice. Owszem, gdy przebywali w jednym pomieszczeniu, od razu zaczynali się sprzeczać, ale czy sprzeczki nie są przejawem miłości? Gwoli prawdy, nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek się nie kłócili, ale odkąd Kay doznała udaru, ta wojna, której na drugie imię miłość, jeszcze się nasiliła. Należało więc rozważyć delikatną kwestię: czy aby córka nie stała się dla niego kimś w rodzaju żony?

Odpowiedź musiała być twierdząca, ponieważ odkąd Beatrice czmychnęła z domu, zaczął spędzać więcej czasu z Kay. Czy powodem była samotność? Poczucie winy? Chyba obie rzeczy naraz. Ale też jego umysł od zawsze miał w zwyczaju myśleć obie rzeczy naraz. To dlatego Strulovitch na przemian czuł i nie czuł się Żydem. Żydostwo było dla niego wszystkim – chyba że akurat nie było. Na tym polega słabość żydowskiego umysłu – o ile nie to jest jego siłą. Jeżeli chodzi o Kay, to zaliczył wszystkie możliwe uczucia, choć nieraz wydawało mu się, że nie czuje nic. Nieczucie miało swoje zalety; dzięki niemu mógł się pozbierać i pomóc pozbierać się Beatrice. Ale jeśli nie pomógł Beatrice, to oznaczało, że zaprzepaścił połowę szans, jakie zawdzięczał temu, że nie czuł nic do Kay. A ponieważ wiele wskazywało, że nie zdołał pomóc Beatrice, musiał zwrócić Kay to, co jej się należało.

Po wizycie u D'Antona i przedstawieniu swojego ultimatum wrócił do domu i od razu poszedł do niej, by z nią posiedzieć. Zachowywał się tak, jak gdyby żona niecierpliwie wyczekiwała najnowszych wieści. Westchnął głęboko i przeciągle. Jakby mówiąc: „Daj mi chwilkę, niech odsapnę”. Wreszcie oznajmił:

– Będziemy musieli poczekać i zobaczyć, co z tego wyjdzie.

Mimo obaw o jej płuca okna były u niej zawsze otwarte, bez względu na pogodę. Ilekroć któraś z opiekunek je zamknęła, skutecznie komunikowała innej, że należy je otworzyć. Przekazawszy jej wieści, Strulovitch siedział w

milczeniu i patrzył na powiewające zasłony, jakby ze wszystkich rzeczy w pokoju tylko one były warte uwagi. Zdziwił się, gdy jej dłoń, którą trzymał bezmyślnie, zacisnęła się delikatnie na jego palcach. Odwrócił wzrok od okna i spojrzał na nią. Czy rozumiała go? Wyczuła w nim niepokój? Wiedziała, że Beatrice gdzieś przepadła?

– Wszystko w porządku, najdroższa? – zapytał i, co dziwne, to jego własne słowa, nie żaden jej gest ani spojrzenie martwych oczu, sprawiły, że popłynęły mu łzy. Czy płakał nad sobą?

Wyłączał przy niej wszystkie zmysły, cały aparat pamięci i uczuć, bo inaczej nie mógłby funkcjonować, a jaki by to miało sens, gdyby obydwójce znajdowali się w tym politowania godnym stanie? Gdyby pozwalał sobie pamiętać, za co ją kochał, siedziałby u niej i szlochał od rana do wieczora, przytulony do jej nóg. Pamiętać znaczy umrzeć; aby przeżyć, trzeba zapomnieć.

Lecz teraz nazwał ją „swoją najdroższą” i przez chwilę znów nią była; był nawet gotów uwierzyć, że on znów jest jej najdroższym.

A jeśli rzeczywiście nim był – jeżeli schowana gdzieś głęboko pamięć o uczuciu, jakim go darzyła, drgnęła niczym te żółte zasłony – czy należało się z tego cieszyć? Czy wydobyć na wierzch takiego wspomnienia mogło jej wyjść na dobre? Czy może ona także by zapłakała, gdyby potrafiła?

Ścisnął mocniej jej palce. Nie miał prawa jej narazić, lecz mimo to zaryzykował.

– Ładnie dziś wyglądasz, kochana – powiedział i pocałował ją w skroń.

Tym razem palce nie drgnęły. Jeżeli wcześniej poczuła to samo co on, jej reakcją było ponowne odrętwienie – bo tylko w ten sposób dało się to jakoś znieść.

– Tak – powiedział – poczekamy i zobaczymy, co wyniknie z tej wizyty.

Siedział przy niej ze spuszczoną głową, pozwalając, by chłodne powietrze muskało mu policzki. Był coś winien tej kobiecie, której martwą dłoń trzymał w swojej. Dała mu kilka szczęśliwych lat. Dała mu córkę. Dzięki niej pojednał się z ojcem, dzięki niej – z tego i z wielu innych powodów – poprawiły się jego relacje z matką. Kolejni ludzie, którym był coś winien. Od śmierci matki minął już ponad rok – co w tym czasie zrobił, by uczcić jej pamięć? Plan otwarcia galerii imienia jego rodziców spalił na panewce. Uległ D’Antonowi praktycznie bez walki. Był defetystą – niestałym synem, ojcem, obrońcą wiary. Gdy tak się nad sobą pastwił, jego serce kamieniało dla D’Antona.

Czy mogło dla niego skamienieć jeszcze bardziej? Serce zawsze może

skamienieć bardziej.

D'Anton: antysemita, który wykradł mu córkę, uniemożliwił oddanie hołdu rodzicom i ponosił odpowiedzialność – przez skojarzenie, przez domniemanie, przez rzutowanie wstecz, przez prosty fakt istnienia jemu podobnych – za opłakany stan jego żony.

– Gdybym mógł, tobym go zabił – oświadczył.

Wydało mu się, że w jej oczach mignęło przerażenie. Wyobraził sobie, że potrząsnęła głową. *Strulo, nie rób tego!*

Ach, gdyby.

– Dobrze – powiedział. – Skoro uważasz, że nie powinienem.

Myśl, że D'Anton zawdzięcza życie Kay, tylko wzmagają jego morderczą wrogość do tego człowieka.

List, który przekazał mu Shylock, zniesmaczył go. Jak D'Anton to robił, że prosił, nie prosząc? Jakim cudem zdołał obrócić pokorną suplikę w afront?

– Gdybym mógł, tobym go zniszczył – powiedział Shylockowi. – Ale przynajmniej utoczę mu krwi.

Shylock pokręcił głową.

– Nie działałbym pochopnie – doradził. – To, co on proponuje, ani nie sprawi, że odzyska pan córkę, ani nie gwarantuje, że piłkarz poniesie karę za wyrządzoną jej krzywdę.

– A co z moją krzywdą?

Shylock odwrócił wzrok, jakby chciał uchronić Strulovitcha przed ogniem płonącym w jego oczach.

– Obawiam się, że skupia się pan zanadto na sobie. To się dla pana staje zbyt osobiste.

– Zbyt osobiste? Co według pana jest zbyt osobiste?

– Zabicie D'Antona.

– Może zbyt osobiste z jego punktu widzenia. Z mojego nie.

– Ale pan ma zatarg nie z nim, tylko z piłkarzem.

– Z tym klaunem? Do niego czuję tylko lekką pogardę.

– Mimo że zhańbił pańską córkę?

– Znam Beatrice. Potrafi się zachowywać bardzo prowokująco. No i gdyby w sądzie Howsome utrzymywał, że wyglądała na dziesięć lat starszą, może by mu uwierzono.

– Podziwiam pańską wyrozumiałość. Ale dlaczego w takim razie nalega

pan na jego powrót? Skoro pogodził się pan z tym, co się stało przed rokiem, wbrew prawu, dlaczego nie może się pan z tym pogodzić teraz, gdy prawo to dopuszcza?

– Ona jest nadal dzieckiem.

– Według metryki, ale jej wygląd temu przeczy. Ona sama temu przeczy.

– A on jest nadal gojem. To pan przecież powiedział, że wolałby, żeby Jessica wybrała sobie męża z rodu Barabasza niż chrześcijanina.

– Wyrzywa pan moje słowa z kontekstu. Tamci chrześcijańscy mężowie jeden przez drugiego wyrzekali się swoich żon dla ratowania Antonia z moich szponów. Ojciec pragnie dla córki kogoś, kto będzie ją cenił nad swoich przyjaciół. Tamtych, bardziej niż ikony, do których się modlili, przekreślała lojalność, którą przysięgali sobie nawzajem. A zresztą...

– Zresztą co?

– Choć w moim wypadku żałowanie przeszłości ma tyle sensu, ile wyglądanie przyszłości, zdarza mi się czasem pomyśleć, że może trzeba było pozwolić jej wyjść za chrześcijanina, aby jej całkiem nie stracić.

– Pan może to sobie roztrząsać. Ja już nie mam córki ani nie pochwalam jej wyboru.

– Mogłoby się to zmienić, gdyby dał pan do zrozumienia, że sam się zmienił.

– Gdybym powitał ich z otwartymi ramionami?

– Od razu z otwartymi ramionami. Wystarczyłby uścisk dłoni.

– I co by ten uścisk miał oznaczać? Że mu przebaczyłem? Że go kocham? Że wolno mu zachować napletek?

– Być może to pan powinien zrezygnować z tego napletka.

– Odmawia mi pan prawa do mojego wesołego żartu?

– Ja niczego panu nie odmawiam. To konkubent pańskiej córki panu odmawia. Córka panu odmawia. Świat panu odmawia.

– Zapomina pan o propozycji D'Antona.

– W imię czego miałyby pan obrzezać D'Antona?

– W imię żartu, który sobie zamyśliłem.

– Doprowadzony do końca przestałby nim być.

– Żeby zrozumieć, co mam w duszy, niech pan wejrzy w swoją. Ja też lubię czarny humor. Powiedziała mi to moja pierwsza żona. Druga poniekąd też, na swój oryginalny sposób.

– Nie ma pan żadnego celu ani korzyści w obrzezaniu D'Antona.

– Być może wcale do tego nie dojdzie. A nuż sama groźba sprawi, że dostarczy mi Gratana.

– A jeśli tego nie zrobi?

– Wtedy będzie musiał dać mi satysfakcję.

– Dokładnie takiej postawy się po panu spodziewają.

– Spełnię zatem ich oczekiwania i uczynię to z największą radością.

– Powtarzam, zaczyna pan to traktować zbyt osobiście.

– Mam się wyrzec satysfakcji?

– Jeżeli tylko o nią panu chodzi. Owszem.

– W takim razie użyję innego słowa. Mam się wyrzec mojego weksla?

Nawet nieźle mi to wyszło, pomyślał Shylock.

– Gdyby to mogło stać się i z tą chwilą ustać – na zawsze odejść w przeszłość – wtedy niechby się stało w moim domu – powiedziała Shylockowi Plurabelle.

Zanim wyszła z domu, kilkakrotnie powtórzyła tę kwestię przed lustrem. Wiedziała, że Strulovitch jest gorącym miłośnikiem Shakespeare'a, i chciała go w ten sposób zmiękczyć, może nawet mu zaimponować. Na miejscu szybko zdała sobie sprawę, że to nie Strulovitch otworzył jej drzwi, uznała jednak, że kwestia nie może się zmarnować. Nie bardzo wiedziała, z kim rozmawia, lecz surowy i nieprzyjazny wygląd tego człowieka znamionował osobę upoważnioną do załatwiania wszelkich nagłych spraw, wtajemniczoną w interesy Strulovitcha, sądząc po stroju, może prawnika zatrudnionego w związku z tym, co ją tu sprowadziło.

– Bo to mało się już wydarzyło w pani domu? – odrzekł jej Shylock.

Tak, pomyślała, to prawnik doskonale zaznajomiony ze szczegółami sprawy. W ostatnich godzinach dopisywał jej najlepszy od wielu dni humor, teraz jednak przeszył ją zimny dreszcz. Jeżeli Strulovitch zatrudnił i wtajemniczył prawnika, oznaczało to, że proces wikłania jej w skandal, proces przemiany Utopii w koszmar, ruszył pełną parą.

Plurabelle nie na darmo wydała fortunę na usta. Posłała Shylockowi swój najbardziej drapieżny, rosiczkowy uśmiech. Niech sobie będzie tygrysem sali sądowej, ona zjada takich na śniadanie.

Tyle na zewnątrz. W środku jednak huczało.

Dwie sprzeczne ambicje walczyły o lepsze w jej sercu. A) Utrzymać wszystko w jak najściślejszej tajemnicy. B) Dążyć do jak największego

rozgłosu, na tyle, na ile pozwolą jej na to strony sporu. Silne poczucie prywatności szło u niej w parze ze świetnym wyczuciem publiczności. Nie gryzę się w język i zawsze dobrze na tym wychodzę, pomyślała. Ludzie podziwiają moją szczerotę i współczują mi, kiedy cierpię. Za dyskrecją przemawiał truizm „im mniej słów, tym lepiej”. Za rozgłosem – perspektywa zawstydzienia Strulovitcha. Jakim sposobem – tego jeszcze do końca nie wiedziała, lecz była pewna, że Strulovitch w każdej publicznej konfrontacji wypadłby słabo i sam by się zdyskredytował. Czy można się było dziwić Beatrice, że uciekła od takiego ojca, by szukać czułości w ramionach mężczyzny, który, owszem, nie był idealny w każdym calu, ale przynajmniej ją kochał? Co się zaś tyczyło innej informacji w jej posiadaniu, nie mogła przewidzieć, czy skompromituje ona Strulovitcha do szczytu, czy jedynie narazi go na drwiny, lecz bardzo się cieszyła z obu tych ewentualności.

A D’Anton? Czy opowiedziałyby się po stronie dyskrecji, czy za rozgłosem? Jeszcze go nie wybadala. Pewnie zresztą sam nie wiedział. Gdyby go zapytała, z całą pewnością oznajmiłby, że lepiej załatwić sprawę po cichu; lecz gdyby postawiła go przed faktem dokonanym w postaci poniżonego Strulovitcha, niewątpliwie byłby z niej zadowolony. Czasem wiemy, co dla ludzi dobre, lepiej niż oni sami.

Tymczasem jednak na drodze do urzeczywistnienia tego planu stał, niewzruszony powabem jej warg, srogi przedstawiciel palestry.

– Nie chciałabym zostać źle zrozumiana – rzekła Plury. – Proszę nie odbierać mojego gestu jako przyznania się do winy. Zaprzyjaźniłam się z tą dziewczyną. Nie była szczęśliwa w domu. Nie miałam pojęcia, że wdała się pod moim dachem w niestosowny związek. Gdybym coś podejrzewała, nigdy bym do tego nie dopuściła. Mój bliski przyjaciel i doradca D’Anton uważa tak samo i dlatego dzielnie przystał na żądania pańskiego klienta.

– Jestem znajomym – wyjaśnił Shylock. – Nie reprezentuję pana Strulovitcha ani dla niego nie pracuję.

– W takim razie chciałabym porozmawiać z nim osobiście.

– Nie ma go w domu. Może pani porozmawiać ze mną. On mnie uważa za swoje sumienie.

Sumienie! Próbuje mi pan wmówić, że ten człowiek ma sumienie? – pomyślała Plurabelle, lecz powiedziała co innego:

– Przyzna pan zatem, że jego warunki są brutalne. Żąda ni mniej, ni więcej, tylko fizycznego i psychicznego okaleczenia mojego drogiego przyjaciela

D'Antona. Najwyraźniej zależy mu na tym, aby upokorzyć go publicznie, i dlatego, chcąc zaspokoić to osobliwe pragnienie, jestem gotowa – jeśli do tego dojdzie – zorganizować to widowisko w moim ogrodzie.

– Widowisko?

– Odnoszę wrażenie, że sam pan Strulovitch życzyłby sobie, aby to wydarzenie nie przeszło bez echa. Gdyby zechciał stanąć do debaty o swoich żądaniach z osobą, której te żądania stawia, byłabym gotowa ją wyemitować w moim programie w telewizji...

– Ma pani własny program w telewizji?

Plurabelle osłupiała. Nie sądziła, że można nie wiedzieć o istnieniu jej programu. To, że ten człowiek nigdy o nim nie słyszał, tylko dowodziło, że nie miała do czynienia ze zwykłym zjadaczem chleba.

– „Terapia kuchenna”.

– To program kulinarny?

– Tak, ale nie tylko...

Shylock przerwał jej gestem.

– Pan Strulovitch, według mojej najlepszej wiedzy, nie uważa się za stronę w żadnej debacie, nie wydaje mu się, aby ktokolwiek mógł mieć do niego uzasadnione pretensje, a co za tym idzie, raczej nie będzie miał ochoty omawiać tej sprawy w programie telewizyjnym tego rodzaju. Dziwi mnie, że pani podejrzewa o taką ochotę swojego przyjaciela. Obrzezanie to nie jest sytuacja kulinarna.

Plurabelle zaświtała w głowie pewna myśl. Kłótnik. Jej serwis webchatowy został już dawno wyłączony, lecz na pewno można go było uruchomić ponownie z pomocą któregoś z mediów społecznościowych, z którymi współpracowała. W skrócie przedstawiła swój pomysł Shylockowi. Może takie rozwiązanie bardziej odpowiadałoby panu Strulovitchowi?

– To, co panu Strulovitchowi z całą pewnością nie będzie odpowiadało – odrzekł tamten – to sugestia, że domaga się tego, czego się domaga, bo jest kłótnikiem.

– Rozumiem to – zapewniła go pospiesznie. – Nie umniejszam wagi sprawy. Wręcz przeciwnie. Stąd moja propozycja, by zrobić z tego wydarzenie.

– Planuje pani festyn?

– Jeżeli będzie trzeba, jeżeli Gratan nie wróci z Beatrice, choć oczywiście wszyscy gorąco wierzymy, że tak się stanie, to, owszem, jestem gotowa

uczynić wszystko, co tylko pan Strulovitch uzna za stosowne. Chodzi mi jedynie o to, aby wszyscy byli zadowoleni. Jeżeli pan Strulovitch ma zastrzeżenia do mojego domu i wolałby nie wstępować w jego progę...

– Niby dlaczego?

Po twarzy Plurabelle przemknął wyraz zdziwienia.

– No, wie pan...

– Ponieważ dochodziło w nim do czynów lubieżnych?

– Pan mnie oczernia.

– W takim razie nie ma się pani czego obawiać.

– Bo nie mam.

– Tym bardziej dziwi mnie, że dokłada pani tylu starań, by położyć koniec tej sprawie. Rzekłbym, że ten pośpiech zdradza winę. Ale proszę dokończyć swoją myśl. Gdyby pan Strulovitch wolał nie przekraczać progów pani domu...

– Wtedy dopilnuję, żeby w ogrodzie stanął namiot.

– Dlaczego pani zakłada, że jemu to zrobi różnicę?

– Niczego nie zakładam. Chcę tylko wyjść naprzeciw jego oczekiwaniom.

– Czy będą tartinki?

– Jeżeli sobie zażyczy.

– Cały czas próbuję zrozumieć, dlaczego zadaje sobie pani tyle trudu, by nagłośnić zdarzenie, które sama pani nazwała upokorzeniem swojego przyjaciela.

– Ponieważ chcę pokazać, jak bardzo jest mi przykro.

– Duch wasz – rzekł Shylock, odwracając wzrok – prześwieca przez was.

Plurabelle, która umiała rozpoznać komplement, wydeła wargi. Pomyślała, że ten znajomy Strulovitcha ma w sobie pewien szorstki urok – choć wątpiła, by ktokolwiek poza nią go dostrzegł. Nie był to urok D'Antona czy Barneya – nie, to był całkiem inny gatunek mężczyzny, pełen lodowatej rezerwy i, prawdę mówiąc, odstręczający, a nawet pogardliwy – ale z drugiej strony miała już dość mężczyzn atrakcyjnych i przystępnych, zalotników o książęcych manierach, którzy ustawiali się do niej w kolejce, gotowi odgadywać jej zachcianki i ogólnie jej dogadzać. Z nim byłoby inaczej; to ona musiałaby zgadywać. Nie żeby pociągał ją erotycznie. Był dla niej za stary. Ale już jako ojciec (a trzeba powiedzieć, że nigdy nie była zachwycona ojcem, którego podarowała jej natura)...tak, potrafiła sobie wyobrazić, że znów jest głupią panną i zabiega o jego miłość.

– A czy pan ma dzieci? – zapytała.

Strulovitch miał sen. W nadmuchiwany basenie w jego ogrodzie Jessica i Beatrice, obie mniej więcej dziewięcioletnie, dokazywały, pryskały się wodą, ich młode ciała były opromienione słońcem – jeszcze nie syreny, lecz kijanki, niezabiegające o niczyją uwagę, nawet ojców rozciągniętych na leżakach i popijających zimne piwo. Czy taki wiek niewinności w ogóle istniał? We śnie Strulovitcha – owszem.

Kay nawadniała ogród gumowym węzłem, który pod wpływem odkręconego kurka wił się jak żywy. Stojąca obok Lea śmiała się swoim długim weneckim śmiechem. Strulovitch, sam daleki od niewinności, pożądał ich obu. Dwie żydowskie żony, dwie żydowskie córki – nic dziwnego, że matka i ojciec, pod osłoną cienia grający w remika, byli z niego zadowoleni.

Shylock spał. To był sen Strulovitcha i Strulovitch mógł z Shylockiem zrobić, co chciał – a chciał, by Shylock był nieprzytomny. Czy on też śnił? O dwóch żydowskich córkach, dwóch żydowskich żonach?

Prastary sen Strulovitcha utonął w powodzi łez. Łez w kolorze płynnego złota.

Nad kim płakał?

W snach nigdy nie wiadomo.

– Jakież wieści z Rialto? – pyta D'Anton swojego asystenta.

Odpowiedź jest za każdym razem taka sama.

– Żadnych.

D'Antonowi czerwienieją policzki.

Strulovitch to samo pytanie zadaje swojemu asystentowi. I otrzymuje taką samą odpowiedź.

Od kilku dni jego policzki zupełnie straciły kolor.

Pozostawiony samemu sobie Shylock włóczył się po domu i oglądał obrazy

Strulovitcha. Pochodził z pięknego miasta, które jednak broniło mu dostępu do swoich splendorów. Większość dzieł sztuki znajdowała się w kościołach – albo wręcz była kościołami – a więc nie była przeznaczona dla jego oczu. Jeżeli kątem oka dostrzegł coś pięknego, zachowywał to dla siebie. Nie wspominał o tym nawet Lei. Nie chciał dawać nikomu powodów do podejrzeń, że pożąda rzeczy, które nie są jego.

Nawet tutaj, w domu Strulovitcha, niewidziany przez nikogo, odczuwał skrępowanie. Podziw dla rzeczy nie licował z jego nieufną naturą. Jeżeli pokocha to, co wyszło spod ludzkich rąk, będzie musiał także pokochać ludzkość.

I dlatego, spacerując wzdłuż ścian, niechętnie zwracał uwagę na to i owo. Niewielkich rozmiarów akt Marka Gertlera, rumiane i jędrne ciało chrześcijanki, wystawione na spojrzenie Żyda, lecz będące poza jego zasięgiem. Szkice węglem Bomberga przedstawiające zbombardowane angielskie kościoły. Parę wczesnych, ale pewnie i tak wartych niezłą sumkę dzieł Luciena Freuda, okrutne, zawzięte twarze, w których jednak Shylock nie znajdował nic z wrażliwości żydowskiej, co najwyżej freudowskie próby przypodobania się Anglikom. Nawet jeśli to byli malarze żydowscy, stawali na głowie, by dogodzić krytykom gojom.

Bardziej trafiały mu do gustu trzy gęsto malowane port rety autorstwa Franka Auerbacha, zdumiewająco trafnie oddające uczucie przebywania w matni, jaką jest ludzka głowa, a przynajmniej, pomyślał ponuro, zacinając zęby, moja głowa.

Nie wiedział, co myśleć o kolekcji Strulovitcha – nie tyle o poszczególnych dziełach, ile o tym, że Strulovitch miał potrzebę ich posiadania. On, Shylock, z racji swojej religii oraz wpojonego nawyku był człowiekiem słowa. Reprezentacje zmysłowe go niepokoiły. Bóg powołał świat do istnienia słowem – „niech się stanie” – a nie pędzlem. Gdyby był malarzem, świat wyglądałby inaczej. Lepiej czy gorzej? Cóż, na pewno byłby mniej rozdyktowany, mniej deklamatorski, co Shylockowi niekoniecznie by odpowiadało. Czy odnalazłby się w świecie namalowanym? Myślał słowami, słowami spierał się i bronił swoich racji. Z drugiej strony pokochał Leę od pierwszego spojrzenia, pokochał jej zmysłowość, jej aurę, kochał ją, gdy czuwała i kiedy spała, kochał jej cichą obecność. Po jej śmierci została im już tylko rozmowa – „tylko” nie dlatego, że była czymś błahym, ale dlatego, że musiała im wystarczyć za wszystko, jedna niekończąca się konwersacja, bez

której nie potrafił się obyć, a która nie pomniejszała jego nieznośnej tęsknoty, a skoro tak, to znaczy, że tęsknił za jej wyglądem, zapachem i dotykiem. Nazywając się człowiekiem słowa i tylko słowa, obrażałby jej pamięć.

Była to zresztą obraza również dla niego, obraza niestrudzenie rozpowszechniania przez gojów. Utrzymywali oni, że Żydzi są narodem pozbawionym wrażliwości zmysłowej. Wszystko, co widzieli, oglądali niejako cudzymi oczyma. Ich naturalnym medium było prawo, a prawo zamykało się w słowach. To słowa czyniły ich okrutnymi i nieprzejednanymi. Zaślepienymi. Tak oszczerczo ich malowano. A Żydzi – podobno naród zawzięty (kolejne oszczerstwo) – zgadzali się z tym. Tak, mówili gojom, macie słusność, jesteśmy związani zimnym formalizmem słowa, a wszystko, co w życiu najpiękniejsze, zostawiamy wam. Myślimy, ale wam zostawiamy podziw. Sądzimy, ale wam zostawiamy przyjemność. Wszystko to kłamstwa. Słowo, które stworzyło świat, stworzyło również jego liczne rozkosze. Niech się stanie morze, niech się stanie niebo, niech się stanie światłość, niech się stanie piękno.

Także Bóg Żydów, nie chcąc, aby go myłono z pogańskimi bożkami, za mało podkreślał swoją zmysłową stronę.

Strulovitch, przynajmniej w swoim kolekcjonerstwie, odmówił pójsia w ślady nazbyt pryncypialnego Boga żydowskiego i zadał kłam oszczerstwom gojów.

Shylock znów zapuścił się między obrazy. Przechadzając się bez pośpiechu, zwrócił uwagę na grupę portretów autorstwa Emmanuela Levy'ego, którą wcześniej przeoczył – na wszystkich widniały zatroskane kobiety o czujnych spojrzeniach, namalowane w sposób łagodny i melancholijny, zmysłowe, ale nie wyzywające, wyrażające, jak mu się zdawało, pewną miłość, niezależnie od faktycznego charakteru ich znajomości z malarzem. I jeszcze dwa, równie czułe, lecz chyba nawet bardziej pełne napięcia, pędzla Bernarda Meninsky'ego. Dopiero teraz zauważył, że wiele spośród obrazów w zbiorach Strulovitcha wyraża szczerze współodczuwany niepokój wobec ciężkiej doli kobiety. Czy to były Żydówki? Obarczone brzemieniem miłości do Żydów? Tego nie wiedział, ale pod ich wpływem zaczął się wyzbywać początkowej niechęci; tym razem, przez wzgląd na Leę i jej zmysłowość, patrzył na wszystko przychylniejszym okiem. Jak gdyby używał obszarów umysłu, z których posiadania nie zdawał sobie sprawy. A gdyby kupował Jessice obrazy do jej pokoju? Czy zdołałby ją zatrzymać, upiększając jej otoczenie?

Dlaczego jednak w przypadku Strulovitcha na nic się to nie zdało? Wszędzie wkoło piękno, lecz ani śladu Beatrice.

Chyba znał odpowiedź: Strulovitch jedną połową duszy zaprzeczał oszczerstwu, a drugą połową je akceptował. Obwieszał dom ulotną sztuką zmysłów, lecz pozostawał człowiekiem słów, spierającym się ze wszystkimi dookoła. Dzieła, które kupował, miały mu zapewnić dostęp do świata, który – uważał tak w głębi serca – nie był jego światem. Mylił się jednak. Powinien się więcej przyglądać temu, co posiadał. Częściej, intensywniej, z większą dumą. Powinien się tym upajać. Delektować. Miał do tego nie mniejsze prawo niż oni. Kolekcjonując sztukę, nie stawał się jednym z nich. Stawał się sobą.

Nieważne, co Bóg powiedział o rzeźbach i obrazach. Tamto przykazanie można było czytać inaczej. Oto Bóg rozdziela kult i piękno, religię i sztukę. Po żydowsku jest przestrzegać prawa. Ale po żydowsku jest również kochać barwy, wigor i łagodność, tak jak on kochał Leę i jak nadal by ją kochał, gdyby tylko mógł ją oglądać. I jak Jessika, w swej rozpaczy, kochała nie jego.

Nie po żydowsku było natomiast kochać jedno i drugie naraz.

Strulovitch tymczasem wciąż pytał o wieści z Rialto i wciąż nie dostawał odpowiedzi, na którą czekał.

Pod wieczór, po zwiedzeniu Campo di Ghetto Nuovo, Beatrice i Gratan szli pod rękę w deszczu w kierunku placu św. Marka.

– Miałeś swoją przyjemność, teraz moja kolej – zaśmiała się Beatrice.

Gratan nie rozumiał, dlaczego jej zdaniem zwiedzanie getta sprawiło mu przyjemność.

Beatrice westchnęła, starając się nie tęsknić za ojcem.

Pewnego razu pocałowała chłopca o zapadłych policzkach imieniem Feng. Chińczyka, syna właścicieli trzech chińskich supermarketów i dwóch chińskich restauracji w Manchesterze. Próbowала urzec go różnymi zabawnymi spostrzeżeniami, które jednak ani trochę go nie bawiły.

– Śmieję się – powiedziała, lecz Feng najwyraźniej nie potrafił.

Zaczęła mu gmerać przy ustach, usiłując rozchylić wargi i zmusić go do uśmiechu – i właśnie wtedy go pocałowała. Ułamek sekundy później ojciec wyszedł z domu i oskarżył ją o sojusz z Hitlerem.

Feng się roześmiał.

Postanowiła więc, zamiast tęsknić za ojcem, potęsknić za Fengiem.

Zacząła się zastanawiać, czy istnieje osoba, za którą teraz nie tęskniła – ktoś, z kim wynudziłaby się w Wenecji jeszcze bardziej niż z Gratanem.

– Nikt mnie tutaj nie zna – narzekał w kółko. – Nie dałem ani jednego autografu.

– Spójrz na to jak na coś dobrego – odparła. – Dzięki temu możesz się skupić na mnie.

Usiedli w Caffè Florian i słuchali orkiestry. Uwielbiała to miejsce. Kiedy lata temu przyszła tu z ojcem, powiedział, że przypomina mu ono kawiarnię wiedeńską, tyle że pod gołym niebem – wymarzone miejsce do bycia Żydem. Potem zjawił się Hitler i wszystko rozpirzył. „I dlatego...” – zaczął, lecz Beatrice przestała słuchać. Dlatego nie mógł jej pozwolić na całowanie się z Fengiem. Mimo wszystko jednak panowała tu między nią a ojcem harmonia; on udawał wiedeńskiego Żyda, ona – dobrą córkę.

Z Gratanem nie było już tak miło.

– Nie lubię takiej muzyki – oznajmił. – Jest przesłodzona. Tego się nie da słuchać.

– O to właśnie chodzi w tej muzyce. Ma smucić.

– Ona mnie złości.

– To dlatego, że myślisz o czymś innym.

– Żebyś wiedziała. O tym, że twój ojciec chce mnie wykastrować.

– Spróbuj się odprężyć i posłuchać.

– Nie lubię skrzypiec. Brzmią jak piły.

Nie zapytała, jaką muzykę woli. Znała odpowiedź. Johnny’ego Casha. Bruce’a Springsteena. Muzykę więzienną.

Załamywał ją.

A ona jego. Czy zamierzała, gdy już się pobiorą, ciągać go po koncertach, na których będą słuchać piłujących Żydów, a przynajmniej muzyków o żydowskich nazwiskach?

Jeszcze większa złość ogarnęła go na widok rachunku.

– Wypiliśmy tylko po kawie.

– Słuchając wiedeńskiej muzyki, obserwując świat z boku i będąc w Wenecji. W porównaniu z grubymi pieniędzmi, jakie ludzie płacą, żeby móc patrzeć, jak hajlujesz i nie trafiasz do bramki, powiedziałabym, że to tanio.

– Już nie hajluję – odparł.

Wieczorem w kasynie Beatrice grała w ruletkę. Obstawiając uparcie *les*

voisins du zéro, z którymi trochę się utożsamiała, przegrała osiemset euro Gratana.

– Nie miałbym ci za złe – powiedział – gdyby to były pieniądze twojego ojca.

– W pewnym sensie były. Jeszcze mu za mnie nie zapłaciłeś.

Gratana to nie rozbawiło.

Nazajutrz rano, by go udobruchać, kupiła mu z własnych pieniędzy pluszową małąkę. Była to małąka karnawałowa, w czarnej spiczastej masce.

To też go nie rozbawiło.

Shylock chciał porozmawiać ze Strulovitchem o malarstwie, pogratulować mu dobrego gustu, zasugerować, by nie nazywał swoich zbiorów sztuką żydowską, bo przecież wszelka sztuka jest u swojego zarania sztuką żydowską, nieprawdaz? – niech inni czynią to rozróżnienie, skoro muszą: niech nazywają własną sztukę postpaulińską – ale najpierw musiał poruszyć inny temat.

Nie spieszył się z powiadomieniem Strulovitcha o rozmowie, którą odbył z Plurabelle. Należało wybrać właściwy moment. A zresztą: wszyscy inni kierowali się w tej sprawie własnym interesem; dlaczego on miałby nie zadbać o swój?

Nie mógł jednak milczeć o propozycji Plurabelle w nieskończoność.

Poszukał Strulovitcha i zastał go w głębokim fotelu, zatopionego w czarnych rozmyślaniach. Trudno było tu znaleźć choć skrawek gołej ściany, lecz Strulovitch nie patrzył na żaden z obrazów.

– Jeżeli chce pan iść na całość, oni panu pozwolą – zniecka oznajmił Shylock.

– Iść na całość?

– Wie pan, o czym mówię.

– Kim są oni?

– Madame, właścicielka domu rozpusty, jakkolwiek się tytułuje. Oraz, jak mniemam, sam D'Anton.

– „Jak mniemam”?

– Rozmawiałem z nią. To ona doręczyła list. Miałem to chyba odebrać jako akt wielkiej łaskawości.

– Dlaczego mi pan o tym nie powiedział?

– Uznałem, że problem odpowiedzi na list wystarczająco pana absorbuje. I że kwestie praktyczne mogą poczekać.

Shylock niespiesznie usadowił się w sąsiednim fotelu. Z obu roztaczał się widok na Alderley Edge i prószący śnieg. Ludzie, którzy tu żyją, muszą się czuć jak w śnieżnej kuli, pomyślał. Sztuka sztuką, ale nagle zapragnął opuścić to miejsce. Tęsknił za spiekotą i wrzawą Rialto. Nawet za brutalnością. To nie był kraj dla Żydów. Powiedział to już Lei. Oni tu żyją z nerwami na wierzchu. Tutaj można okaleczyć człowieka spojrzeniem. Zabić słowem. Nasz przyjaciel Strulovitch zatracił właściwy naszemu narodowi hart. Mógłby być niezamężną siostrą wiejskiego pastora, tak łatwo go obrazić. A co za tym idzie, nie potrafi ocenić, o co naprawdę warto walczyć. I dlatego toczy wojny, mentalnie, o wszystko.

Usłyszał, jak Lea się z niego śmieje. „Znalazł się zwolennik umiaru”. I miała rację. Żydzi toczyli wojny o wszystko bez względu na to, gdzie rzucił ich los. Po prostu owa wojowniczość ujawniała się wyraźniej tutaj, w krajobrazie o łagodnych konturach, gdzie śnieg tłumił odgłosy kroków, a prowokacje były subtelniejsze.

Strulovitch siedział z zasłoniętymi oczami. Nie miał ochoty patrzeć ani na Shylocka, ani na śnieg. Z całego materialnego świata był w stanie znieść jedynie widok wnętrza własnej dłoni.

Shylock zastanawiał się, czy mimo padającego śniegu zostanie wyrzucony za drzwi. *Już idź!*

Wobec braku takiego rozkazu siedział w milczeniu, wsłuchany w łomot złych myśli gospodarza.

– Jaka ona jest, ta madame? – zapytał w końcu Strulovitch. Nie chciało mu się jednak czekać na odpowiedź. – I co pan ma na myśli, mówiąc, że mogę pójść na całość?

– Jeżeli pragnie pan widowiska, będzie pan je miał. Nie wyjawiał mi pan, jak to sobie wyobraża od strony praktycznej, więc nie znam aktualnych pańskich zamiarów. Jak i gdzie to się odbędzie. Kto będzie kroił, a kto ważył.

– Waga mało mnie obchodzi.

– Ważył w znaczeniu symbolicznym.

– Symbole też mało mnie obchodzą. To, czego żądam, jest do bólu dosłowne.

Shylock nie zamierzał z tym dyskutować.

– Jakiego w takim razie oczekuje pan dowodu? Pisemnego oświadczenia chirurga? A może wolałby pan obejrzeć trefny kawałek skóry na własne oczy? Ja nie zadawałem sobie tych pytań. Poszedłem na żywioł. Panu bym to

odradzał. Lepiej być panem sytuacji. A ściślej mówiąc, pan ma szansę być mistrzem ceremonii. Im się wydaje, że pan by chciał, aby urządzono przyjęcie. A przynajmniej tak myśli ta kobieta. Powiedziała, że jest gotowa wyprawić je u siebie w ogrodzie.

– Czy przewidziano tańce?

– Co pan sobie tylko zażyczy. Włącznie z fajerwerkami. O ile się nie mylę, ona pracuje w branży cateringowej, więc jedzenie powinno być dobre. Ponadto zaoferowała czas antenowy w telewizji, jeżeli to pana interesuje.

– Zaraz, zaraz. Chce pan powiedzieć, że oni chcą sfilmować zabieg?

– Chyba raczej debatę.

– Jaką debatę? Debata sugeruje, że coś pozostaje nierozstrzygnięte. A tak nie jest.

– Jeżeli dobrze ją zrozumiałem...

– Nie mam najmniejszych wątpliwości, że ją pan zrozumiał. Niech mi pan powie coś, czego pan nie rozumie.

– Jeżeli ją dobrze zrozumiałem, o tym, czy D'Anton powinien zostać obrzezany zamiast Gratana, zdecydowałiby widzowie.

– A jeśli widzowie uznają, że tak?

– Do tego nie doszliśmy.

– A jeśli uznają, że nie?

– Do tego też nie doszliśmy. Pozwoliłem sobie w pańskim imieniu odrzucić pomysł występu w telewizji. Uznałem, że jestem do tego upoważniony, skoro pańskim zdaniem to ja panu narobiłem tego ambarasu.

– Ale na przyjęcie się pan zgodził?

– Powiedziałem, że przekazę panu jej propozycję.

– W dogodnym dla siebie momencie?

– Cała ta sytuacja jest dla mnie mało dogodna. Nie przebywam tutaj dla własnego kaprysu. Pozwolę sobie panu przypomnieć, że to pan mnie znalazł na cmentarzu i zaprosił do siebie. Za co...

– Z n a l a z ł e m pana? Chyba źle pan zapamiętał. Poszedłem na cmentarz z potrzeby serca. Musiałem tam być. Pan mi nadal nie wyjaśnił, co pana tam sprowadziło.

Shylock, który nigdy nie zdejmował fedory, tym razem to uczynił i przecesał włosy dłonią. Wyglądał jak ktoś, kto może lada chwila sam, z własnej woli, wyjść na śnieg, niezależnie od życzenia gospodarza. Wyjść i już nie wrócić. Dość, mówiło jego spojrzenie. Dość tego.

Nigdy nie będę miał w nim przyjaciela, pomyślał Strulovitch. Ale i on nigdy nie będzie miał go we mnie.

Był jednak winny gościowi zwyczajną grzeczność.

– Proszę wybaczyć – powiedział. – Jestem panu wdzięczny za rady.

– Ja bym tego nie nazywał radami.

– Jakkolwiek pan to nazwie, jestem panu wdzięczny. Za uwagę. Za pański czas.

– W takim razie, moim zdaniem – odparł Shylock – powinien pan przyjąć zaproszenie. Nie dla ich przyjemności, ale dla własnej. Może pan mieć z tego wiele radości...

– Radości!

– Tak, radości, o ile skorzysta pan z okazji i spojrzysz na to we właściwym duchu. Niech pan pomyśli o tym jak o przyjęciu żydowskim. Jak o wielkim plenerowym *bris*.

Nad Alderley Edge coraz mocniej sypał śnieg. Ładny widok, o ile było się w nastroju.

– Nie sądzi pan, że jest na to odrobinę za zimno? – odrzekł Strulovitch. – Mam na myśli głównie D’Antona.

– Będzie namiot. Domyślam się, że ogrzewany.

– A więc mówi pan, jako mój samozwańczy organizator imprez, że oni nie mają nic przeciwko temu, żeby wszystko odbyło się na oczach gości?

– To zależy od tego, co pan rozumie przez wszystko. Jeżeli chodzi panu o publiczne rozstrzygnięcie sporu, o swoiste *dénouement*, sprawiedliwy rozdział nagród i kar, zawstydzenie winnych i oczyszczenie niewinnych lub odwrotnie – a moje doświadczenie wskazuje, że na ogół jest odwrotnie – to tak. Jeżeli chodzi panu o pozbawienie D’Antona napletka, śmiem wątpić, czy zainteresowany zgodziłby się poddać temu zabiegowi przy wszystkich. Była mowa o klinice.

– Tchórz i mazgaj – rzucił Strulovitch, co równało się przyjęciu pod każdym innym względem szczodrej propozycji Plurabelle.

Akt V

To jeden z tych zimowych dni na północy Anglii, kiedy człowiek wolałby nie żyć; przy czym w Złotym Trójkącie między Wilmslow, Mottram St Andrew i Alderley Edge ten brak światła wydaje się jeszcze bardziej dojmujący ze względu na smutek, jaki tam panuje niezależnie od pogody.

Smutek to jedno z narzędzi, za pomocą których ludzie aspirujący do szlacheckiego życia odgradzają się od wszechogarniającej farsowości egzystencji. Od niesprawiedliwości, banalności i powracającego okrucieństwa. Ich smutek jest widowym znakiem, że niektórzy cierpią znacznie wznioślejsze bóle.

To również jeden z tych poranków, kiedy człowiek ni to smutny, ni to pełen nadziei, może uwierzyć, że słońce jeszcze wyjdzie zza chmur. Nie dziś i nie jutro, ale w najbliższych tygodniach lub miesiącach.

Plurabelle wolałaby poczekać. Jej ogrody dopiero wiosną prezentowały się w całej swej krasie. Musiała się jednak liczyć z niecierpliwością Strulovitcha. Oraz D'Antona. Sama zresztą wiedziała, że im szybciej to załatwią, tym lepiej.

– Wstawaj – rzuciła do Barnaby'ego, który uważał, że niedziele są po to, by się wylegiwać w łóżku. W istocie, będąc człowiekiem, który od zawsze zarabiał na życie prezencją, uważał, że wszystkie poranki są po to, by się wylegiwać w łóżku, a ponieważ jego kędzierzawa głowa ślicznie wyglądała na jej poduszkach, Plurabelle zazwyczaj mu pobłażała. Lecz nie tym razem.

– Chcę cię poprosić o jedną bardzo konkretną rzecz – oznajmiła. – Domyślasz się o jaką?

Barnaby miał już po same uszy prób i sprawdzianów. Wątpił, czy zdoła z siebie wykrzesać odpowiedź na jakiegokolwiek pytanie albo znaleźć w sobie jeszcze jeden dowód oddania. D'Antonowi wciąż nie udało się zdobyć szkicu Solomona J. Solomona, który zapewniłby Plury o jego wielkim i nietuzinkowym uwielbieniu dla niej, lecz w końcu znalazł Barnaby'emu pierścionek podobny do tego, który się zapodziało. Na pewno więc nie chodziło jej o to. W nocy uprawiali słodką miłość, więc o t o też nie.

– Może jakaś podpowiedź – zasugerował, świadom, że ich związek jest związkiem wielokrotnego wyboru i że Plury jak zwykle przedstawi mu trzy możliwości.

– Chodzi o dzisiejszy dzień. Bardzo ważny dzień, jak wiesz.

Barnaby wsparł się na łokciu i odwrócił do niej profilem. To zwykle pomagało mu się wykaraskać.

– Albo chcesz, żebym witał gości w bramie, albo żebym rozdawał losy na loterię, albo żebym opatrzył D’Antonowi rany, a tego nie zrobię.

Plury pokręciła głową.

– Możesz wyjechać na cały dzień albo wyjechać na cały dzień, albo wyjechać na cały dzień.

Barnaby po sztubacku zapytał, czy istnieje czwarta opcja.

– Możesz też wyjechać na cały dzień – powiedziała Plury i dała mu buziaka.

– Boisz się, że zemdleję na widok krwi?

– Nie, boję się, że moje znajome zemdleją na twój widok.

– Wiem, że to nie jest prawdziwy powód, dla którego chcesz się mnie pozbyć.

– I masz rację. Prawdziwy powód jest taki, że sama twoja obecność kojarzy się z seksem. Jesteś tak młody, tak piękny, tak rozleniwiony, że nikt nie uwierzy, że oddajemy się tutaj czemuś więcej niż uciechom cielesnym. A nie chciałabym sprawić takiego wrażenia – nie dzisiaj. Zanim cię poznałam, byłam smutna, i będzie lepiej dla sprawy – twojej, mojej, D’Antona – jeśli znów taka będę.

– Dobrze – odparł Barnaby, zadowolony, że nie wspomniała ani słowem o Gratanie. – Przejadę się do zoo w Chester.

Plurabelle czuła, że jest mu przykro. Ale ten dzień wymagał poświęceń od wszystkich.

Strulovitch i Shylock także wstali wcześniej.

Ten pierwszy przymierzył kilka garniturów, same czarne, i spędził znaczną część poranka przed lustrem. Co się wkłada na taką okazję?

W końcu zasięgnął opinii Shylocka.

– Biorąc wszystko razem – powiedział – który z tych trzech krawatów wydaje się panu najodpowiedniejszy?

Przypomniały mu się oba poranki przedślubne. Ten sam niepokój w jelitach.

Ta sama niepewność: drży z podniecenia czy ze strachu?

- Pan chyba nie nosi krawatów – zauważył Shylock.
- Nie, ale uznałem, że dzisiejsza okazja na to zasługuje.
- W takim razie dowolny, byle nie czerwony.
- Rozumiem – pomyślał na głos Strulovitch – że pan nie planuje żadnych zmian w garderobie.

Twarz Shylocka nawet nie drgnęła.

- Pozostaje tylko – odparł – kwestia kapelusza.
- Sądziłem, że go pan włoży.
- Rzecz nie w tym, co pan sądził, ale czy powinienem go włożyć.
- W kapeluszu wygląda pan groźniej.
- I dlatego nie powinienem?
- I dlatego pan powinien.

Shylock przejrzał się w lustrze. On także odczuwał znajomą treść.

Ostateczny plan, dopięty na ostatni guzik przez osoby właściwsze do zajmowania się takimi rzeczami, wyglądał następująco:

Szofer Strulovitcha, Brendan, zawiezie obu panów do Starej Dzwonnicy; tam, o ile Gratana i Beatrice nie wrócą zatańczyć, jak im się zagra (Plurabelle na wszelki wypadek wynajęła kwartet smyczkowy), Strulovitch i D'Anton przy lampce szampana odbędą ostatnią rozmowę, przypieczętują warunki umowy przy świadkach wybranych ze względu na ich dyskrecję, po czym odjadą wynajętą limuzyną do prywatnej kliniki w Stockport, w której parę dni wcześniej D'Anton poddał się rutynowym badaniom fizycznym i psychologicznym, nieodzownym nawet przy tak prostej operacji. Strulovitch odprowadzi D'Antona do wejścia (i chwilę tam postoi, w razie gdyby tamten próbował czmychnąć), a następnie wróci na przyjęcie. Niedługo potem, sam zabieg bowiem, o ile nie wystąpią komplikacje, trwa krótko, wiadomość o jego pomyślnym zakończeniu zostanie przekazana do Starej Dzwonnicy, a Strulovitch podpisze dokument, w którym zobowiąże się nie podejmować żadnych kroków prawnych w stosunku do Gratana, nie ograniczać wolności Beatrice ani nie wygłaszać opinii godzących w dobre imię Plurabelle i D'Antona. Ten ostatni pozostanie w klinice tak długo, jak to będzie konieczne, korzystając z najlepszej opieki w całym Stockport, a Strulovitch odjedzie usatysfakcjonowany. To, ile przedtem wypije szampana, będzie zależało wyłącznie od niego. To, czy wygłosi mowę, również.

– Może pan, jako družba, chciałby powiedzieć parę słów – zasugerował Shylockowi Strulovitch.

- Nie jestem pańskim družbą.
- Żartowałem.
- Pański żart nie jest mile widziany.
- Nie był nieżyczliwy.
- Myślałem, że już ustaliliśmy, że nie ma życzliwych żartów.

Piętnaście minut napiętej ciszy, w trakcie których najpierw jeden, a potem drugi udał się do łazienki, by obejrzeć się w lustrze.

Milczenie przerwał Strulovitch.

– Zastanawiam się, czy nie powinniśmy się upewnić, że w tej klinice wszystko jest jak należy.

- Dlaczego miałyby nie być?
- Względy ideologiczne.
- Oni się specjalizują w obrzezaniu.
- Każdy może się rozmyślić.
- O kogo panu chodzi?
- O chirurga.

– On wykonuje takie zabiegi na okrągło. To dla niego rutynowa czynność. Zarabia tym na życie. Na pana miejscu bardziej martwiłbym się o to, czy D’Anton się stawi.

– D’Anton! O niego akurat jestem całkiem spokojny. Przejrzałem go na wylot – co zresztą nie było trudne, bo to człowiek pozbawiony głębi. Znam go i mam w garści, jest mój. Nade wszystko będzie mu zależało, żeby zademonstrować swoją odwagę, a przy okazji zrobić z nas bezdusznych nikczemników. Może nawet liczy na to, że go zabijemy. Wypada tylko żałować, że nie możemy spełnić jego życzenia.

– „My”?

Strulovitch zastygł nieruchomo i spojrzał w stronę Shylocka, który nie patrzył w jego stronę.

– Proszę mi nie mówić, że powinienem się obawiać o pańską stałość.

– Czy jestem panu winien stałość? Nic mi nie wiadomo, żebym był cokolwiek winien komukolwiek. Z całą pewnością nie mam żadnych niezłałatwionych rachunków z tym D’Antonem.

– Zgoda, nie jest pan nic winien ani mnie, ani D’Antonowi. Ale nasze

uczynki mają konsekwencje.

- Będzie pan musiał to rozwinąć.
- Dawanie przykładu pociąga za sobą konsekwencje.
- Ja dałem przykład! Ja?

Shylock wolałby w tamtej chwili znajdować się w ogrodzie Strulovitcha i zwierzać się żonie.

– Mój gospodarz chyba widzi we mnie wzór do naśladowania – powiedziała jej. – Wyobrazasz to sobie?

Na co ona odrzekłaby:

- Nie chciałam, mój drogi, żeby ci się przewróciło w głowie, ale dla mnie też zawsze byłeś bohaterem.
- W takim razie oboje jesteście niemądrzy.

D'Anton, choć do samego końca wypytywał o wieści z Rialto, denerwował się bodaj najmniej ze wszystkich aktorów. Niech spada topór. Co będzie, to będzie. Być w pogotowiu – tylko to ma sens.

Biorąc pod uwagę niechęć, z jaką w pierwszej chwili zareagował na plan Plurabelle, był w zaskakująco dobrym humorze. Inna sprawa, że Plury dołożyła starań, by zrozumiał, jak wiele zależy od jego współpracy. On też – czy musiała mu o tym przypominać? – w ostatecznym rozrachunku mógł na tym jedynie zyskać.

Mimo wszystko tego dnia imponował jej opanowaniem.

– Jestem silny naszą prawością – powiedział, biorąc jej rękę i przykładając ją do policzka.

– A ja – odparła – łagodnością twojego ducha.

Oboje się roześmiali.

Kiedy Strulovitch i Shylock przybyli na miejsce, w śnieżnobiałym namiocie, ocieplanym najlepszymi grzejnikami tarasowymi znanymi ludzkości, zebrał się już mały tłum.

Shylockowi, bez kapelusza na głowie, wypadło przedstawić Strulovitcha gospodyni.

– Aż trudno uwierzyć – powiedziała Plurabelle, ściskając mu dłoń – że spotykamy się dopiero teraz.

– Mnie to wcale nie dziwi, zważywszy, że obracamy się w innych kręgach – odparł Strulovitch. Zdziwił go natomiast wyraz bólu i zdumienia – jak u kogoś,

kto tonie w basenie bez wody – wyrzeźbiony na jej twarzy tysięcznymi cięciami skalpela. Zaprzagnął w duchu, aby D'Antonowi nóż wyrządził równie dużą krzywdę.

Jest tak okropny, jak sobie wyobrażałam, pomyślała Plurabelle i na nowo wezbrało w niej współczucie dla Beatrice. Nic dziwnego, że jej własny ojciec nie cierpiał Żydów. Dopiero teraz pojęła sens prób, jakie obmyślił dla kandydatów na jej kochanków. Miały chronić ją przed zakusami takich oto potworów. Z tych tu dwojga o wiele bardziej wołała Shylocka, czemu dała wyraz, biorąc go pod rękę, wprowadzając do namiotu i rozrzucając wśród znajomych niczym złoty pył.

– Kim są ci ludzie? – zapytał, podążając za nią, Strulovitch.

– To sympatycy D'Antona oraz moi znajomi – wyjaśniła. – Panu wolno było przyprowadzić własnych stronników.

– Nie potrzebuję stronników.

– Zapewniam pana, że nie są tu po to, by przechylić szalę na czyjąkolwiek korzyść.

– Nie wiem, o jakiej szali pani mówi. Ustaliłem z pani współnikiem porwania mojej córki, co się stanie, jeżeli Gratan i Beatrice nie wrócą do południa. Zostało jeszcze kilka minut, ale nie sądzę, żeby się zjawili w ostatnim momencie.

Punkt w południe z wnętrza domu wyłonił się D'Anton; ze stosownie opuszczonym wzrokiem, lekko przygarbiony jakby w udawanym zmęczeniu, podszedł do Strulovitcha. Pod płaszczem i marynarką miał koszulę śnieżną jak ziemia, u góry rozpięte trzy guziki jak u szansonisty. Czy zapomniał, po co się tu spotykamy? – pomyślał Strulovitch. Podejrzewa mnie o zakusy na swoje serce?

Żaden nie wyciągnął ręki na powitanie.

– A więc rzecz jest przesądzona – oznajmił Strulovitch, spoglądając na zegarek. – Podda się pan mojej woli w zastępstwie swojego koleżki Gratana...

– Nie jest moim koleżką.

– Jak pan sobie życzy. Zastąpi go pan, a kiedy będzie po wszystkim...

– Będziemy kwita. Nie będzie pan miał do nas, w tym do swojej córki, żadnych dodatkowych pretensji.

– Moja córka pozostanie moją córką. Nie zamierzam o niej myśleć jak o jednej z was, ale zgoda, nie będę się sprzeciwiał jej pragnieniom, o ile otrzymam pisemne zaświadczenie, że opuścił pan klinikę w innym stanie, niż

gdy pana do niej przyjęto.

– Wydaje mi się, że to wykracza poza nasze ustalenia. Mógłby pan później utrzymywać, że mój stan w takim czy innym sensie wcale się nie zmienił.

– To, czy pan się zmieni „w takim czy innym sensie”, zupełnie mnie nie obchodzi. Stan pańskiego umysłu i charakteru, pańskich uczuć i uprzedzeń, jest wyłącznie pańską sprawą. Sam diabeł nie zdołałby ich zmienić, a co dopiero ja. Pan wie, czego ja chcę. Określiłem swoje żądanie z chirurgiczną precyzją.

– Mam stamtąd wyjść, jeśli Bóg pozwoli, jako pański potencjalny zięć...

– Którym nigdy pan nie zostanie.

– Ani mi to w głowie. Mówię czysto teoretycznie. Potencjalny żydowski mąż w oczach pańskiego Boga. O!

Co takiego było w określeniu „w oczach pańskiego Boga”, że Strulovitch miał ochotę wyłupić oczy D’Antonowi? Nawet kiedy wybiło południe, wciąż po cichu liczył, że Beatrice jednak się zjawi, choćby sama. Teraz modlił się, by tak się nie stało.

Skinał twierdząco głową.

– A więc nie traćmy czasu – powiedział D’Anton.

Rozejrzał się za Barnabym. Żałował, że to nie jego dług spłaca, lecz Gratana. Do Barneya czuł poezję. „Podaj mi rękę, Barnaby” – mógłby powiedzieć. „Niech twoja żona osądzi sama, czy komus kiedyś Barnaby był drogi”. D’Anton nie był człowiekiem obojętnym na płynność kadencji. „Niech twoja żona osądzi sama, czy komus kiedyś Gratan był drogi” brzmiało już całkiem inaczej.

Chciał poprosić Plurabelle, by poleciała go pamięci przyjaciela, lecz Plury miała teraz co innego na głowie.

– Zanim sprawa dobiegnie końca – zwróciła się do Strulovitcha – chciałabym ostatni raz do pana zaapelować. Rozumiem zmartwienia ojców. Mój ojciec zmarł pełen lęku o swoją córkę. Nie twierdzę, że chronił mnie w sposób przesadny, ale jego troskliwe zabiegi niezupełnie ułatwiały mi życie. Czasem ojciec musi zebrać się na odwagę i wypuścić dziecko w świat...

– Wypuściłem córkę w świat – odparł Strulovitch – a świat doprowadził ją do zguby. Zawarłem umowę, która jej nie uratuje, ale umowa jest umową. Pani przyjaciel uchodzi, przynajmniej we własnej opinii, za człowieka honoru. Nie może mi więc odmówić; zresztą nie proszę o nic wielkiego.

– Dla niego to coś wielkiego – zauważyła Plurabelle.

Strulovitch kaszlnął i zerknął na Shylocka, szukając w jego oczach

dowcipnego porozumienia, zanim przypomniał sobie, że to nie w stylu Shylocka. Bez kapelusza sprawiał wrażenie łagodniejszego. Jego spojrzenie było poważne, ale kojące. Jak u dyrektora umiarkowanego postępowego liceum.

– Ta operacja może się zakończyć bardzo różnie. Panu chodzi o to, żeby go upokorzyć, i ten cel niewątpliwie zostanie osiągnięty. Ale czy chodzi panu również o pozbawienie go życia? Pan myśli, że przesadzam, ale mam tutaj dane – wyjęła z kieszeni wydruk, na którym Strulovitch dostrzegł logo Wikipedii – na temat wypadków i, owszem, zgonów, które powinny skłonić pana do ponownego namysłu. Jestem przyjaciółką pańskiej córki. Uważałam, że ją chronię. I dlatego proszę pana, odwołując się do waszej wspólnej wiary, aby oszczędził pan człowieka, który nigdy w życiu nie wyrządziłby jej umyślnie krzywdy.

Zdawało się, że mówi z pamięci, nie patrzyła nawet w oczy temu, którego próbowała przekonać.

– Za późno – oznajmił Strulovitch. – Zawarliśmy umowę. Miejmy to jak najszybciej z głowy. Nie będziemy musieli się więcej nawzajem oglądać. Zdaje się, że samochód już czeka.

Dworskim gestem puścił D'Antona przodem.

Ledwie jednak ruszyli w stronę auta, znów ich zatrzymano.

– Jeszcze słowo. Zanim panowie pójdą.

Strulovitch odwrócił się zdziwiony. Tym razem wmieszał się Shylock, który do tej pory teatralnie milczał, tak dalece niezainteresowany biegiem wydarzeń oraz ich uczestnikami, że sam budził przez to zainteresowanie. Shylock znudzony. Shylock nieobecny. Tak było przed chwilą. Teraz, jakby pobudzony do działania przez zewnętrzną siłę, stał się innym człowiekiem. Shylockiem czujnym. Shylockiem obecnym. Mówiącym łagodnie i pojednawczo, dobrotliwym, bez kapelusza, lecz domagającym się, aby go wysłuchano.

– O co chodzi? – zapytał Strulovitch.

– Proszę o chwilę waszego czasu. O nic więcej.

– Wszystko zostało już powiedziane.

– Nie wszystko.

– Czy o coś zapomniałem? – zdziwił się Strulovitch. – A może pan zapomniał?

– Czy zapomniałem? Ja? Nie. – Shylock zawahał się, jak gdyby to, że są różnymi osobami posiadającymi odrębną pamięć, wcale nie było dla niego oczywiste. – Ale pan, owszem, zapomniał o czymś.

Banalne niebo w jednej chwili wydało się niebem burzowym. Shylock miał tę moc; potrafił wpłynąć na ciśnienie atmosferyczne, zmącić pogodę tym, co mąciło jego spokój. Podnosząc wzrok, Strulovitch ujrzał przyszłość i przeszłość. Poczł, jak ogarnia go zmęczenie proroków.

– Nie mam czasu na głupstwa – rzekł. – Nie potrzebuję pouczenia. Wszystko jest ustalone. – Tu skinął głową w kierunku D’Antona, który wyglądał na pogodzonego ze swoim losem bez względu na zamiary Shylocka.

Ten jednak nie skończył.

– Akceptuje pan warunki? – zapytał D’Antona, po raz pierwszy spoglądając mu w oczy.

Powieki D’Antona opadły niczym ciężkie zasłony.

– W pełni.

– Uznaje je pan za sprawiedliwe?

– Sprawiedliwe? A czy sprawiedliwość ma tu cokolwiek do rzeczy?

– Jeżeli pana zdaniem nie ma, nie powinien pan akceptować warunków.

– Akceptuję warunki, bo muszę.

– Skąd ten wniosek?

– Nie mam wyjścia.

– Mógłby pan odmówić.

– Jeśli odmówię, ucierpią ludzie, których kocham.

– A pan? Czy pan nie ucierpi?

– Siebie nie liczę.

– Dobrowolnie składa pan siebie w ofierze?

– Tak.

– A zatem obie strony dostaną to, czego chcą. Nikt nie będzie czuł się pokrzywdzony.

D’Anton skinął głową.

– Zapytam więc jeszcze raz: czy uznaje pan te warunki za sprawiedliwe?

– Okrutne, ale sprawiedliwe.

– Ale sprawiedliwe? – To jak wrywanie zębów, pomyślał Shylock.

– Tak – przyznał D’Anton. – Sprawiedliwe.

Shylock pokiwał głową i zwrócił się do Strulovitcha.

– Żyd miłosierdzie musi więc okazać.

Strulovitch dokładnie wiedział, jak trzeba odpowiedzieć. Nie zawsze ma się wybór.

– A jaki przymus mnie zmusi?

Na co Shylock również miał gotową odpowiedź:

– Nie ma przymusu! W tym sens miłosierdzia, że spada z nieba na ziemię jak rosa...

Strulovitch posiadał w swoich zbiorach sztych nieznanego dziewiętnastowiecznego artysty, którego tematem był Ulisses przywiązany do masztu w obawie przed zdrażliwą muzyką syren. Te ostatnie, jak na gust Strulovitcha, miały nieco zbyt rubensowskie kształty, podobało mu się natomiast, że ich śpiew przedstawiono za pomocą nut frunących w stronę Ulissego niczym ptaki, atakujących wszystkie jego zmysły. Spętany Ulisses szarpie się, oczy wychodzą mu z orbit; wyraźnie żałuje, że kazał się skępować. Ale co z żeglarzami, którzy pozatykali sobie uszy woskiem? Czy choć jedna zbłąkana melodia dotarła do nich, gdy wiosłowali w pocie czoła? Czy też syreny tylko ruszały bezgłośnie ustami za ścianą złorzeczeń i postękiwań?

Nie mając wosku, którym mógłby sobie zatkać uszy, Strulovitch postanowił zagłuszyć Shylocka siłą woli, procesją czarnych myśli rozciągniętych od ucha do ucha niczym pogrzebowa girlanda z proporczyków, o ile coś takiego istnieje. Wszystkie te razy, kiedy go rozgniewano, wszystkie zniewagi, pominięcia, wszelkie zło, które mu wyrządzono i które sam wyrządził. Była to co najmniej godna przeciwwaga dla cukrzanej przemowy Shylocka.

Ta zaś, gdyby jej wysłuchał – choć nawet wtedy usłyszałby tylko to, co spodziewał się usłyszeć – brzmiała następująco:

– Nie ma przymusu miłosierdzia... Pyta pan, co pana do niego zmusi, pana, który sam nie zaznał miłosierdzia od tego, któremu, śmiem twierdzić, powinien pan je okazać – pyta pan, dlaczego powinien odwzajemnić coś, czego nie dostał – a ja panu odpowiadam: niech pan sam będzie wzorem miłosierdzia, nie oczekując go w zamian – bo miłosierdzie nie jest transakcją – lecz dając dla samego dawania. Niech pan współczuje bezinteresownie, a nie dla własnej duchowej korzyści. Bez współczucia człowiek ślepnie, lecz nie tylko z tego powodu należy je praktykować. Współczucie nie służy korzyściom ani zaszczytom, nie dba o miłość własną, nie zastępuje przebaczenia, lecz buduje swój skromny gmach wszędzie tam, gdzie jest potrzebne. Zapyta pan, dlaczego jest ono potrzebne tutaj, gdzie sprawiedliwość sama woła o to, co jej się należy. To proste: tak chce Bóg. To, co ma znaczenie dla niego, ma również znaczenie dla pana, w przeciwnym razie nie może pan się powoływać na Jego

imię. A czy Bóg będzie kochał grzesznika bardziej niż tego, przeciw któremu zgrzeszono? Nie, będzie was kochał jednakowo. Żaden człowiek nie umie kochać jak Bóg i bluźnierstwem byłoby próbować. Ale można postępować w duchu bożej miłości, okazywać serce, dawać nawet gdy nam to nie w smak, darować winy niegodnym, kochać tych, którzy nas nie kochają – bo gdzież cnota w miłości odwzajemnionej? – dawać tym, którzy by nam zabrali, a jeśli to zrobią, nie odpłacać im się tym samym, bo im większa przewina, tym szlachetniej czynimy, wyrzekając się urazy. Nie urąga sprawiedliwości ten, kto okazuje *rachmunes*. Przeciwnie, uznaje on istnienie sprawiedliwego, lecz surowego prawa, któremu wszyscy podlegamy. A co za tym idzie, wielbi Boga.

Strulovitch nie słuchał, ale grzecznie czekał. Uprzejmość także stanowi odmianę współczucia, które Żydzi zwą *rachmunes*.

– Skończył pan? – zapytał wreszcie.

Shylock gestem dał do zrozumienia tym, którzy go oklaskiwali, że owacje są niepotrzebne.

– Tak, skończyłem.

– W takim razie – rzekł Strulovitch – zgodne z ustaleniami ja i mój współsygnatariusz udamy się do kliniki.

Shylock skinął głową. Sądząc po jego minie, niczego innego się nie spodziewał.

Strulovitch chciał z nim jednak zamienić ostatnie słowo.

– Czy po to pan się tu zjawił? – zapytał najciszej, jak potrafił. Chciał, aby ich sprawy pozostały między nimi.

– Wolę myśleć – odparł równie cicho Shylock – że po to mnie pan znalazł.

Strulovitch utonął w niespodziewanym błękitcie jego oczu. Kiedy zmieniły kolor?

– W kwestii tego, kto kogo znalazł, raczej nie dojdziemy do łatwego porozumienia.

– To prawda.

– Ja też byłem pod wrażeniem pańskiego wystąpienia.

– Nie słuchał pan.

– Wychwyciłem sedno.

Shylock spuścił głowę. Strulovitch dopiero teraz spostrzegł, jak rzadkie ma włosy – ale też pierwszy raz widział go bez kapelusza. A ponieważ miał sentymentalny stosunek do mężczyzn – zwłaszcza do ojców – przez chwilę

korciło go, żeby pocałować Shylocka w najbardziej przerzedzone miejsce.

Tamten odczytał jego myśli.

– Nie szukam syna.

– A mnie obrzydli już ojcowie. Mam nadzieję, że wolno mi podziwiać pańską teatralność dla niej samej. Ale chyba nie sądził pan, że pod jej wpływem zmienię zdanie.

Shylock zaśmiał się bezgłośnie. Od kiedy to się śmiał?

– Ani przez chwilę – odparł. – Wpłynięcie na pana było ostatnią rzeczą, o jakiej myślałem. Nie wszystko ma związek z panem.

Kiedy Strulovitch, z D'Antonem u boku, odjechał sprzed jej domu, Plurabelle nawet się nie zorientowała. Nie mogła oderwać oczu od Shylocka. Boże, myślała, kocham tego faceta. Normalnie ubóstwiam.

Cieszyła się, że nie ma przy niej Barneya. Pozbycie się go było znakomitym pomysłem, choć wtedy jeszcze nie wiedziała, dlaczego to robi. Pozostawało mieć nadzieję, że Barnaby zabłądzi i nigdy nie wróci. Niech sobie siedzi w zoo w Chester.

Zbliżyła się do nowego mężczyzny w jej życiu i położyła mu rękę na zaskakująco twardym ramieniu.

– To było niesamowite.

Oczy Shylocka na powrót przybrały stalowoszary odcień.

– Ale nie zadziało – zauważył. – Nie okazał miłosierdzia.

– Nie wiem, czy to takie ważne.

– Nie?

– Zresztą to nie takie proste, stwierdzić, że coś działa albo nie – oznajmiła, unosząc ku niemu spuchnięte wargi. – Wiem jedno: na mnie to podziało.

– Miło mi to słyszeć. A komu pani okaże miłosierdzie?

– Okażę panu, jeśli pan sobie tego zażyczy.

– Mnie nie potrzeba miłosierdzia.

– A czego panu trzeba?

Odczekał moment, jakby spodziewając się dalszego ciągu.

– I?

– Nie rozumiem – powiedziała zmieszana.

– Myślałem, że to nie koniec. Dla tych, którzy według pani czegoś od pani chcą, ma pani zwykle zagadkę, nieprawdaż?

Potrząsnęła głową, jakby chciała wytrząsnąć z niej to, co przed chwilą

usłyszała.

– Nie mam dla pana żadnej zagadki. Przy panu czuję, że wreszcie mogę mówić wprost. Wiem, że pan niczego nie chce. Ale może jednak mogłabym panu coś dać?

Czyżby zamierzała mu zaproponować, że uczyni go sławnym? Jestem na to za stary, pomyślał.

– Ciszę i spokój – odrzekł. – Tylko tego mi trzeba.

Plurabelle odebrała to jako zachętę. Oczywiście, że mogła dać mu ciszę i spokój.

– Pan jest innym człowiekiem, niż sądziłam.

– A co pani sądziła?

– Nie wiem, ale nie przysłoby mi do głowy...

Cokolwiek nie przysłoby jej do głowy, chwilowo nie umiała tego wyrazić słowami. Shylock postanowił ją wesprzeć.

– Że Żyd może mieć w sobie tyle z chrześcijanina?

Wyrzucił z siebie te słowa, jakby chciał ją opluć.

– Nie, nie to chciałam powiedzieć. Chodzi mi o to, że kiedy u Simona Strulovitcha zobaczyłam pana po raz pierwszy, nie podejrzewałam pana o nadmiar ludzkich uczuć.

– Wychodzi na to samo. Ujrzała pani Żyda i spodziewała się po nim wyłącznie bezwzględności.

– Nie ujrzałam Żyda. Nie mam obsesji na punkcie Żydów.

– W takim razie ujrzała pani bezwzględność i nadała jej twarz Żyda.

– Chcę tylko powiedzieć, że pan jest inny, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. Sama nie jestem chrześcijanką. Ostatni raz byłam w kościele jako mała dziewczynka. Ale znam chrześcijańską wrażliwość. Czy to coś złego, że jestem zaskoczona, widząc, jak człowiek o srogim spojrzeniu z elokwencją wyraża poglądy, które zazwyczaj słyszy się z ambony?

– Chciała pani powiedzieć: Żyd o srogim spojrzeniu.

– Chciałam powiedzieć to, co powiedziałam.

– Zatem odpowiem w tym duchu. Tak, to coś złego. To złe, że nie wie pani, komu zawdzięcza swoją wspaniałą chrześcijańską wrażliwość. Błędem moralnym i historycznym jest nie wiedzieć, że Jezus był myślicielem żydowskim i że atakując nas za pomocą jego słów, bredzicie od rzeczy. Miłosierdzie jest pojęciem żydowskim. Tak samo litość. Po prostu je sobie przywłaszczyliscie. Nie chcieliśmy za nie nic w zamian, ale wy i tak

musieliście je ukraść.

– My? Ja też?

– Bulwersuje panią, że robi się z pani symbol? Trudno się dziwić. Mnie też to bulwersowało. Ponizono mnie, bo byłem symbolem. A więc tak, pani również. Czego się pani spodziewała? A czyje ludzkie uczucia dostrzega pani teraz we mnie? Swoje własne! Jak pani śmie sądzić, że może mnie nauczyć czegoś, co już wiem, albo dać mi przykład, który ja dałem pani dawno temu? To nieprawdopodobna zuchwałość, odwieczna kradzież, która zrodziła same cierpienia. Pani zuchwałość jest splamiona krwią.

Plurabelle wyglądała, jakby miała się rozpłakać. Położyła rękę na piersi.

– Chyba rzucił pan na mnie klątwę.

– Cóż, teraz przynajmniej wie pani, jak to jest być po tej drugiej stronie.

Plurabelle przysięgłaby, że tym razem naprawdę ją opluł.

– To się nazywa wygarnąć komuś prawdę – zauważyła Lea.

Shylock szczerzej owinął się paltem.

– Nie obyło się bez długiego namysłu – przyznał.

– To ci wyszło tylko na dobre.

– Długi namysł grozi większym rozczarowaniem. Z myśleniem też można przesadzić. Moje słowa czuć było stęchlizną. Mogłem to ująć lepiej.

– Było całkiem niezłe.

– Tylko tyle?

– Powinno ci to wystarczyć. Nie myślisz chyba, że uda ci się odmienić świat?

– Zawsze można próbować.

– To nie byłoby mądre.

– Twoim zdaniem należało nic nie mówić?

– Tego nie powiedziałam. Chociaż wolałabym, żebyś okazał tej biedaczce odrobinę *rachmunes*.

– Ach, o nią bym się nie martwił. Ona mnie ubóstwia.

– W takim razie może powinnam martwić się o ciebie.

– Nie masz się czego obawiać. Ona jest złego wyznania.

Stał przez dłuższy czas w śniegu, ciesząc się jej obecnością.

W niektóre dni było trudniej. Dziś tęsknił za uściskiem jej ramion. Milczeli, jakby jedno czekało, aż drugie się odezwie. W końcu przemówiła ona.

– Przywiązywanie wagi do cudzego wyznania nie przyniosło nam nic dobrego.

– To nie tylko nasza wina – przypomniał.

– Zgoda. Ale ja mówię o nas. O tobie, mnie i Jessice.

– Och, nie martw się o nią. Wszystko będzie dobrze.

Lecz gdy po tych słowach nastąpiła długa, dzwoniąca w uszach cisza, zrozumiał, że Lea wie, że nie wszystko jest dobrze – i że już nigdy nie będzie.

Czy przez cały ten czas ukrywała przed nim swoją wiedzę, tak jak on ukrywał swoją przed nią? Czy wiedziała o tym, czego za wszelką cenę chciał jej oszczędzić – że ich córka zdradziła rodziców, ich wzajemną miłość, swoje wychowanie i własny honor dla kogoś, czegoś – jak zwał, tak zwał – bezwartościowego?

Jeżeli tak, to wycierpiała więcej niż on. Przez te wszystkie dni leżała w zimnej mogile, ściskając w ramionach swoją hańbę, nie mogąc się nikomu zwierzyć, z nikim porozmawiać.

Shylock myślał, że pęknie mu serce.

Gdy Strulovitch powrócił do Starej Dzwonnicy, by tam oczekiwać oficjalnych wieści z kliniki, Shylocka już nie było, a żaden spośród nadskakujących Plury znajomych nie wydawał się zainteresowany rozmową z nim.

Niemrawe światło popołudnia gasło w oczach. Strulovitchowi to odpowiadało. Nie miał ochoty niczego oglądać. Odgarnął śnieg z ażurowej ławki z dala od namiotu i nie przejmując się wilgocią, usiadł. Wysadzając D'Antona przed kliniką, nie spojrzął na niego ani nie odezwał się słowem. Sam D'Anton po nerwowej rozmowie z Shylockiem wyraźnie miał ochotę się wyciszyć. Strulovitchowi zdawało się nawet, że drży – chociaż to akurat mogło być ze strachu przed tym, co go czekało. Ochłonął jednak i wysiadając z limuzyny, rzucił: „No, to raz kozie śmierć” – na co Strulovitch nie zareagował. Dlaczego ofiara była w lepszym humorze niż oprawca? Nie chciało mu się dociekać. Pewnie to tylko maska. Równie fałszywa jak jego własne stwierdzenie, że życzyłby sobie, by jego adwersarz umarł w męczarniach. Tak naprawdę było mu już zupełnie wszystko jedno, jak to się skończy. Czy D'Anton przeżyje, czy umrze, nie miało to dla niego znaczenia. Bo co to zmieni? Nie wróci mu córki. Nie wróci mu żony. Gratan nie zostanie pokarany. A D'Anton po wyjściu z kliniki wciąż będzie D'Antonem. Według wszelkiego prawdopodobieństwa – i nie bez kozery – jeszcze bardziej nienawidzącym

Żydów.

Czy Shylock czuł się podobnie? Wiedząc, że jego słowa nie zdały się na nic? Nie chodziło jedynie o brak szans na zwycięstwo; raczej o to, że nawet zwycięstwo byłoby nic niewarte. I zwycięstwo, i klęska były równie absurdalne.

Nad tym wszystkim rozciągała się w obu kierunkach śmiechu godna linia czasu – od nawrócenia chrześcijan aż po nawrócenie Żydów. Czy świat byłby lepszy, gdyby jedno się nie wydarzyło, a drugie – owszem? Beatrice z Gratanem lub bez niego – co za różnica? Galeria imienia rodziców, której nie udało mu się otworzyć – co z tego? Jego kaleka żona – czy miało dla niej znaczenie, w jakim świecie żyje? Dla Shylocka zatrzymał się bieg wydarzeń, ale nie bieg czasu. Czas go zakonserwował. Czy byłoby lepiej, gdyby oba zatrzymały się jednocześnie? Czy osiągnąłby wtedy mniej, czy więcej? Oto największa z iluzji – że czas będzie pracował i przyniesie pożądaną zmianę.

Strulovitch nie wiedział, ile minut spędził na ławce, ale nie zdążył jeszcze porządnie zmarznąć, gdy Plurabelle zawołała, że ma wiadomość. Jej głos był dziwnie łamliwy, jak głos chórzysty u progu mutacji. Nieświadom tego, co zaszło między nią a Shylockiem, Strulovitch uznał to za naturalny przejaw jej strachu o D'Antona. I dobrze, pomyślał. Przynajmniej zasiał niepokój. Znów przez chwilę życzył sobie, by okazało się, że jego adwersarz umarł w męczarniach. Lecz w nerwowości Plurabelle było coś osobliwego. Mam wiadomość, oznajmiła tragicznym tonem. Jeżeli chciała obwieścić, że D'Anton umarł w męczarniach, dlaczego zwlekała? Po co ten kabaret – kiepsko zagrane ślanianie się na nogach, wysiłony oddech, blada ręka przy skroni?

Za bardzo się wczuwa, pomyślał. Chce się jak najdłużej cieszyć tą chwilą. Potrafił zrozumieć jej tęsknotę, aby w jej małym, kruchym świecie znów zagościł spokój, aby on, Strulovitch, ze swoimi groźbami na zawsze z niego zniknął. Ale to nie tłumaczyło tej błazenady.

W namiocie, przytulona do ogrzewaczy, zebrała się garstka ludzi.

– Mam przed sobą list od chirurga, datowany, i tu czeka was niespodzianka, pięć dni temu – oznajmiła w końcu. Jej głos nagle stał się mocny, z mściwą nutą, a oczy, przed chwilą pełne smutku, rozbliły się jasnym ogniem.

Oświadczenie

Miałem dzisiaj przyjemność zbadać tego przeuroczego pacjenta

(nazwisko powyżej) celem zakwalifikowania go do zabiegu obrzezania metodą kleszczową. Miło mi poinformować, że badanie wykazało całkowitą bezcelowość takiego zabiegu, niezależnie od metody, ponieważ pacjent jest już obrzezany. Zabieg, według mojej najlepszej oceny, a jego najlepszej wiedzy, wykonano w niemowlęctwie; jest to praktyka stosowana powszechnie w krajach o gorącym klimacie.

Rzecz jasna, nie można obrzezać dwukrotnie tej samej osoby.

Z poważaniem,

Pandhari Malik

Czy rozległ się śmiech? Owacje?

Strulovitch po raz drugi tego popołudnia zatkał sobie uszy. Jeżeli istnieje coś takiego jak głuchota historyczna, istnieje też coś takiego jak głuchota racjonalna. Po co słuchać czegoś, co nie jest ani przyjemne, ani pouczające? Po co zginać kark przed absurdem i banałem?

Miał za mało cierpliwości – do wydarzeń i do siebie – by analizować fortel, za pomocą którego wystawiono go na pośmiewisko. Żadna ze stron nie walczyła honorowo. Przegrał i tylko to odróżniało go od D’Antona. Nawet gdyby wygrał – gdyby przelał jego krew – nie byłby przez to lepszy od niego.

Zaskoczony głównie tym, że prawie nie jest zaskoczony, wymknął się chyłkiem, by nie musieć spoglądać w oczy Plurabelle i porażce. Niech się napawa bez niego. Nie miał już do niej żadnego interesu ani tym bardziej żalu. Przeciwnie, odczuwał satysfakcję. Dla nowoczesnego człowieka bycie oszukany to honor. Potwierdza nedorzecznosc egzystencji.

Jestem zadowolony, pomyślał. Staromodny, ale zadowolony.

Nie wrócił prosto do domu. Poprosił Brendana, którego zastał pogrążonego w rozmowie z innymi szoferami, by pojeździł trochę po okolicy. Gdziekolwiek. Najlepiej po drogach nieposypanych piaskiem. Jak najwięcej białego krajobrazu. Wysokie żywopłoty i ciche skrzypienie opon na śniegu. Aż do zmierzchu. Zresztą to już niedługo. Tutaj wieczór zapadał w środku dnia.

Zanim wysiadł i otworzył Strulovitchowi drzwi, Brendan obrócił się i wręczył mu kopertę.

– Moje wymówienie.

– Spodziewałem się – przyznał Strulovitch. – Mam nadzieję, że nie byłem nieznośnym pracodawcą.

– Czasem człowiek potrzebuje zmiany w życiu – wyjaśnił Brendan. – To

wszystko.

– Trzeba robić to, co nam dyktuje sumienie – rzekł Strulovitch.

Nie była mu przyjemną myśl, że wobec braku diabłów, do których mógłby mieć pretensje, sumienie Brendana będzie mu teraz spędzało sen z powiek.

Po powrocie do domu od razu usiadł przy biurku i nakreślił krótki list do D'Antona.

Zwycięzca bierze wszystko. W dowód mojej dobrej woli każę dostarczyć studium Solomona Josepha Solomona pod Pański adres. Oby przyjemność, jaką sprawi osobie, dla której Pan o nie zabiega, zwróciła się Panu dziesięciokrotnie. Wydaje się Pan mocno przywiędły. Niechaj wdzięczność i odwzajemniona przyjaźń pozwolą Panu na nowo rozkwitnąć. Nie jesteśmy na tym świecie po to, by wiecznie się smucić.

Przed pójściem spać zajrzał do Kay i zastał przy niej Beatrice. Ani jedna, ani druga nie okazała mu żadnych uczuć.

– Kiedy wróciłaś? – zapytał Beatrice.

– Niedawno.

– Wszystko w porządku?

Spojrzała na matkę, jakby sama nie była pewna. Czy to możliwe, że Kay odpowiedziała skinieniem, uśmiechem?

To musi być dla niej trudne, pomyślał Strulovitch. To wszystko. To dla niej zbyt wiele. Jest jeszcze dzieckiem.

– Dobrze wyglądasz – skłamał.

– Wątpię – odparła. – Ale wielkie dzięki. Nie stała mi się żadna krzywda, jeśli o to pytasz. Ani się nie zaręczyłam, jeśli o to ci naprawdę chodzi.

– Wystarczy mi, że tu jesteś.

– Mnie też wystarczy.

Liczyło się to, że wróciła, i nic więcej. A jednak jakiś niespokojny, niewyżyty chochlik ojcowskiego czepialstwa powstrzymał Strulovitcha przed wyrażeniem radości.

– Gdybyś mnie uprzedziła, że dzisiaj wracasz – powiedział – oszczędziłabyś wszystkim wiele kłopotu.

– Może nie chciałam oszczędzić wszystkim wiele kłopotu.

Przemknęło mu przez głowę, że w swojej zatwardziałości jest podobna do

Shylocka. Wiedział, co by mu odpowiedziała, gdyby ją teraz spytał, co sobie myśli.

Już ja zapłacę całej waszej zgrai.

Podziękowania

Nie uważam, aby podziękowania miały sens w przypadku prozy, trudno bowiem precyzyjnie ustalić, czym dłużnikiem jest powieściopisarz – jaka książka lub osoba, jakie spotkanie albo zdarzenie z odległej przeszłości było iskrą, od której zajął się lont – o ile w ogóle coś takiego się wydarzyło.

Jednakże okoliczności powstania niniejszej powieści są wyjątkowe: zamówiona u mnie przez wydawcę, wyrosła, siłą rzeczy, z wnikliwej powtórnej lektury dramatu, a pisząc ją, wsłuchiwałem się w opinie wielu osób – również w kwestii tego, czy w ogóle powinienem ją napisać.

Nie mogę podziękować autorowi pierwowzoru, muszę natomiast podziękować Juliet Brooke, Clarze Farmer i Becky Hardie z oficyny Hogarth, które uznały, że nadam się do tego przedsięwzięcia, oraz mojemu nieomylnemu agentowi Jonny'emu Gellerrowi, który się z nimi zgodził.

Nieocenione były także rozmowy o *Kupcu* i samym projekcie z moją żoną i towarzyszką dyskusji Jenny De Yong, ze starymi znajomymi Johnem McClaffertym i Damaris Palmer, a także ze stosunkowo nowym znajomym – wciąż ciętym i pełnym wigoru mimo swoich dziewięćdziesięciu sześciu lat – Donaldem Zekiem.

Przez ponad pół wieku studiowania Shakespeare'a przeczytałem o nim zbyt wiele książek i artykułów, by wiedzieć, którym zawdzięczam najwięcej. Teraz jednak, przy okazji rozmyślań o *Kupcu weneckim*, nieocenioną pomocą były dla mnie, w całości lub w części, następujące dzieła: *Shakespeare and the Jews* Jamesa Shapiro; *Stwarzanie świata* Stephena Greenblatt; *Shylock* Johna Grossa; *Shylock and Other Plays* Arnolda Weskera; *Shylock is Shakespeare* Kennetha Grossa; *A Wilderness of Monkeys* Lyn Stephens (w *The Undiscover'd Country: New Essays on Psychoanalysis and Shakespeare*, red. B.J. Sokol); *Anti-Judaism: The Western Tradition* Davida Nirenberga; *Przeciwżycie* Philipa Rotha.

Źródła cytatów

Poniżej czytelnik znajdzie spis wplecionych w powieść cytatów literackich (przeważnie z Kupca weneckiego i innych dramatów szekspirowskich) z podaniem autora przekładu. Tytuł *Shylock się nazywam* pochodzi z *Kupca weneckiego* w tłumaczeniu Piotra Kamińskiego. Wszystkie cytaty biblijne przytoczono za Biblią Tysiąclecia (wydanie IV) (numery stron dotyczą wydania papierowego).

- s. 12 Nie oddałbym tego pierścienia za cały małpi gaj – *Kupiec wenecki*, tłum. Piotr Kamiński, III.1.
- s. 22 Śmieję się skwapliwie ze wszystkiego z obawy, bym nie musiał płakać – Pierre Beaumarchais, *Cyrulik sewilski*, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, I.2.
- s. 26 Masz rację, stary krecie – *Hamlet*, tłum. własne, I.5.
- s. 30 Co piękne, cieszyć nigdy nie przestanie – John Keats, *Endymion*, tłum. Stanisław Barańczak.
- s. 64 ...nie nazbyt mądrze, lecz nazbyt gorąco – *Otello*, tłum. Stanisław Barańczak, V.2.
- s. 87 Już ja zapłacę całej waszej zgrai – *Wieczór Trzech Króli*, tłum. Piotr Kamiński, V.1.
- s. 95 Duch [byłby] księciem w lochu ciała – John Donne, *Ekstaza*, tłum. Stanisław Barańczak.
- s. 106 Odejdź precz – *Kupiec wenecki*, tłum. własne, IV.1.
- s. 108 Czy to cię zadowala, Żydzie? – tamże.
Jestem zadowolony – tamże.
- s. 109 Póki nawrócą się wszyscy Żydowie – Andrew Marvell, *Do nieskorej bogdanki*, tłum. Stanisław Barańczak.
- s. 124 [...] wrzaski próżnej swawoli – *Kupiec wenecki*, tłum. Piotr Kamiński, II.5.
- s. 135 Poślubiona milczeniu, wychowana przez wolny bieg czasu – John Keats, *Oda do urny greckiej*, tłum. Stanisław Barańczak.

- s. 146 Jessiko, co tam z tobą? – *Kupiec wenecki*, tłum. Stanisław Barańczak, II.5.
- s. 146 Zrób, co kazałem. Zamknij drzwi za sobą. Nie waż się głowy przez okno wystawić – *Kupiec wenecki*, tłum. Piotr Kamiński, II.5.
- s. 146 Co słyhać na Rialto? – tamże, I.3.
- s. 146 Idę, choć mi wszystko mówi – nie idź! – tamże, II.5.
- s. 147 Zwałeś mnie psem [...] I jestem gotów nazwać cię tak znowu [...] A jak ja pies, to ty na kły uważaj... – tamże, I.3.
- s. 147 O, Abrahamie! Co w tych chrześcijanach siedzi? – tamże.
- s. 153 Cieszy moje serce jak ciepły uśmiech – *Makbet*, tłum. Stanisław Barańczak, I.2.
- s. 156 [Że wraz] z sakiewką i całym majątkiem [chętnie się oddam na twoje] rozkazy – *Kupiec wenecki*, tłum. Piotr Kamiński, 1.1.
- s. 158 Rzeczy nie są dobre czy złe same w sobie, są takie, jakimi nam się wydają – *Hamlet*, tłum. Stanisław Barańczak, II.2.
- s. 160 ...obrzezanie jest tym wszystkim, czym nie jest sielanka – Philip Roth, *Przeciwżycie*, tłum. Zofia Zinserling, s. 299.
- s. 160 Ciężka dłoń ludzkich wartości – tamże.
- s. 173 Śmieszni[ą] umow[ę] – *Kupiec wenecki*, tłum. Piotr Kamiński, I.3.
- s. 174 Co masz pod kłódką, znajdziesz szybciotko – tamże, II.5.
- s. 177 Ja mam mój weksel i nie chcę nic słyszeć – tamże, III.3.
- s. 177 Pokażę ja wam teraz, jak się u was dobrze wprawiłem w podłości – tamże, III.1.
- s. 203 Kiedy nas krzywdzicie, to nam się mścić nie wolno? – tamże.
- s. 213 Czy nie krwawimy, kiedy nas kłujecie – tamże, III.1.
- s. 213 Prawo tak każe i sąd tak zarządził – tamże, IV.1.
- s. 213 Twórca odebrał nam prawo do samobójczej śmierci – *Hamlet*, tłum. Stanisław Barańczak, I.2.
- s. 228 Coś takiego zrobię [...] jeszcze nie wiem co – *Król Lear*, tłum. Stanisław Barańczak, 11.4.
- s. 229 [...] psie nieubłagany! – *Kupiec wenecki*, tłum. Piotr Kamiński, IV.1.
- s. 234 Katujesz mnie, Tubalu – tamże, III.2.
- s. 270 Gdyby to mogło stać się i z tą chwilą ustać – na zawsze odejść w przeszłość – wtedy niechby się stało [...] – *Makbet*, tłum. Stanisław Barańczak, I.7.
- s. 275 Duch wasz prześwieca przez was – *Makbet*, tłum. Maciej Słomczyński,

III.1.

- s. 299 Niech spada topór – *Hamlet*, tłum. własne, IV.5.
- s. 299 Być w pogotowiu – tylko to ma sens – *Hamlet*, tłum. Stanisław Barańczak, V.2.
- s. 302 Podaj mi rękę [...] niech osądzi sama, czy komuś kiedyś Bassanio był drogi – *Kupiec wenecki*, tłum. Piotr Kamiński, IV.1.
- s. 306 Żyd miłosierdzie musi więc okazać – tamże.
- s. 306 A jaki przymus mnie zmusi? – tamże.
- s. 306 Nie ma przymusu! W tym sens miłosierdzia, że spada z nieba na ziemię jak rosa – tamże.

Spis treści

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

Akt V

Podziękowania
Źródła cytatów